

MRÓZ-GORGOŃ, CZYLI WIELKA KOMPROMITACJA POLSKIEJ NAUKI



SUROGATKI W PAKIECIE VIP



II WOJNA ŚWIATOWA: FILMY, KTÓRE TRZEBA ZOBACZYĆ



PIETRZAK: ODZYSKAĆ SPLENDOR WOLNEGO NARODU

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

36 (718) 2026
31 sierpnia – 6 września 2026

CENA: 13,90 zł
(w tym 8% VAT)

MACIEJ PAWLICKI

BUDUJMY KOLEJNE POMNIKI MARYI!

ONA NAS OCALI W CZASACH ZAMĘTU I FAŁSZYWYCH BOŻKÓW

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

9 772544 269601 36

Numer w sprzedaży do 7 IX 2026 r.

eprasa.pl 69fe0b3f94

WARTO NAS CZYTAĆ

Sprawdź ofertę



e-prenumerata
SIECI
+
wPolityce.pl
Premium +

CZYTAJ ZA 1 ZŁ

1 zł za pierwszy miesiąc, a potem 12,90 zł (pobierane automatycznie co miesiąc) i możesz zrezygnować w każdej chwili.

SPRAWDŹ, CO ZYSKUJESZ W E-PRENUMERACIE SIECI + WPOLITYCE.PL:

- Nasi publicyści gwarantują **rzetelne dziennikarstwo i mocne, wyraziste opinie**
- Masz **dostęp do wszystkich zamkniętych artykułów** na portalu wPolityce.pl
- Czytasz każde **e-wydanie Sieci wcześniej niż inni**, bo już w niedzielę o 18:00
- We wrześniu otrzymasz **w prezencie e-wydanie magazynu wSieci Historii pt. Gry o tron**

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

WEJDŹ NA:

siec.wpolityce.pl/oferta

eprasa.pl 69fe0b3f94

Zonda-przykrywka

Przygotowania do tej operacji trwały miesiącami. Być może rozpoczęłaby się wcześniej, ale czekano na dobry moment jej odpalenia. Dobry, czyli trudny dla rządu. To ten czas – pęczniejące afery ze szpitalami, pojawiające się dzień po dniu doniesienia o kolejnych działaczach Koalicji Obywatelskiej kradnących pieniądze dla powodzian, wreszcie olbrzymia kompromitacja z prof. Barbarą Mróz-Gorgoń i jej lewym raportem oraz planem przepalenia setek milionów złotych z publicznych pieniędzy na promocję czegoś, co promocji nie potrzebuje – marki Polska (w rzeczywistości chodziło o stworzenie machiny, dzięki której można pod stołem finansować kampanię wyborczą).

I w tych okolicznościach pojawia się on, Roman Giertych (z odium afery Polnordu i doniesieniami o wyprowadzeniu z tej spółki 92 mln zł, człowiek, który mdlał na widok prokuratora, a ostatecznie uciekł za granicę, by uniknąć postawienia zarzutów) w nowej roli.

W kwietniu Donald Tusk opowiadał nam bajki (i to z mównicy sejmowej!) o tym, że za Zondacrypto i Przemysławem Kralem stoją pieniądze rosyjskiej mafii. A ponieważ dużo wcześniej zaczął sączyć absurdalną narrację, jakoby giełda kryptowalut była niemal pisowskim biznesem, podjął się karkołomnego zadania przedstawienia głównej partii opozycyjnej jako w zasadzie wspólników rosyjskiej zorganizowanej przestępczości i tamtejszych służb specjalnych. W opowieściach Tuska Kral jawił się jako namiestnik ruskiej mafii, a dziś jako oficjalny pełnomocnik tego samego Krala wyskakuje z kapelusza Giertych – osobisty adwokat premiera i wiceszef klubu parlamentarnego partii rządzącej.

Co prawda opowieści Tuska o rosyjskich tropach nijak się nie potwierdziły, a wręcz zaprzeczały im zarówno prokuratura, jak i służby specjalne (jedne i drugie *de facto* podległe szefowi rządu), ale nie da się zrobić z Krala uczciwego przedsiębiorcy, który dbał o interes klientów swojej firmy, jak tylko potrafił. 30 tys. ludzi zostało przez niego poszkodowanych, a ich straty sięgają 350 mln zł. W sprawę są zamieszani ludzie z mafii VAT-owskich, a ciągnie się za nią tajemnica zaginięcia (śledczy podejrzewają, że doszło do morderstwa i rozpuszczenia ciała w kwasie) Sylwestra Suszka, wcześniejszego szefa spółki, którą nagle przejął Kral. I dziś tego ostatniego bronić ma Giertych. Minister sprawiedliwości Waldemar Żurek, jego kolega z obozu politycznego, teoretycznie powinien zaś robić wszystko, by wsadzić Krala za kratki. Czy coś tu się klei? Nic.

Bo wcale nie chodzi o to, żeby się kleiło. Mamy mieć widowiskowy spektakl z tkaniem narracji, z której ciężko będzie się otrzepać Prawu i Sprawiedliwości, Konfederacji oraz prezydentowi. I ma być nieważne, że trzykrotne zawetowanie przez Karola Nawrockiego ustawy o kryptowalutach było nie na rękę Kralowi (sam mówił, że ten projekt był dla niego korzystny, bo eliminował mu konkurencję). Zaplanowali sklejenie głowy państwa z tą sprawą i będą się tego trzymać.

Przy okazji oberwać mają prawicowe media. My akurat nie musimy się o cokolwiek martwić. Otrzymaliśmy propozycję współpracy ze strony Zondacrypto, ale nie podjęliśmy żadnych działań, bo ta firma z daleka pachniała piramidą finansową. Inni – być może będąc w trudnej sytuacji – podjęli. Rozumiemy, nie oceniamy, czekamy na prokuratorskie i sądowe wyjaśnienia. A także pamiętamy, że reklamy Zondy pojawiały się nie tylko w telewizji Republika. Przelewy przyjmował też TVN, artykuły sponsorowane ukazywały się w Onecie, w „Newsweeku" czy we „Wprost".

Dziś ze zdumieniem czytamy wpisy rozemocjonowanych polityków KO, którzy nie cieszą się, że poszkodowani być może odzyskają swoje pieniądze, ale nie mogą się doczekać, aż dojechani zostaną pisowcy.

Zatrzymany prezes PKOl Radosław Piesiewicz ma się z czego tłumaczyć, ale dziś nie sposób przesądzać o jego winie. Mają się z czego tłumaczyć politycy, którzy jeździli do Krala do Monako (nawet jeśli nie podjęli żadnej współpracy z tym człowiekiem). Mają się z czego tłumaczyć również ministrowie Domański, Kierwiński i Żurek, bo ludzie z Zondacrypto szkolili podległych im funkcjonariuszy Krajowej Administracji Skarbowej, policjantów i prokuratorów.

Być może w tej sprawie potrzeba energicznych działań państwa. Ale dlaczego w takim razie nie ma żadnych działań wobec Dawida Kacprzyka? Nie wszystko da się przykryć.

Marek Pyza



Autopromocja

eprasa.pl 69fe0b3f94

SIECI

spis treści



27 **Na prawicy nie możemy nikogo wykluczać**
Z Przemysławem Wiplerem rozmawia Jerzy Szmit



33 **Ta irytująca pani minister**
Dorota Łosiewicz



38 **Kaucja do bani**
Konrad Kołodziejski

NA POCZĄTEK

5 **DOPAŚĆ NAWROCKIEGO**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **INTELIGENCJA W UŚPIENIU**
Dorota Łosiewicz

9 **RUDY I BRUDY**
MuMa

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **„URUCHOMILIŚMY WSPARCIE DLA PRZEMYSŁU" – OGŁASZA TUSK. NA RAZIE DZIAŁA KOMUNIKAT**
Daniel Obajtek

13 **GLOBALIZACJA BYŁA BŁĘDEM**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA PRZEMYSŁAWA JANISZEWSKIEGO**
Michał Korsun

16 **ODZYSKAĆ SPLENDOR WOLNEGO NARODU!**
Jan Pietrzak

16 **DAMSKI BOKSER ZBIŁ TERMOMETR**
Samuel Pereira

17 **NIEMCY UKRADLI. NIGDY NIE ZWRÓCILI**
Arkadiusz Mularczyk

18 **PROFESORKA Z AI**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

19 **KRÓLOWA I ZIELONY POTWÓR**
Maciej Pawlicki

KRAJ

24 **BYĆ JAK BARBARA MRÓZ-GORGOŃ**
Stanisław Janecki

27 **NA PRAWICY NIE MOŻEMY NIKOGO WYKLUCZAĆ**
Z Przemysławem Wiplerem rozmawia Jerzy Szmit

30 **GRA W BERKA**
Piotr Gursztyn

33 **TA IRYTUJĄCA PANI MINISTER**
Dorota Łosiewicz

36 **SUROGATKA W PAKIECIE VIP**
Goran Andrijanić

38 **KAUCJA DO BANI**
Konrad Kołodziejski

OPINIE

41 **PRAWO SZARLATANÓW**
Dariusz Matuszak

ŚWIAT

44 **FEDOROW KONTRA ZEŁENSKI**
Marek Budzisz

48 **MORDERCZY IMPULS**
Aleksandra Rybińska

HISTORIA

50 **DEMONY II WOJNY ŚWIATOWEJ**
Z Grzegorzem Berendtem rozmawia Stanisław Płużański

GOSPODARKA

54 **RZĄD WYBRAŁ PODATKOWĄ DROGĘ NA SKRÓTY**
Z Pawłem Gruzą rozmawia Maciej Wośko

SIECI KULTURY

57 **SZCZĘŚLIWE PRZYPADKI**
Jolanta Gajda-Zadworna

59 **MIT, REALIZM I PROPAGANDA**
Maciej Walaszczyk

64 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

PODRÓŻE

66 **MOJE SZLAKI: JESSICA WÄRNBERG**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

67 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

68 **EUROPA BEZ EUROPEJCZYKÓW**
Robert Tekieli

70 **ZAJRZYJMY W PASZPORTY**
Wojciech Reszczyński

71 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

72 **MATKA, PUSTKA I CISZA**
Aleksander Nalaskowski

73 **PRZEPRASZAM, CZY TU BIJĄ?**
Ryszard Czarnecki

74 **CICHA PRAWDA NATURY**
Katarzyna Zybertowicz

eprasa.pl 69fe0b3f94

BRONISŁAW WILDSTEIN

Dopaść Nawrockiego

Seria przedsięwzięć, które podejmuje dziś rząd, ma jeden cel. Dopaść prezydenta – polityka, który nie tylko może zintegrować prawicę, ale stanowi barierę dla łamania prawa ze strony obecnej władzy.

Temu służy próba odgrzania afery Zondacrypto. Dwaj polityczni adwokaci, dla których miano consigliere byłoby komplementem – Roman Giertych i jego pomocnik Maciej Dubois – spotykają się w Dubaju z oszustem i gangsterem Przemysławem Kralem, szefem Zondacrypto. Proponują mu swoje usługi jako adwokaci i w zamian za bezkarność – rolę świadka koronnego, który ma pogrążyć odpowiedzialnych za nią, czytaj: ich politycznych przeciwników.

Metodę Giertycha już znamy. Na wiadomość o próbie samobójczej syna przetrzymywanej w areszcie asystentki Mateusza Morawieckiego, Anny Wójcik, Giertych napisał w internecie: „Gdyby ona była tak mądra, jak dyrektor Tomasz Mraz, to dzisiaj mielibyśmy wniosek o uchylenie immunitetu prawdziwego beneficjenta, a ona zajmowałaby się synem". Mraz to dawny urzędnik Ministerstwa Sprawiedliwości, na zamówienie Giertycha oskarżający byłych zwierzchników o wszystko, co najgorsze.

Pamiętamy areszty śledcze osób podejrzanych w sprawach, które rząd Tuska usiłował zmontować przeciw politycznym konkurentom. Nie było podstaw do przetrzymywania w więzieniu ks. Michała Olszewskiego, Pawła Szopy, Anny Wójcik czy urzędniczek resortu sprawiedliwości. Dodatkowo klaustrofobia Szopy, choroba Dominika B. czy autyzm dziecka Wójcik były argumentami, aby tego typu środki stosować wobec nich wyłącznie w zupełnie szczególnych wypadkach. Wszystko wskazuje jednak, że ofiary były wybierane właśnie z powodu swoich problemów, aby wymusić na nich zeznania przeciwko politycznym przeciwnikom, a mózgiem operacji był Roman Giertych. Czy ktoś taki jak Kral zawaha się przed tym, by za bezkarność oskarżyć Nawrockiego czy kogokolwiek innego o dowolne rzeczy?

Na charakter sprawy dodatkowo wskazują zajmujący się nią „dziennikarze". Dla Doroty Wysockiej-Schnepf, pomimo trzech dekad medialnej wysługi, to debiut w śledczym dziennikarstwie, ale w propagandzie doświadczenie ma ogromne. Gwiazdy Onetu: Jacek Harłukowicz i Andrzej Stankiewicz mają szczególne zasługi w oczernieniu Nawrockiego jeszcze jako prezydenckiego kandydata. To oni odsłonili głębię jego nikczemności, która polegała na wyłudzeniu kawalerki od emeryta w zamian za opiekę nad nim. Nie poinformowali tylko, że wiadomości czerpali od zawodowej oszustki, odsiadującej obecnie wyrok za kolejne tego typu przestępstwo. Kiedy ostatnio sprawa wyszła na jaw, Harłukowicz oświadczył, że wiedza o tym, kim była ich informatorka, nie miała znaczenia.

To rzeczywiście nic wobec oskarżenia Nawrockiego o sutenerstwo. W tej sprawie z kolei jedynym świadkiem, na którego powoływał się Donald Tusk, był osobnik zupełnie niewiarygodny, który też wyłącznie słyszał o niej od jakiegoś gangstera, a ostatnio zaprzeczył również temu. Harłukowicz i Stankiewicz głosili, że mają solidne dowody procederu Nawrockiego, które ujawnią po wyborach. Bezskutecznie czekamy na nie do dziś. Teraz oskarżają prezydenta w innej sprawie.

Zaproponowany przez obecny rząd i zawetowany przez prezydenta ustawowy bubel, który faktycznie eliminował obrót kryptowalutami na terenie Polski, nijak się miał do Zondacrypto, której szef uciekł już z kraju. Firma zarejestrowana w Estonii działała na mocy europejskiego prawa, a kryptowaluty miały stanowić kapitał służący zabezpieczeniu udziałowców. Była to zwykła piramida finansowa, która mogła deklarować jako swój majątek dowolną rzecz. Nie przeszkadza to Tuskowi opowiadać, że weto prezydenta uniemożliwia ochronę Polaków przed tego typu oszustwami.

Ta retoryka odsłania strategię premiera. Bezpodstawne oskarżenie prezydenta, że jako „wetomat" blokuje funkcjonowanie państwa, wyszło już poza nasze granice. Agencja Fitch, zmieniając perspektywę Polski na „negatywną" i uzasadniając to potencjalnymi wetami prezydenta, które podobno utrudnią uzdrowienie gospodarki kraju, prowokuje co najmniej wątpliwości. Pojawiły się one wobec instytucji ratingowych w trakcie ostatniego kryzysu finansowego. Wtedy ich oceny rozmijały się diametralnie z rzeczywistością.

Tymczasem można odnieść wrażenie, że niektóre ustawy proponowane są przez rząd wyłącznie po to, aby prezydent musiał je zawetować, a zawarte w nich i powiązane z rzeczami nie do przyjęcia pozytywne rozwiązania mają służyć jako pretekst do atakowania Nawrockiego. Można zaproponować, aby premier każdą z nich kończył formułą: „aby Polakom żyło się lepiej" i oskarżał potem prezydenta, że oprotestowując taki akt, źle życzy rodakom.

Wetując ustawę, prezydent zawsze tłumaczy swoje powody i często proponuje inną ich wersję. W funkcjonującej demokracji alternatywne rozwiązania powinny zostać poddane publicznej debacie, głównie w parlamencie, który jest do tego powołany. Nie oczekujmy jednak takich inicjatyw po ekipie Tuska i Czarzastego.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 69fe0b3f94



Sygnalista nadaje

Znowu wróciły pogłoski o tym, że decyzją Pana Premiera Donalda Franciszka Tuska jego miejsce na fotelu szefa rządu zajmie Magda Sobkowiak-Czarnecka, dziewczyna z poznańskich Jeżyc. Najwięcej gadają o tym zielone ludziki z PSL, którzy Magdę wypromowali, ale ona im się urwała, więc jej dotychczasowi promotorzy bardzo się za to obrazili. W związku z tym publikujemy oświadczenie fanklubu Premier Ewy Kopacz: „Gorąco popieramy ideę mianowania Magdy Sobkowiak-Czarneckiej na stanowisko szefa rządu. Jesteśmy przekonani, że Magda pójdzie drogą Ewy i jakość jej rządów (oraz wypowiedzi) będzie równa wysokim standardom z lat 2014–2015. Życzymy powodzenia i podobnych sukcesów wyborczych, które były udziałem pani premier Ewy Kopacz”.

Nie ma zgody na niespotykaną falę hejtu, jaka zalała wybitną naukowczynię, badawczynię, intelektualinię, wizerunkowczynię i markowczynię, prof. dr hab. ***Mróz-Gorgoń Barbarę***. Tenkraj nie może sobie pozwolić na to, by tracić takie talenty. Osobę, która powinna być inspiracją i natchnieniem dla wszystkich fajnopolaków i unijczyków polskiego pochodzenia. Ten suffering, który ją dotknął, można naprawić tylko w jeden, prawdziwie edżajlowy sposób. To przyznanie pani profesor doktor habilitowanej Nagrody Nobla. Jest przecież ekonomiczna Nagroda Nobla. Może być też literacka, bo raport „Polaków portret własny” to kawał dobrej, awangardowej literatury surrealistycznej. PS Uniwersytetowi Ekonomicznemu we Wrocławiu gratulujemy absolwentki i jednocześnie wykładowczyni. Dzięki niej na pewno rozbijecie bank w rankingu szanghajskim.

Jeszcze jeden PeeS. Pani profesor doktor habilitowana Barbara Mróz-Gorgoń zajmowała się programem „Marka Polska”. To wspaniała idea, która jest wielką szansą dla Tenkraju. Jeśli nie da się wprowadzić ojro, to zamieńmy tę okropną zaściankowo-nacjonalistyczną złotówkę na markę polską. Pamiętacie dojcze marki? To był pieniądz! I komu to szkodziło...

Posły skaczą niedościgle, posły robią pośle figle. Niech pan spojrzy na Czarzastego, co za poseł proszę pana – wrocławskie zoo ma słynne Afrykanarium, łódzki zoopark – Orientarium, a warszawski Sejm będzie miał Parlamentarium. Na taki pomysł wpadł ***Wołodia Marszałek Czarzasty***. Wrócił z wycieczki do Berlina, gdzie popadł w zachwyt, bo niemieccy towarzysze mają już taki obiekt. Zwiedzający będą mogli z bliska podziwiać szpagaty, fikołki i inne zachowania posłów w ich naturalnym środowisku. Uwaga! Będzie obowiązywał zakaz dokarmiania posłów, gdyż i tak są przekarmieni. Kolejna dobra wiadomość jest taka, że Parlamentarium będzie liczyło dwie kondygnacje pod ziemią. Jest też zła: trzy kondygnacje będą nad ziemią.

Jest przełom w śledztwie Zondacrypto. Trwają intensywne czynności – poinformował minister ds. rozliczeń ***Waldek Żurek***. To musi się udać, bo niejaki pan Kral, który był wielkim złoczyńcą, jest już interesującą postacią, gdyż jego zeznania pogrążą całą prawicę. Sukces jest tym bardziej mu-

eprasa.pl 69fe0b3f94

rowany, że reprezentantami pana Krala będę mecenasi Dubois (czyt. Dybuła) i Giertych (czyt. Koń). Ten śledczy wunderteam z łatwością dopadnie wszystkich pisiorów i ich zdruzgocze, tak jak się to udało ze śledztwem w sprawie Dwóch Wież. Gdyby jednak przełom był zbyt mały i znów nie udało się nikogo rozliczyć, to Waldek ma plan Be. Gdyby zaś plan Be nie zadziałał, jest też plan Be dwa, potem Be trzy i tak dalej, aż do nieskończoności. Tych planów Be nikt nie pokona.

Ciekawe, czy gdyby Przemek Kral zapuścił długą brodę i wąsy, to byłby podobny do Tomasza Mraza. Oba nazwiska są utrzymane w podobnej stylistyce, mecenas ten sam, więc czas powtórzyć sukces. Dzięki temu praworządność walcząca (tak jak my rozumiemy praworządność) będzie miała już dwóch Panów Kleksów.

Kolejny news z pełnego sukcesów życia Waldka Żurka: „Powołałem ponad 100 prokuratorów w całym kraju, którzy aktywnie ścigają każdy przejaw nienawiści" – ogłosił Waldek w Warszawie, na Placu Zamkowym, w czasie Święta Niepodległości Ukrainy. Popieramy to jako krok w dobrą stronę, ale ciągle nam mało. Tysiąc prokuratorów nie wystarczy, więc liczymy na kolejne powołania, gdyż prawactwo podnosiłby i swoją nienawistną obecnością doprowadza do szału demokratów walczących. Powołanym prokuratorom dedykujemy słowa pieśni: „Lecz ludzi dobrej woli jest więcej / i mocno wierzymy w to / że Tenkraj nie zginie nigdy dzięki nim. / Nadszedł już czas, najwyższy czas, / nienawiść zniszczyć w sobie". A dokładniej – w prawakach, łącznie z nimi samymi.

À propos zwalczania nienawiści. Mądrego dobrze posłuchać. Marcin Wiceminister Bosacki, pogromca Rosjan i niewieścich serc, wypowiedział ważne słowa. O tym Nawrockim z Gdańska: „Na pewno jest to najbardziej destrukcyjna, szkodliwa i niszcząca tkankę państwową prezydentura od końca 1989 r. Jaruzelski nie był tak szkodliwy" – stwierdził, będąc gościem w Telewizji w Likwidacji Nieustającej.

Naszym zdaniem to zbyt łagodna opinia. Przecież wiadomo, że ten Nawrocki z Gdańska jest gorszy od Hitlera, Stalina i Pol Pota razem wziętych. Może Jarosław Kaczyński jest gorszy od niego. Natomiast nieco niestosowne wydaje się nam zestawianie prawackiego zła z Wojciechem Żołnierzem. Przecież stan wojenny był kulturalnym wydarzeniem, podczas którego nie było jakichś szczególnych prześladowań, co podkreślał płk Mazguła Adam, autorytet moralny strony demokratycznej. Dlaczego on nie jest profesorem doktorem habilitowanym? Dlaczego to nie on dba o wizerunek Marki Polskiej?









Te i inne pytania zadajemy sobie nieustannie. Czy musiało dojść do odwołania prof. dr hab. Baśki Mróz-Gorgoń? Skoro doszło, to znaczy, że musiało. Niestety. Skoro jednak została odwołana, to zgłaszamy następną znakomitą kandydaturę do dbania o wizerunek rządu Pana Premiera Tuska i całego Tenkraju. To pan Robert z Ełku, astrolog i cwany gapa. Wyhaczył 84 tys. peelenów od marszałka województwa warmińsko-mazurskiego. Napisał, że potrzebuje tej kasy, gdyż chce nauczyć się języków obcych. Bardzo szlachetne, pochwalamy! Konkretnie chodzi o język lengłydż, język rosyjski oraz Muttersprache z Mocarstwa Moralnego. Znajomość tych języków jest panu Robertowi potrzebna do czytania w oryginale literatury fachowej z dziedziny astrologii i wróżbiarstwa. „Absolutnie nie wolno lekceważyć Rosjan w tej dziedzinie" – podkreślił pan Robert i pochwalił się swoimi sukcesami naukowymi, niewątpliwie na miarę dorobku prof. dr hab. Baśki Mróz-Gorgoń. Pan Robert zbadał wpływ planet i gwiazd na cykl rozrodczy rybek rozdymek. Jego praca pt. „Tarło rozdymek a synodyczny cykl księżycowy" to arcydzieło tego samego rzędu co „Polaków portret własny" autorstwa prof. dr hab. Baśki z Wrocławia.

Dziękujemy marszałkowi Kuchcińskiemu (nazwisko może mylić, ale to inny Kuchciński i całkiem dobry, bo z Koalicji Obywatelskiej) za wsparcie geniusza. A osobom krytykującym pana Roberta odpowiadamy: skoro jesteście mądrzejsi od niego, to dlaczego wy nie wyhaczyliście takiej dotacji? PS Na stanowisko pełnomocnika ds. Marki Polskiej zgłosiła się też Henryka Bochniarz. To ciekawa kandydatura, ale czy ona nie jest zbyt młoda na tę funkcję?

Z życia ***Rafała Trzaskowskiego*** (pewnie pamiętacie gościa, a jak nie, to sprawdźcie na Wiki): Campus walczy, Campus radzi, Campus nigdy was nie zdradzi. Są ludzie, którzy pamiętają o Campusie i – nie uwierzycie – uważają, że nadal warto tam jeździć. Bo jest po co. Np. uczta duchowa – debata oksfordzka pt. „Każdy ma w życiu taki sam start, szanse i możliwości rozwoju". Uczestnicy: Szczerba & Joński. Najlepszy duet stand-upowy w Tenkraju. Czekamy też na debatę oksfordzką dwóch najwybitniejszych naszych oksfordczyków, czyli Radka Sikorskiego i Żorża Ponimirskiego. Tam będzie jeszcze mądrzej.

Fot. KPRM, Julita Szewczyk, Andrzej Wiktor (2x)

eprasa.pl 69fe0b3f94

WIEŻA BAB

Inteligencja w uśpieniu

Nawet OpenAI ostrzega, że modele mogą podawać nieprawdziwe informacje, wymagające weryfikacji przez użytkownika

Kiedyś ludzie udawali, że przeczytali książkę. Dziś udają, że napisali raport. To jest postęp. Progress. Innovation. Leadership. Strategic thinking.

Afera wokół prof. Barbary Mróz-Gorgoń jest być może najpiękniejszą historią o sztucznej inteligencji w Polsce. Nie dlatego, że AI popełniła błędy. AI popełnia błędy od zawsze. Najpiękniejsze jest to, że człowiek uznał je za wystarczająco dobre, by opublikować je pod własnym nazwiskiem. I jeszcze mówić o „DNA marki Polska". Brzmi jak premium.

Raport „Polaków portret własny" miał być dokumentem strategicznym. Miał pokazać światu, kim jesteśmy jako naród. Pokazał za to, że Katowice leżą w centralnej Polsce, młodzi Polacy biegle mówią po mandaryńsku, a polskich noblistów jest pięciu. Tak przynajmniej twierdził dokument, który – jak przyznała sama autorka – był „wspomagany AI" i nigdy nie powinien trafić do opinii publicznej. Tyle że trafił, a nawet został publicznie zaprezentowany. A gdy ktoś wreszcie go przeczytał, pełnomocniczka rządu ds. promocji marki Polska podała się do dymisji. Crisis management failed.

I nagle wszyscy zaczęli udawać zdziwionych. Przepraszam, ale czy naprawdę ktoś wierzył, że sztuczna inteligencja sama weszła na stronę fundacji, wygenerowała PDF, dopisała nazwisko pani profesor, stworzyła bibliografię, wrzuciła raport do internetu i na dodatek wystawiła fakturę?

I jeszcze ten język, który nieudolnie próbuje podrobić. Brzmiało tak, jakby LinkedIn ożenił się z generatorem cytatów motywacyjnych. „Holistyczna narracja marki narodowej". „Emocjonalna architektura doświadczeń". „Strategiczny alignment wartości". „Insight społeczny jako katalizator aspiracyjnego mindsetu". Wygląda to tak, jakby AI dostała zadanie: „Napisz coś bardzo mądrego, ale nie mów nic konkretnego." I wykonała je perfekcyjnie. Problem polega na tym, że coraz więcej ludzi uważa taki styl za synonim inteligencji. Im mniej wiadomo, o co chodzi, tym bardziej naukowo brzmi. Można to nazwać efektem PowerPoint Intelligence. Kiedyś profesor imponował wiedzą. Dziś imponuje słowem „framework".

Jest pewna zasada, o której twórcy AI mówią od początku: modele językowe potrafią wymyślać fakty. Nazywa się to elegancko hallucination. Brzmi prawie romantycznie. Tylko że halucynacja w poezji to metafora. Halucynacja w raporcie za publiczne pieniądze to kompromitacja. AI nie wie, że Katowice nie leżą w centrum Polski. Ona przewiduje najbardziej prawdopodobne kolejne słowo. Jeśli człowiek nie sprawdzi wyniku, dostaje literaturę science fiction udającą naukę. Nawet OpenAI ostrzega, że modele mogą podawać nieprawdziwe informacje, wymagające weryfikacji przez użytkownika. Czyli dokładnie odwrotnie niż zrobiła pani profesor.

Jest w tej historii coś pocieszającego. Raport nie został zdemaskowany przez superkomputer – zrobił to człowiek, który przeczytał dokument. Wytknął błędy, niespójności, dziwne przypisy i absurdalne wnioski. Krytyka dotyczyła nie tylko wykorzystania AI, lecz przede wszystkim także jakości warsztatu badawczego. Czyli stara technologia pokonała nową. Kiedyś nazywało się to „czytanie ze zrozumieniem".

Cała branża AI powtarza dziś modne hasło: „human in the loop". Człowiek powinien być ostatnim filtrem. Mam wrażenie, że w Polsce zrozumiano to odwrotnie. AI jest w pętli. Człowieka już nie ma. W efekcie dostajemy raport o Polsce napisany przez algorytm, przeczytany przez nikogo i podpisany przez profesora. Jeżeli tak ma wyglądać przyszłość, to proponuję od razu pójść krok dalej. Niech ChatGPT napisze habilitację, Claude napisze recenzję, Gemini przygotuje opinię wydawniczą, Copilot wystawi ocenę, a minister wręczy nominację. Będzie szybko. Będzie cyfrowo. Będzie state of the art. Pozostaje tylko drobne pytanie: po co w tym wszystkim człowiek? Bo jeśli jego jedynym zadaniem jest kliknięcie „Generate", to nie sztuczna inteligencja staje się inteligentniejsza – to naturalna inteligencja zaczyna przechodzić w tryb uśpienia.

Dorota Łosiewicz



Kryptosonda i rogowe okulary

Ronald Kiełz ogromnym zadowoleniem przeczytał własny wpis na Igreku. „Serial dopiero się rozkręca” – ten fragment szczególnie go usatysfakcjonował. Premier doskonale wiedział, co pisze. Spojrzał na dwie osoby, z którymi miał zrealizować swój misterny plan skompromitowania opozycji: Roman Naszaszkapa, szara eminencja obozu władzy, oraz Waldemar Barszczyk, minister sprawiedliwości, stali wyprężeni na baczność.



– Panowie, jestem z was zadowolony – powiedział uroczystym tonem. – Z moich ust rzadko padają komplementy, ale dzisiaj muszę wam pogratulować. Operacja „Krypto” rozwija się fantastycznie.

– Kierowniku, to wyłącznie twoja zasługa – stwierdził służalczo Barszczyk. – To ty kazałeś niezależnej prokuraturze polecieć na Ibizę i zaproponować temu prezesowi Kryptosondy status świadka koronnego. Chłopak po rozmowie z moim człowiekiem okazał się rozsądny. Obiecał wyśpiewać wszystko w zamian za łagodny wyrok.

– Tylko nie wszystko, Barszczyk, tylko nie wszystko! – Kieł lekko podniósł głos. – Właśnie dlatego bezpośrednio nadzoruję tę akcję, żeby ten prezesik przypadkiem nie powiedział czegoś przeciwko nam. Przecież Kryptosonda płaciła prawie wszystkim, a głównie naszym. I od tego mamy Romana, który będzie bronił prezesa. Ma tak kierować jego zeznaniami, żeby błoto przykleiło się tylko do opozycji. Potrafisz, Roman?

– Ronaldzie, czy ja potrafię? – W głosie Naszejszkapy słychać było nutę rozżalenia. – Myśmy z Foką nie takie rzeczy robili. Tak go pokieruję, że zaśpiewa, jak mu zagramy. Nasi wrogowie już leżą i płaczą! Nie pozwolę Barszczykowi, żeby to spieprzył...

– Ty się, Roman, ode mnie odczep! – Barszczyk zawarczał i obnażył kły. – Już nieraz obiecywałeś różne rzeczy i nic z tego nie wychodziło. Jakoś słabo ci idzie zapowiadane rozliczenie zbrodni Fiony. Najlepiej to ci wychodzi skręcanie kasy!

Obaj goście Kła już mieli się złapać za klapy marynarek, ale premier wstał i krzyknął:

– Stać! Kłócicie się jak dzieci, a teraz jest czas zwierania szeregów. Podczas operacji „Krypto” zabraniam sporów personalnych. Jeśli nie chcecie siedzieć w sąsiadujących celach po zmianie rządu, to musicie współpracować! Na razie mój genialny plan działa. Sprawa Kryptosondy przykryła to, co wydawało się nie do przykrycia. Bo przecież ulokowanie w Trybunale Konstytucyjnym Macieja Gonionego, mojego dobrego funfla i jednocześnie ministra, to rzecz nie do obrony...

– Nie widzę w tym nic złego – włączył się Naszaszkapa. I powtórzył: – Myśmy z Foką nie takie rzeczy robili. Jak masz wiernego druha, to możesz mu powierzyć najważniejsze sprawy. Czyli w moim przypadku pieniądze, a w twoim, Ronaldzie, bezkarność po zmianie władzy...

– Po ewentualnej zmianie władzy – sprostował Barszczyk, chcąc się przypochlebić Kłowi. – Goniony to jeszcze nic, ale że udało się przykryć sprawę prof. Spiekoty-Żmudy, to majstersztyk!

– Chłopaki, jaka tam z niej profesor. – Kieł zdobył się na chwilę szczerości. – Spiekota-Żmuda miała ambicje i podpięła się pod byłego prezydenta tego miasta, no, jak mu tam, na literę B, co leży chyba gdzieś na północy Tenkraju... Już mam: Breslau.

– To na południu – zaoponował Barszczyk.

– Nie znasz się na geografii. Niedawno czytałem, że na północy! – Kieł lekko się zdenerwował, że podwładny mu się wtrąca. – O czym ja mówiłem... Aaa, no i były prezydent Breslau postanowił jej pomóc i ustawił jej ścieżkę kariery po linii naukowej.

– Jakiej naukowej?! – zaprotestował Naszaszkapa, który jako były minister edukacji uważał się za specjalistę od nauki. – Nauczyła się paru zagranicznych słów z internetu i tyle. No i jeszcze kupiła sobie rogowe okulary, żeby mądrzej wyglądać!

Powiedziawszy te słowa, Naszaszkapa mimowolnie poprawił na nosie rogowe okulary.

– Jesteś zbyt surowy, Romanie – odparł Kieł. – Spójrz na to z innej strony. Bazując wyłącznie na wyglądzie zewnętrznym, wyuczeniu się na pamięć kilkunastu niezrozumiałych słów i angielskich zwrotów oraz umiejętności przepisywania tekstów wygenerowanych przez sztuczną inteligencję, ta ambitna kobieta doprowadziła do sytuacji, w której pół Tenkraju uwierzyło, że jest profesorem i ma kompetencje.

– Ty uwierzyłeś i zatrudniłeś – zauważył celnie Naszaszkapa.

– Oczywiście – przyznał Kieł bez mrugnięcia powieką. – Wziąłem ją, bo to jest nasz styl. Zero kompetencji i naprawdę niezły wygląd.

MuMa

Fot. Grafika wygenerowana przez AI/MuMN

eprasa.pl 69fe0b3f94

Bunt przeciw kurierom

W Republice Południowej Afryki zauważalnie spadła liczba kurierów rozwożących jedzenie. Mniej jest także kierowców taksówek na aplikacje oraz kobiet pracujących w charakterze pomocy domowej. Większość zatrudnionych w tych branżach stanowili przyjezdni z sąsiednich krajów, którzy zaczęli masowo wyjeżdżać z RPA w obawie przed rozruchami.



RPA

W ostatnich tygodniach dziesiątki tysięcy imigrantów zostało deportowanych lub uciekło, gdy południowoafrykańskie miasta stały się areną zamieszek. Demonstranci chodzili od drzwi do drzwi, poszukując cudzoziemców i nakazując im natychmiastowy wyjazd z kraju. Obwinia się ich, że pracując za groszowe stawki, doprowadzili do wzrostu bezrobocia wśród miejscowej ludności.

W RPA – według szacunków tamtejszego banku centralnego – w ub.r. przebywało 3,9 mln imigrantów, z czego 89 proc. stanowiły osoby bez dokumentów. Prawie połowa przyjezdnych pochodziła z Zimbabwe, niewiele mniej przyjechało z Malawi i Mozambiku.

Nieszczelne granice i słabe egzekwowanie prawa w RPA ułatwiły milionom imigrantów wjazd do kraju, gdzie pracowali dłużej i za niższe wynagrodzenie niż miejscowi. Wielu z nich szukało pracy za pośrednictwem platform on-line, takich jak SweepSouth (aplikacja dla poszukujących pomocy domowej), Uber oraz jego tańszy konkurent inDrive. W niektórych firmach kurierskich imigranci stanowili ponad 70 proc. wszystkich zatrudnionych. Słowo „zatrudnionych" jest tu oczywiście nadużyciem, ponieważ kurierzy nie podpisywali stałych umów, a ich zarobek był określany od ilości i wartości dostarczonego towaru. Inną branżą, która chętnie przyjmowała imigrantów do pracy, były firmy tekstylne. Ich pracownicy otrzymywali groszowe wypłaty i nocowali w barakach.

Masowy najazd imigrantów do pracy w RPA trwa od co najmniej 25 lat, gdy zaczęli tu ściągać mieszkańcy pogrążonego w permanentnym kryzysie gospodarczym sąsiedniego Zimbabwe. Potem dołączyli przybysze z Malawi, gdzie 47 proc. 22-milionowej populacji żyje poniżej oficjalnego progu ubóstwa, wynoszącego 1 dol. dziennie (!).

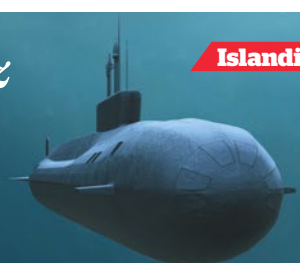
Oficjalne statystyki wskazują, że imigranci co roku przesyłali do swoich krajów setki milionów dolarów. Ich masowy powrót do domu oznacza koniec tych transferów i dalsze pogłębienie ubóstwa. Jak się oblicza, w ostatnich tygodniach do swoich krajów wróciło 100 tys. obywateli Zimbabwe i 53 tys. Malawijczyków.

Międzynarodowe korporacje i przedsiębiorcy zatrudniający imigrantów narzekają na ucieczkę tanich pracowników, ale sami – w pogoni za zyskiem – doprowadzili do tak ostrych napięć.

Konrad Kołodziejski

Jeśli chcesz pokoju, szykuj się do wojny

Islandia



Islandia jest jedynym państwem członkowskim NATO, które nie posiada sił zbrojnych. Przez dziesięciolecia bezpieczeństwo tej atlantyckiej wyspy było chronione – na podstawie porozumienia z 1951 r. – przez Stany Zjednoczone, które w zamian mogły korzystać z baz wojskowych.

Aby odstraszyć ewentualnych agresorów, Amerykanie dwa razy w roku organizują na Islandii ćwiczenia sił zbrojnych państw Sojuszu Północnoatlantyckiego pod kryptonimem „Northern Viking". Ich celem jest ochrona infrastruktury krytycznej i szlaków morskich wokół wyspy. Islandia jest bowiem ryglem, zamykającym rosyjskim okrętom wychodzącym z portów na Półwyspie Kolskim dostęp do Północnego Atlantyku. W ostatnich latach, oprócz aktywności okrętów podwodnych Federacji Rosyjskiej, zaobserwowano również większą niż wcześniej liczbę chińskich jednostek. Jak powiedział Alexus Grynkewich, naczelny dowódca sił NATO w Europie: „Dzisiaj rzekome rosyjskie i chińskie statki badawcze przeprowadzają wspólne patrole, ale wszyscy wiemy, że nie robią tego, żeby liczyć maskonury".

W odpowiedzi na zagrożenia Islandia przyjęła w lutym pierwszą w swojej historii doktrynę obronną. Kładzie ona nacisk na członkostwo w NATO i podkreśla wagę dwustronnej umowy wojskowej ze Stanami Zjednoczonymi. „Oczywiście Islandia nie ma stałych wojsk. Ale mamy policję narodową, straż przybrzeżną i zasadniczo wykonujemy zadania, które można porównać do zadań wykonywanych przez wojsko" – powiedział Marvin Ingólfsson, zastępca dowódcy bazy lotniczej w Keflaviku.

Coraz aktywniejszy jest ruch Strażników Islandii, nawołujący do utworzenia stałej armii. Zdaniem jego członków licząca 400 tys. mieszkańców Islandia mogłaby powołać siły zbrojne o liczebności 2 tys. osób i przeszkolić 40 tys. (10 proc. populacji) rezerwistów, którzy mogliby stawiać opór do momentu przybycia posiłków sojuszniczych. Arnór Sigurjónsson, były oficer norweskiej armii, uważa, że Islandia jest w stanie zorganizować siły ochotnicze o takim potencjale, wykorzystując zachęty ekonomiczne i przekonując obywateli, że lepiej być wyszkolonym i przygotowanym niż bezbronnym.

Marek Budzisz

Fot. Shutterstock x4

eprasa.pl 69fe0b3f94

AfD napędzane imigracją

Gdy Friedrich Merz kandydował na kanclerza, zapowiedział, zmniejszenie poparcia dla Alternatywy dla Niemiec (AfD) o połowę. Nie udało mu się to. AfD jest obecnie drugą siłą polityczną w Bundestagu i wyprzedziła CDU/CSU w sondażach ogólnokrajowych, a w Saksonii-Anhalt, gdzie 6 września odbędą się wybory, jest nawet bliska zdobycia bezwzględnej większości, z poparciem przekraczającym 40 proc.

Dlaczego coraz więcej niemieckich wyborców głosuje na AfD? Nowe badanie przeprowadzone przez Uniwersytet Saary dostarcza jasną odpowiedź na to pytanie i fundamentalnie podważa jedno z najczęściej podawanych wyjaśnień wzrostu popularności partii. Według badaczy – Martina Schrödera, Moritza Rehma i Anji Röcke – to nie zła sytuacja ekonomiczna, lecz obawa przed imigracją jest najsilniejszym czynnikiem napędzającym poparcie dla AfD. Przeanalizowali oni dane z lat 2014–2024, obejmujące ponad 32 tys. obywateli, a wyniki ich badań podważają tezę o tzw. przegranych modernizacji. Chodzi o pogląd, że AfD popierają przede wszystkim osoby znajdujące się w kiepskiej sytuacji finansowej i o niskim poziomie wykształcenia.

Według badaczy czynniki, takie jak dochody, wykształcenie czy sytuacja zawodowa, w niewielkim stopniu wyjaśniają poparcie dla AfD. Inaczej jest w przypadku obawy przed imigracją, która odpowiada za ok. 75 proc. sympatii dla tej partii, a nawet 90 proc. faktycznych zachowań wyborczych. „To nie są ludzie pokrzywdzeni" – podkreślili badacze.



Niemcy

Zdaniem naukowców osoby zamożne są ponaddwukrotnie bardziej skłonne do głosowania na AfD niż uboższe, ale nieobawiające się imigracji. Prawdopodobieństwo poparcia tej formacji politycznej wśród „przegranych modernizacji" wynosi jedynie 3,7 proc. Taki współczynnik u „zwycięzców modernizacji" – osób o wysokich dochodach, wykształconych, zadowolonych z sytuacji ekonomicznej, ale zaniepokojonych imigracją – wynosi 8 proc.

Nie powinno to nikogo dziwić. Już w 2014 r., gdy powstała AfD, sceptycyzm wobec imigracji był decydującym czynnikiem poparcia dla tej partii, ponadtrzykrotnie silniejszym niż jakikolwiek wskaźnik związany z wykluczeniem społecznym. Będzie to zapewne twardy orzech do zgryzienia dla partii lewicowych. SPD, Zieloni i Lewica koncentrują się przede wszystkim na polityce społecznej, aby odzyskać wyborców AfD. Badanie sugeruje, że ta strategia raczej zawiedzie. Oznacza to również, że nawet najodważniejsze reformy gospodarcze, na które wciąż nie może zdecydować się kanclerz Merz, nie osłabią AfD, dopóki w radykalny sposób nie zmieni się polityka migracyjna.

Aleksandra Rybińska

Bangladesz

Tylko dla kobiet



W Dhace, stolicy Bangladeszu, uruchomiono nowy rodzaj transportu miejskiego – różowe autobusy, przeznaczone tylko dla płci pięknej. To odpowiedź na skargi wielu kobiet, które żaliły się, że w przepełnionych pojazdach często są obmacywane, nękane, a nawet molestowane przez współpasażerów płci przeciwnej. Zażaleń było tak wiele, że stołeczne władze postanowiły zareagować i wyjść naprzeciw postulatom wysuwanym przez przedstawicielki rodzaju żeńskiego.

Podobna inicjatywa wystartowała także w innych miastach Bangladeszu, takich jak Ćottogram czy Bogra. Wyjątkowość przedsięwzięcia polega na tym, że kobietami są nie tylko pasażerowie, lecz także kierowcy i kontrolerzy biletów. Twarzą projektu stała się 28-letnia Khadija Akhter, prowadząca jeden z autobusów z Dhace. Gdy wiadomość o tym pojawiła się w przestrzeni publicznej, kobieta spotkała się z wieloma obraźliwymi komentarzami, pogróżkami i obelgami w mediach społecznościowych. Wielu internautów kwestionowało przy tym kompetencje kobiet do prowadzenia dużych pojazdów mechanicznych.

Władze kraju, dążące do większej aktywizacji zawodowej kobiet, zdają sobie sprawę, że jedną z przeszkód na drodze do osiągnięcia tego celu pozostaje kwestia transportu publicznego dla pań dojeżdżających do pracy. Nękanie słowne oraz niechciany i niewłaściwy kontakt fizyczny często zniechęcają do podróży autobusami miejskimi.

Część obserwatorów uważa jednak, że różowy tabor autobusowy nie stanowi rozwiązania problemu, ponieważ w stołecznej aglomeracji mieszka aż 36 mln ludzi, a transport dla kobiet obejmuje zaledwie 10 autobusów na wydzielonych liniach. Na dłuższą metę receptą na sukces powinno być stworzenie takiego systemu, w którym wszystkie pojazdy byłyby bezpieczne dla płci pięknej. To jednak wymaga zasadniczych zmian w podejściu mężczyzn do kobiet. By to osiągnąć, w tym azjatyckim kraju, zamieszkałym w 90 proc. przez bengalskich muzułmanów, musiałaby się dokonać radykalna przemiana mentalna.

Grzegorz Górny

eprasa.pl 69fe0b3f94

„Uruchomiliśmy wsparcie dla przemysłu” – ogłasza Tusk. Na razie działa komunikat

Rząd ogłosił wsparcie dla przemysłu energochłonnego. Słowo „uruchamiamy” zostało wypowiedziane pewnym tonem. Na razie uruchomiono komunikat. Ustawa ma trafić pod obrady dopiero w trzecim kwartale 2026 r., pieniądze mają ruszyć od 2027 r. W tym czasie Niemcy będą już rozliczać własny program. Inne stolice regionu też nie czekały, aż Warszawa skończy rozmyślać. Komisja zdążyła im przytaknąć. U nas sukces polega na tym, że dokument w ogóle istnieje.



Według rządu ma to być przełom. Przemysł ma inne zdanie. Realna ulga ma się zamknąć w kilkudziesięciu złotych za megawatogodzinę, i to na krótko. Tyle zostaje z wielkiej opowieści o silnym przemyśle po przejściu przez unijną maszynkę. Ramy pomocy z czerwca 2025 r. działają jak kaganiec. Wolno obciąć najwyżej połowę średniej ceny hurtowej. Wolno objąć najwyżej połowę zużycia. Cena po dopłacie nie zejdzie poniżej 50 euro. Państwo nie daje taniego prądu – państwo daje zgodę Brukseli na to, by prąd był trochę mniej drogi. I to z opóźnieniem.

Reszta warunków brzmi jak instrukcja cudzego interesu. Połowa pomocy wraca w inwestycje transformacyjne. Odnawialne źródła. Elektryfikacja. Magazyny. Najpierw dekarbonizacja, potem ewentualnie huta. Cel jest czytelny. Katalog wydatków i inwestycji układa kto inny. Rząd sprzedaje to jako tarczę, która ma dziury wycięte nad Sekwaną i podane w Warszawie jako własne osiągnięcie.

Budżet to 4,8 mld zł na cztery lata. Na początek 800 mln, potem kolejne, większe transze, na końcu znów mniej. Niemcy na trzy lata mają 3,8 mld euro. Można się więc chwalić miejscem w unijnej tabeli, tabela nie ogrzeje jednak pieca. Berlin bierze więcej i wcześniej, Warszawa ogłasza pomoc i od razu szuka, kto za nią zapłaci.

Źródło pieniędzy jest szczególnie smaczne. Wielkie firmy paliwowe, gazowe i najwięksi dystrybutorzy energii mają w 2027 r. oddać 30 proc. podatku zamiast 19 proc. Potem stawka nieco spadnie. Przemysł dostanie dopłatę. Energetyka wystawi rachunek. Ten sam organizm, który miał trzymać bezpieczeństwo dostaw, ma sfinansować spóźniony program dla hut. To nie jest strategia – to przerzucanie pieniędzy z lewej kieszeni do prawej. Do tego dochodzi ryzyko długiego sporu o ustawę. Inwestor lubi kalendarz. Dostaje podatek od razu, od razu dostaje też warunek, za to obietnicę – na przyszły rok.

Za poprzednich rządów rekompensaty były niemal natychmiastowe. Fundusz rekompensat działał, zanim Bruksela wymyśliła nową ramę i nowy język sukcesu. Równolegle rosły moce na Bałtyku, zaplecze petrochemiczne i multienergetyczne. Bezpieczeństwo nie było zdaniem na konferencji – było inwestycją. Dziś po prostu przejadamy ten dorobek. Inni biorą dopłaty, my robimy dobrą minę do unijnego regulaminu.

Ceny energii dla wielkich odbiorców w Polsce należą do najwyższych w UE. Polski zakład płaci wyraźnie więcej niż niemiecki. Jeszcze więcej dzieli nas od Hiszpanii. Francuski odbiorca jest w innej lidze – tam mają atom. U sąsiada z Zachodu istnieją duże ulgi w opłatach sieciowych. Tam chronią przemysł konkretnymi narzędziami fiskalnymi, tu chronią go zapowiedzią. Różnica nie wymaga komentarza ideologicznego. Widać ją na fakturze.

Bruksela nie poprzestaje na limitach pomocy. Pisze ustawę o unijnym przemyśle. Ma podnieść udział produkcji w unijnym produkcie. W zamówieniach publicznych pojawią się wymogi pochodzenia unijnego i niskiej emisji. Stal. Cement. Aluminium. Czyste technologie. Obrona Europy brzmi dostojnie. Polska stal startuje z droższą energią i ze słabszej pozycji. To nie jest wsparcie wyprodukowane w Europie. To jest wsparcie ułożone pod tych, którzy już mają tańszy prąd i lepszy dostęp do unijnego ucha.

Chwali się, że dopłata nie zabija bodźca do kupowania tańszego prądu w słoneczny dzień. Piękna zaleta. Szkoda, że inni przetestują ją w praktyce, podczas gdy polski odbiorca wciąż będzie czytał założenia. Izby przemysłowe proszą o pakiet. Taryfy. Opłaty. Stabilne programy. Prawo na lata. Dostają jeden instrument z unijnej półki i podwyżkę podatku dla energetyki. Hutnictwo od lat słyszy obietnice taniej energii. I na obietnicach się kończy.

Społeczeństwo w Polsce popiera pomoc dla firm duszonych ceną prądu częściej niż reszta UE. Ludzie wiedzą, że huta to pensje, eksport i miejsce na mapie. Rząd wie to w dniu ogłoszenia. Potem wraca do limitu KE, katalogu inwestycji i harmonogramu, w którym Polska jest grzecznym petentem z końca stawki. Najpierw inni, potem my. Najpierw podatek, potem dopłata. Najpierw zielony warunek, potem ewentualna konkurencyjność.

Przemysł przygotowuje się do tych ram od ponad roku. Czeka. Sąsiedzi już korzystają. KE chwali nowe narzędzia. Berlin wpisuje kwoty. Warszawa ogłasza uruchomienie tego, czego jeszcze nie ma i każe energetyce zapłacić za program, który i tak nie zejdzie poniżej unijnej podłogi. To nie jest ratunek – to sztuka opowiadania o ratunku. W tej sztuce Polska dostała rolę statysty, który trzyma fakturę i ma być wdzięczny.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl 69fe0b3f94

Globalizacja była błędem



Marta Kaczyńska-Zielińska

Próba zrozumienia polityki Donalda Trumpa wyłącznie przez pryzmat jego osobowości prowadzi na manowce. Znacznie bardziej złożony obraz wyłania się z zestawienia diagnoz Tomasza Wróblewskiego z Warsaw Enterprise Institute oraz dziennikarza Tomasza Grzywaczewskiego, przedstawionych w rozmowach na kanale Bez Doktryny i na antenie Radia Wnet.

Obaj – choć z różnych punktów widzenia – opisują w istocie ten sam proces: Zachód przez trzy dekady budował swój dobrobyt na fundamencie, który okazał się fałszywy, opierał swoją politykę na atrakcyjnej intelektualnie, ale w gruncie rzeczy naiwnej konstrukcji. Wolny handel miał prowadzić do wzrostu dobrobytu, wzrost dobrobytu do wyłonienia się klasy średniej, rozwój klasy średniej do liberalizacji politycznej, a coraz silniejsza współzależność gospodarcza państw miała ostatecznie zmniejszać prawdopodobieństwo konfliktów. Globalizacja nie była więc jedynie sposobem organizacji produkcji – stała się częścią znacznie szerszej, ideologicznej wizji świata i to właśnie ta wizja, a nie tylko jej realizacja, okazała się błędna.

Najbardziej spektakularnym przykładem są Chiny. Ich włączenie do światowego systemu gospodarczego doprowadziło do olbrzymiego rozwoju handlu, ale zamiast obiecywanej konwergencji politycznej dało światu państwo, które stało się najpoważniejszym konkurentem USA. W imię teorii, nigdy niemającej solidnych podstaw, Zachód sam wykarmił rywala zdolnego dziś zagrozić jego pozycji.

Globalizacja rozdzielała korzyści w sposób z góry skazujący ją na polityczny bunt. Przez dziesięciolecia podstawowym pytaniem w gospodarce zachodniej było, gdzie można wyprodukować coś najtaniej. To pytanie, choć logiczne na poziomie pojedynczej firmy, okazało się katastrofalne jako zasada organizująca politykę całego państwa. Jeżeli fabryka zatrudniająca kilka tysięcy osób znikała z Ohio czy Pensylwanii, jej byli pracownicy nie odczuwali globalizacji jako sukcesu tylko dlatego, że mogli kupić tańszy telewizor. Tracili dobrze płatne miejsca pracy i bezpieczeństwo ekonomiczne, a ich miasta traciły bazę podatkową, szkoły, młodych ludzi i przyszłość. Globalizacja stworzyła asymetrię, to zaś musiało się kiedyś zemścić: szeroko rozproszone korzyści, brutalnie skoncentrowane straty. Miliony konsumentów zyskiwały po kilkadziesiąt czy kilkaset dolarów rocznie dzięki tańszym produktom, podczas gdy konkretna społeczność traciła przemysł, stanowiący podstawę jej ekonomicznego istnienia.

W tym miejscu znajduje się jedna z najważniejszych odpowiedzi na pytanie o fenomen MAGA. Trump nie wykreował tego niezadowolenia. On jedynie przyznał, że system mógł być wadliwy u podstaw, a nie tylko źle zarządzany. W związku z tym polityki celnej Trumpa nie należy traktować wyłącznie jako serii przypadkowych, kapryśnych konfliktów handlowych, lecz jako świadomą próbę odwrócenia dotychczasowego kursu, systemową korektę: zmianę rachunku ekonomicznego całych przedsiębiorstw, tak by produkcja w Ameryce znów stała się racjonalnym wyborem, a nie aktem ekonomicznego poświęcenia. Stary paradygmat pytał: co zapewni konsumentowi najtańszy produkt? Nowy pyta: co zapewni państwu miejsca pracy, zdolności przemysłowe, technologie i bezpieczeństwo? Błędem globalizacji nie był handel, lecz przekonanie, że efektywność ekonomiczna może zastąpić strategię państwa.

Europa dostała wyjątkowo bolesną lekcję tego mechanizmu na przykładzie Rosji. Gazociągi Nord Stream są być może najlepszym europejskim symbolem przekonania, że handel może zastąpić geopolitykę. Przez lata część europejskich elit, szczególnie w Niemczech, wychodziła z założenia, że coraz silniejsze powiązanie Rosji z europejską gospodarką będzie działało stabilizująco. Rosja sprzedaje Europie gaz, Europa płaci Rosji miliardy euro, obie strony stają się od siebie zależne, a koszt konfliktu rośnie tak bardzo, że agresywna polityka przestaje się opłacać. Była to w istocie energetyczna wersja tej samej teorii, którą zastosowano wcześniej wobec Chin: handel miał nie tylko przynosić dobrobyt, lecz także zmieniać zachowanie państw. Stało się odwrotnie.

REKLAMA



18/0726/F

eprasa.pl 69fe0b3f94



Walizka Przemysława Janiszewskiego

teologa, twórcy kanału na YouTube „Moc w słabości”

Moja mama cierpiała na chorobę alkoholową, która ją zabiła, kiedy miałem 16 lat (znalazłem ją martwą). Mój tata zginął w wypadku samochodowym 10 lat wcześniej. Po śmierci rodziców mną i moim bratem zajęli się mój wujek (brat naszego taty) i ciocia, stając się dla nas rodziną zastępczą. Trafiliśmy do bardzo religijnego domu, którego życie definiowała wiara katolicka. Początkiem mojego nawrócenia była modlitwa wstawiennicza w 1996 r., prowadzona przez wspólnotę Mocni w Duchu. Wtedy zacząłem się mocno interesować teologią, która już w czasach liceum była moją pasją. Moimi duchowymi przewodnikami stali się m.in. św. Jan Maria Vianney, św. Jan od Krzyża, św. Teresa z Ávili. Narodziło się we mnie pragnienie wstąpienia do Wyższego Seminarium Duchownego w Łodzi (spędzony tam czas to najlepszy okres mojego życia). Ostatecznie nie zostałem kapłanem. Po czterech latach formacji podjąłem decyzję o opuszczeniu seminarium – trzymała mnie w nim przede wszystkim nauka teologii, którą kocham do dziś. Po ukończeniu teologii na UKSW w Warszawie pracowałem jako katecheta przede wszystkim w szkołach licealnych. W 2015 r. założyłem na YouTube kanał ewangelizacyjny „Moc w słabości”, który dziś jest moją codzienną przestrzenią aktywności zawodowej, pełnej pasji do Boga, Niepokalanej i Kościoła. Trzy lata temu założyłem drugi kanał – „Pewność w niepewności”. Żyję w myśl dewizy, będącej hasłem przewodnim kanału „Moc w słabości”: „Do zobaczenia najpóźniej w Niebie”.





BIBLIA

Słowo życia i do życia życiem, droga i prawda przez codzienność.



RÓŻANIEC

Z relikwiami św. Faustyny i Pięciu Męczenników Pasjonistów oraz św. Marii Goretti, patronki ludzi czystego serca. Różaniec to dla mnie medytacja tajemnic codzienności.

eprasa.pl 69fe0b3f94



MIKROFON



Kanał „Moc w słabości”, który prowadzę od 2015 r., jest całym moim życiem. Nazwa pochodzi ze słów św. Pawła z 2 Listu do Koryntian: „Moc bowiem w słabości się doskonali” (2 Kor 12,9). W swoich materiałach pochylam się nad rozwojem duchowym i drogą do nieba, a goście kanału dzielą się swoimi świadectwami. Moje rozważania wiary skupiają się wokół biblijnej prawdy, że ludzka bezradność nie tylko nie dyskwalifikuje człowieka w oczach Boga, lecz także stwarza przestrzeń dla Jego działania. „Pewność w niepewności” to mój drugi projekt, który rozpocząłem trzy lata temu.

FIGURKA MARYI Z KIBEHO

Jako Matka Słowa Bożego i jednocześnie Matka Boża Bolesna. Dzisiaj cierpienie eliminuje się zarówno ze współczesnego świata, jak i po części z przepowiadania Kościoła oraz teologii, która nie chce o nim mówić.



ROWER



Na rowerze jeżdżę od szóstego roku życia. W czasach, gdy uczyłem katechezy w szkołach licealnych, miesięcznie pokonywałem 300 km. Rower traktuję jak moją piątą nogę.

„OSOBA I CZYN” KAROLA WOJTYŁY



Pisałem z niej pracę magisterską. Jednocześnie jest to symbol najlepszego okresu w moim życiu, czyli studiów teologicznych, które odbywałem głównie w Wyższym Seminarium Duchownym w Łodzi, a potem kontynuowałem jako osoba świecka na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie.

„ROZMOWY O MIŁOŚCI” MICHAELA QUOISTA



Jest to traktat o miłości i o tym, że miłość jest czymś realnym. Nie może unosić się w chmurach, ale powinna twardo stąpać po ziemi.

PIÓRO



30-letnie! Wróciłem do pióra z moich czasów studenckich z prozaicznej przyczyny – współczesne psuły się po kilku miesiącach. Używam wyłącznie czarnego atramentu. Pasją do pisania piórem zaraził mnie ks. Antoni (nazwiska niestety nie pamiętam), którego poznałem jako licealista w Instytucie Edukacji Narodowej.

KSIĄŻKI



Napisałem cztery książki, kończę piątą. W „Tajemnicy ukrytej Miriam” opisuję duchową walkę we współczesnym świecie i wskazuję Maryję jako przewodniczkę. „Pokój w czasach niepokoju” to przewodnik duchowy, który pozwala odnaleźć drogę w czasach, w których tak wiele osób odczuwa zagubienie i obawy o przyszłość. W „Nadziei w czasach beznadziei” przybliżam nauki i życie ks. Dolindo. „Odnieść zwycięstwo. Różaniec Wojownika Maryi” kieruję do osób pragnących pogłębić swoją modlitwę różańcową na podstawie nauczania Kościoła katolickiego.

BRACIA MNIEJSI



Pies Elmo i cztery koty: Gucio, Maja, Czarek i Migotka. Elmo został wzięty ze schroniska, gdy miał cztery miesiące. Migotka przez pół roku błąkała się po łódzkich ulicach. Czarek, najstarszy, bez jednego oka – wzięty z fundacji. Maja, najmniejsza i najmłodsza, z jednym martwym okiem, także wzięta z ulicy.

JEDZENIE



Od dwóch lat jeżdżę z kolegą do bezdomnych. Trzy razy w tygodniu, wieczorami i nocami, zawozimy osobom w kryzysie bezdomności zupę, owoce, gorącą herbatę, ubrania, a także modlimy się z nimi i nad nimi.

Wysłuchał i zapisał ***Michał Korsun***

Fot. Katarzyna Sendal, prywatne archiwum Przemysława Janiszewskiego

eprasa.pl 69fe0b3f94

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Odzyskać splendor wolnego narodu!



Jan Pietrzak

Autorka raportu o Polakach powiada: „Wykorzystałam AI [...]. Myślę, że co drugi profesor tak robi". Nie jest więc kompletną melepetą. Zakapowała co drugiego profesora i pochwaliła się, że myśli! O czym, o kim? O profesorach. Ściśle biorąc, o ich połowie. To by się zgadzało z potoczną oceną sytuacji. Półinteligencja wyręcza się sztuczną inteligencją.

Szumna nazwa urzędowego projektu to „Polaków portret własny". Powstał portret cudzy, na pewno nie własny, niezbyt ładny, powiedzmy wprost – głupkowaty. W ogóle sprowadzenie Polski do „marki" handlowej jest niemądre, do niczego niepotrzebne. Polska nie jest towarem, naród nie jest na sprzedaż, panowie cwaniacy! Polską się nie handluje, nawet jeżeli przypadkowo się nią rządzi. Tworzenie takich raportów jest pomysłem tandetnym, jak cały ten kiepski rząd, świadomie prowadzący nasz kraj do ruiny gospodarczej, do krachu finansowego. PR-owe sztuczki mają tworzyć pozory jakiejś aktywności, faktycznie zaś służą jedynie pompowaniu korupcyjnej kasy w kieszenie posłusznego aktywu.

Pozoranci nie wahali się nawet sprofanować święta Wojska Polskiego swoim hasłem „safe", na co zwrócił uwagę prezydent podczas uroczystej defilady. Słowa BÓG, HONOR, OJCZYZNA zostały zastąpione przez rządowych propagandystów reklamą finansowego geszeftu. Wstyd i hańba.

Rocznica Cudu nad Wisłą, jednego z największych zwycięstw polskiego oręża, przypomina – jak bolesna zadra – o braku Łuku Triumfalnego! A przecież gdyby uczciwie szukać ludzi określających, czym jest „polskość", znienawidzona przez Niemców i Rosjan, mamy ich setki, tysiące. Wielkich królów, zwycięskich wodzów, świętych kapłanów, wybitnych mędrców, olśniewających artystów. Przed laty proponowałem usytuowanie w Warszawie panteonu polskiej chwały. Kolumna Zygmunta III Wazy, książę Pepi na koniu, marsz. Józef Piłsudski na parkingu, Mikołaj Kopernik na siedząco – to trochę mało jak na stolicę 1000-letniego państwa w sercu Europy. Ukryci w parkach i krzakach: Ignacy Paderewski, Roman Dmowski, Jan III Sobieski, potraktowani bez pomnikowej charyzmy. No, może Juliusz Słowacki, Adam Mickiewicz i Fryderyk Chopin nie powinni narzekać na niesprzyjające otoczenie. Wincenty Witos też się nieźle ustawił. I dzieciak z powstania warszawskiego na Podwalu, szczególnie mi bliski pokoleniowo. Miałem wtedy 7 lat i po kilku dniach powstania też chełpiłem się zdobycznym hełmem. Najbardziej przykry jest brak okazałego pomnika św. Jana Pawła II w miejscu, z którego wołał do Ducha Świętego, by odnowił oblicze TEJ ZIEMI! Nasz prorok zwyciężył. Dzięki niemu powstała Solidarność. Wydostaliśmy się z sowieckiej niewoli!

Musimy wreszcie wybrać polskie władze Warszawy, by wydobyć się z kolejnej niewoli, w którą wpadliśmy z gapiostwa, lenistwa, nieuwagi. Staliśmy się popychadłem szulerów Europy. Musimy odzyskać splendor wolnego narodu!

Damski bokser zbił termometr



Samuel Pereira

Tego w polskiej polityce chyba jeszcze nie było. Minister w czasie pracy przegląda (albo ktoś robi to dla niego) Facebooka starosty Zambrowa, chwyta za telefon i dzwoni, by postawić ją do pionu i pogrozić rodzinie. Gdyby coś takiego działo się za rządów PiS, mielibyśmy kilka tygodni medialnej burzy i co najmniej dymisję.

Tymczasem mamy ministra rolnictwa Stefana Krajewskiego z PSL, który – według protokołu posiedzenia Zarządu Powiatu Zambrowskiego – miał przy świadkach powiedzieć do starosty Edyty Marchelskiej-Groszfeld: „Zrobię porządek z twoją rodziną" oraz „sprawdźmy, jak twój mąż zrobił karierę". A wszystko dlatego, że pani samorządowiec polubiła na Facebooku nagranie krytyczne wobec ministra.

To jest właśnie ten moment, w którym warto zatrzymać się nad słowem „lajk". Bo okazuje się, że w Polsce rządzonej przez „uśmiechniętą koalicję" kliknięcie przycisku „lubię to" może być dla lokalnego samorządowca czynem niemal rewolucyjnym. Zwłaszcza jeśli nie spodoba się komuś wystarczająco wysoko postawionemu.

Minister zaprzeczał, że groził staroście. Problem w tym, że istnieje protokół, w którym zapisano nie tylko, że rozmowa się odbyła, lecz także konkretne słowa. Rozmowa trwała 52 sekundy i była prowadzona na głośniku podczas posiedzenia zarządu powiatu. To nie jest więc anonimowa plotka z korytarza.

Sprawa jest nie tylko bulwersująca, lecz także pouczająca. Jak termometr pokazuje stan, w jakim są dzisiaj rządzący. Buta i arogancja, a emocje wywołane zwykłym „lajkiem" tak silne, że aż szokujące. Strach przed utratą władzy nie może tłumaczyć takiego zachowania. Wiem, odwoływanie się do standardów przy tej ekipie to wyraz sporej naiwności, ale wciąż myślę, że warto. Szczególnie że na to całkowicie odklejone od rzeczywistości zachowanie pozwolił sobie minister z partii, która prezentuje się jako ta „umiarkowana" w całej koalicyjnej plejadzie rządu Donalda Tuska. A do wyborów jeszcze rok.

eprasa.pl 69fe0b3f94

Niemcy ukradli. Nigdy nie zwrócili



Początek września. 87. rocznica wybuchu II wojny światowej. To także 4. rocznica prezentacji „Raportu o stratach poniesionych przez Polskę w wyniku agresji i okupacji niemieckiej w latach 1939–1945", którego przygotowanie miałem zaszczyt koordynować.

Właśnie teraz, w tych dniach, pod hasłem „Niemcy ukradli. Nigdy nie zwrócili", przy moim współudziale w centralnym punkcie Parlamentu Europejskiego prezentowana jest wystawa poświęcona polskim dziełom sztuki zrabowanym przez Niemców. Pokazujemy zaledwie niewielką część obiektów, które zostały ukradzione podczas okupacji i do dziś nie wróciły do Polski.

Rabunek nie był przypadkowy. Jednym z podstawowych celów niemieckiej okupacji było pozbawienie Polaków kultury, historii i tożsamości. Niszczenie muzeów, bibliotek, archiwów, kościołów i zabytków oraz grabież obrazów, rzeźb, starodruków czy prywatnych kolekcji stanowiły elementy zaplanowanej polityki okupanta. Niemcy cynicznie nazywali ten proceder „zabezpieczaniem" mienia.

Szacuje się, że w wyniku niemieckiej okupacji Polska utraciła ok. 517 tys. dzieł sztuki i innych obiektów dziedzictwa kulturowego. Do dziś ponad 60 tys. z nich udało się zidentyfikować i zarejestrować w polskiej bazie strat wojennych. Los ogromnej części pozostałych wciąż jest nieznany. Zrabowane obiekty co pewien czas odnajdują się w prywatnych kolekcjach lub trafiają na aukcje, także w niemieckich domach aukcyjnych. Są wśród nich przedmioty należące niegdyś do obywateli Polski, odebrane im w czasie niemieckiej agresji i okupacji.

Wierzę, że nasza wystawa w samym sercu europarlamentu będzie wyraźnym sygnałem także dla niemieckich przedstawicieli w PE. Najwyższy czas podjąć rzeczywiste działania na rzecz zwrotu zagrabionych dzieł sztuki, a szerzej – rozpocząć uczciwy dialog i mediację dotyczącą sposobu zadośćuczynienia Polsce i wypłaty należnych reparacji.

Minęło ponad 80 lat. Zmieniały się rządy, granice i pokolenia. Nie zmienił się jednak podstawowy fakt: zrabowane dzieło sztuki nie staje się legalną własnością tylko dlatego, że przez dziesięciolecia przechodziło z rąk do rąk. Tymczasem niemiecka dyplomacja nadal unika poważnej rozmowy o restytucji i zadośćuczynieniu za zniszczenie polskiej kultury. Dlatego trzeba mówić jasno: Niemcy ukradli. Nigdy nie zwrócili. A Polska ma prawo domagać się zwrotu swojej własności.

Arkadiusz Mularczyk

Niepokój z „Lalką" w tle

Z aktorką Agnieszką Makowską rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Co pani pamięta z 1989 r.?

Agnieszka Makowska: Jako wtedy kilkulatka – zapiekanki z budek, a właściwie przyczep, stojących na każdym rogu. I kolorowe napoje w przezroczystych torebkach. Pamiętam też Stadion Dziesięciolecia, gdzie na mrozie mierzyło się ciuchy, stając na kawałku kartonu. I rozstawiony pod Pałacem Kultury Cricoland (który pojawia się w naszym spektaklu). A także zaangażowanie, z jakim rodzice oglądali telewizję. Działo się coś ważnego.



Fot. Maciej Lipski/Teatr Rampa

Do 1989 r. wrócili twórcy spektaklu z warszawskiego Teatru Rampa, łącząc okres przełomu z przełomową lekturą. Czym jest „Lalka '89"?

To sprytny komentarz, trochę igraszka z innymi realizacjami, trochę żart, ale przede wszystkim refleksja na temat spraw ważnych i obecnych: kapitalizmu, materializmu, miłości, pojmowanych i w pozytywistyczny, i romantyczny sposób. To również uniwersalne spojrzenie na człowieka w świecie pieniędzy i gwałtownych zmian, które go unoszą.

I wszystko to w pulsującym, nie tylko kolorami, muzycznym spektaklu. Trochę horrorze. Na miarę czasów i trendów, które ponoć każdemu aktorowi każą marzyć o zagraniu w którejś z licznych adaptacji „Lalki". Kim jest pani bohaterka?

Marzena Świrska-Wnerwińska to polonistka, która uważa, że najważniejsza dla niej powieść jest na tyle uniwersalna, iż może być punktem wyjścia każdego, nie tylko maturalnego, pytania i zadania.

„Lalka '89" wróci do repertuaru 11 września, tuż przed premierami kinowej i serialowej „Lalki". Na którą pani szczególnie czeka?

Obejrzę obie, jak moja bohaterka. W październiku zapraszam też na „Niepokój nauczycielski". Tu Marzena Świrska-Wnerwińska gra już solo.

eprasa.pl 69fe0b3f94

TRENDY I OWĘDY

Profesorka z AI



Ryszard Makowski

Światem krajowej nauki wstrząsnął przypadek prof. Barbary Mróz-Gorgoń. Wzburzony prof. Radosław Zenderowski oświadczył: „Przecież ta kobieta w kilka godzin zdewaluowała stopnie i tytuły naukowe”.

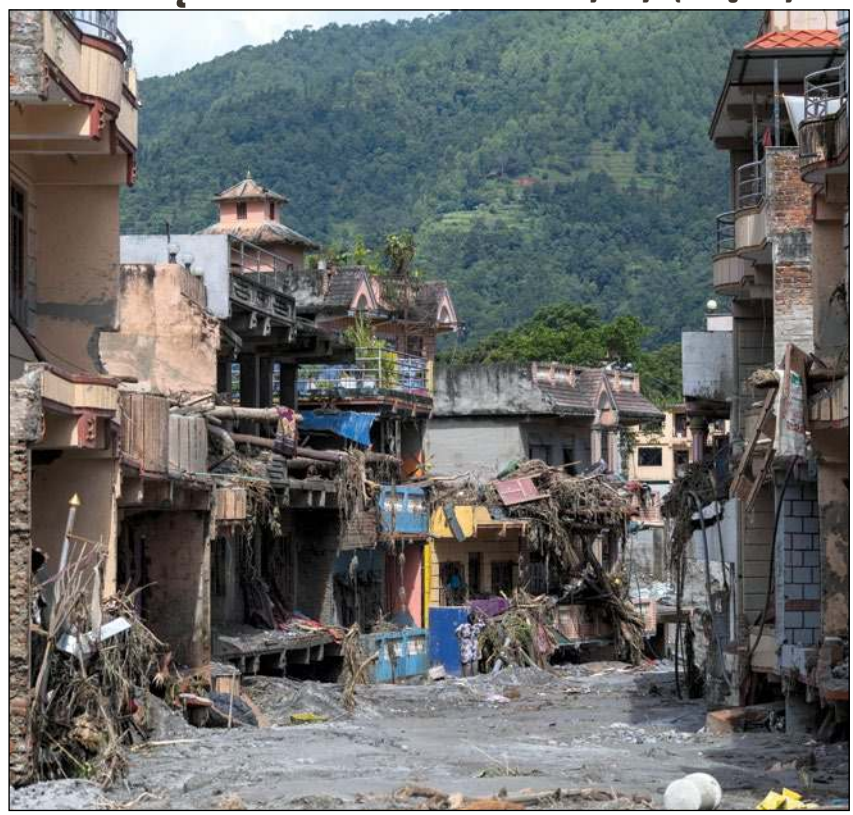
29 lipca 2026 r. premier powołał „naukowczynię” na stanowisko pełnomocniczki rządu ds. promocji marki Polska: „Proszę się nie zarumienić, najwybitniejsza w Polsce specjalistka od kreowania marki” – mówił. Wybitność trwała niecały miesiąc. Raport, który firmowała – „Polaków portret własny” – stał się hitem internetu. Możemy w nim przeczytać, że mamy pięcioro noblistów, Katowice leżą w „północnym centrum” kraju, młode pokolenie Polaków mówi płynnie po angielsku (95 proc.), nierzadko dodatkowo także w języku mandaryńskim. Do tego prawdziwe kwiatki słowotwórstwa: „to wskazuje na syndrom impostora na poziomie narodowym – despite rzeczywistych osiągnięć”.

Co ciekawe, gdyby pseudonaukowego bełkotu stworzonego przy wsparciu sztucznej inteligencji nie ujawnił Sebastian Meitz z PiS, kariera profesorki rozwijałaby się w najlepsze. Sama oświadczyła, że w listopadzie 2025 r. dokument był prezentowany „na Akademii Leona Koźmińskiego, przy udziale […] połowy świata akademickiego, a także oczywiście przedstawicieli rządu i wielu studentów i nie wzbudził żadnych zastrzeżeń środowiska naukowego”. Żadnych zastrzeżeń!!!

Ministerstwo Sportu i Turystyki wsparło te badania kwotą 179 738,19 zł. Wcześniej prof. Barbara Mróz-Gorgoń w zamówionej u niej strategii rozwoju i komunikacji marki Beskidy uznała, że mieszkańcy Beskidów są „Indianami Polski”. Ale to było po taniości, tylko za 40 tys.

ZDJĘCIE TYGODNIA

„Śródlądowe” tsunami w Nepalu. Setki zabitych, tysiące zaginionych



Fot. PAP/EPA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA S.A.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA S.A., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA S.A. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: WOJTEK RADWAŃSKI/AFP, ANDRZEJ WIKTOR, MATERIAŁY PRASOWE, KPRM, SHUTTERSTOCK/OLENA YAKOBCHUK

Zamów prenumeratę Sieci!

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 69fe0b3f94

Królowa i zielony potwór

Jaka jest prawdziwa miara energii, siły i mocy? W ostatnich latach polski krajobraz wypełniły 3502 wielkie budowle. To 3,5 tys. turbin wiatrowych, figura Chrystusa Króla w Świebodzinie oraz statua Matki Bożej Miłosiernej w Konotopiu



Fot. Adam Burakowski/East News

eprasa.pl 69fe0b3f94



MACIEJ PAWLICKI

Te dwie ostatnie budowle są pięciokrotnie mniejsze od pozostałych. Każda z 3,5 tys. turbin wiatrowych postawionych na polskiej równinie ma 120–150 m wysokości, a licząc z łopatą obracającego się śmigła – 200 m. Jest więc pięć razy większa niż 36-metrowa statua Chrystusa i 40-metrowa statua Marii (niemal cztery razy większa, licząc wraz z podstawą monumentu). Dwie 40-metrowe postaci – Matki i Syna – obok wielotysięcznej armii 200-metrowych kolosów. Szybko rosnącej armii, bo wkrótce tych kolosów w Polsce przybędzie kolejne kilka tysięcy. Weto prezydenta zapobiegło zabiegom premiera, by stawiać te giganty 500 m od domów mieszkalnych, czyli dla tysięcy Polaków praktycznie za oknem. A jednak, zdaniem większości mediów, to nie wielotysięczna armia rozczapierzonych, wirujących i wibrujących potworów coraz gęściej zapełniających polski pejzaż, lecz biała statua Matki – przez wiele pokoleń i miliony współczesnych Polaków uznawanej za duchową Królową Polski – „budzi kontrowersje".

Jednym z najpiękniejszych, najbardziej unikalnych elementów polskiego krajobrazu są od zawsze przydrożne kapliczki. Czasem jeszcze drewniane, od dwóch stuleci głównie murowane, spadziście zadaszone, ukwiecone. Głównie wiejskie, ale nie tylko – do Powstania wiele ich było na podwórkach Warszawy, zostało kilkanaście. Na Podhalu i południu Polski siedzi w nich Chrystus Frasobliwy, ale na większości polskiej równiny w kapliczkach stoi Maria, Matka Boga. Czasem z Dzieciątkiem, czasem sama, otwierając ramiona przed przechodniem, bez względu na to, czy modli się do Boga, czy nie potrafi.

Bez urzędniczych procedur i zezwoleń, bez pytania zaborców, dozorców i nadzorców od zawsze stawiane przez okolicznych mieszkańców, przez polski lud, który w swym polskim świecie, w swojej polskiej przestrzeni chce sąsiadować z Bogiem lub jego Matką. Z Ich wizerunkami. Bo wierzy, że to zmienia jego życie na lepsze, przypomina o tym, co ważne, daje bezpieczeństwo i nadzieję.

WIARA I PYCHA

Wedle szacunków Ziemowita Malechy, profesora doktora habilitowanego z Politechniki Wrocławskiej, przedstawionych w rozmowie z Bogdanem Rymanowskim, farma wiatrowa 200-metrowych kolosów produkuje prąd kilkakrotnie droższy niż ten, który uzyskujemy lub moglibyśmy uzyskać z elektrowni węglowych. Firmom stawiającym takie farmy (koszt farmy morskiej to 20 mld zł) państwo polskie gwarantuje z naszych pieniędzy 25 lat zakupu energii za 70 mld zł – to dwukrotnie więcej, niż wynosi koszt budowy nowoczesnej kopalni węgla i jego zakupu przez ten sam okres. „Odnawialne źródła energii, wiatraki i panele nie są w stanie zatrzymać emisji dwutlenku węgla, to jest rzecz oczywista" – mówi prof. Malecha. Wszystkie potęgi gospodarcze na potęgę rozwijają nowoczesną energetykę węglową. Węgiel, którego zasoby mamy na kilkaset lat – jest polską racją stanu, dałby nam energetyczną niezależność i gospodarczą potęgę. Ale na rozkaz Unii Europejskiej polskie władze niszczą nasze kopalnie oraz dopiero co zbudowane nowoczesne elektrownie węglowe i przechodzą na energię kilkakrotnie droższą. Jako państwo i naród składamy i przez dekady będziemy składać gigantyczny finansowy i cywilizacyjny hołd nigdy nieudowodnionej hipotezie, że człowiek musi próbować zmniejszyć emisję dwutlenku węgla, bo „planeta płonie".

> Figura Matki Bożej jest jak latarnia morska, która wskazuje drogę do bezpiecznego portu

Na tej płonącej planecie ma być posprzątane. Żadnych nowych znaków pobożności miejscowego ludu. Figura Matki Bożej Miłosiernej w Konotopiu nie spodobała się wielu tolerancyjnym liberałom. O. Paweł Gużyński, bardzo aktywny medialnie dominikanin, udał się do kilku stacji telewizyjnych, radiowych i redakcji portali, w których nazwał nowo wzniesioną figurę Marii „potworkiem", „King Kongiem w szczerym polu", porównał ją do złotego cielca, do wystawianych przez dyktatorów pomników Lenina i Trockiego (?!), uznał za kolejny dowód „wielkiej płytkości polskiego katolicyzmu ludowego". Chciałby go zepchnąć na margines, a w centrum postawić własne rozumienie katolicyzmu, bo przeniknął ducha „maryjnego ludu" i posiadł wiedzę, jak w ich duszach być powinno, a nie jest, więc przyznaje sobie prawo wysyłania prostaczków do kąta. Na razie o. Gużyński, ikonoklasta, nie zarządził likwidacji przydrożnych kapliczek, ale czy one także nie dowodzą „wielkiej płytkości" ludowej wiary? Czy to ikonoklazm bardziej kalwiński, czy bardziej luterański? Właśnie wracam z Jasnej Góry, z uroczystości odnowienia Ślubów Jasnogórskich Narodu Polskiego w ich 70-lecie, oprę się więc pokusie dalszego komentowania jego mądrości, pomodlę się za chłopinę.

POMNIKI ZIELONEGO MZIMU

Dwutlenku węgla jest w atmosferze 0,042 proc. Nawet jeśli – co nigdy nie zostało udowodnione i jest bardzo wątpliwe – w ciągu 100 lat epoki przemysłowej działalność człowieka rzeczywiście spowodowała wzrost o 30 proc., to cała gospodarka Unii Europejskiej odpowiada za 2,4 proc. (7 proc. z tych 30 proc.) tego wzrostu, a Polska – za 0,08 proc. Cała polska gospodarka odpowiada zatem za wzrost CO_2 w atmosferze o 0,0001 proc. Jedną milionową. Planeta nie zauważy zabicia polskiej gospodarki w imię tej jednej milionowej. Nowa „zielona" religia wymaga od nas gigantycznych ofiar składanych jej cwanym kapłanom. A także rytualnego otępienia rzesz wyznawców, którzy wsłuchują się w bicie

eprasa.pl 69fe0b3f94



Roman Karkosik z żoną Grażyną podczas uroczystości poświęcenia Monumentu Matki Bożej Miłosiernej

„zielonych" tam-tamów i naprawdę wierzą, iż człowiek może ogrzać ziemię, a zbiorowe samobójstwo narodów Europy jest konieczne, by Zielone Mzimu było zadowolone.

Czy stawiając za swe pieniądze tysiące arcykosztownych i niszczących polski rozwój i polski dobrobyt pomników Zielonego Mzimu, w które wierzą tylko niektórzy, polscy katolicy mają prawo postawić w szczerym polu pięciokrotnie mniejszą figurę Matki Bożej? Tej, której ufają? Z którą idą przez wieki i tyle jej zawdzięczają? Unia, fanatyczna w promowaniu absurdów, narzuca nam kult Zielonego Mzimu, a my poddajemy się temu fanatyzmowi.

A jak na tle tego religijnego uniesienia unitów wygląda nasza stara religia, chrześcijaństwo? W Afryce i Azji walczy i kwitnie, mimo masowych, dokonywanych na oczach świata mordów i prześladowań, jakich nie doznają wyznawcy żadnej innej religii. W „zielonej" Europie chrześcijaństwo się cofa. Niekiedy zanika zupełnie, niekiedy karleje, zmieniając się w swą karykaturę. Polska – obok Chorwacji, Malty, Portugalii, Gruzji, Grecji, Rumunii (ale już nie Hiszpanii czy Irlandii) – nadal jest ośrodkiem silnej i stosunkowo powszechnej wiary. Od 8 dekad (4,5 dekady komunizmu, 3,5 dekady michnikizmu) trwają różne formy opresji, by wiarę w Polakach zabić.

> O fenomenie polskiej maryjności napisano tomy, zwłaszcza o jej sile budującej narodową wspólnotę, walczącą o rozumienie wspólnych interesów, o wzajemny szacunek i gotowość współdziałania. Polacy, rzekomo zbyt konserwatywni, by należycie traktować kobiety, od wieków oddają się w opiekę Matce Chrystusa

PRYMAS WALCZĄCY

W tej pierwszej epoce przywódcą wolnych Polaków był prymas Stefan Wyszyński. Jego wielki poprzednik, prymas August Hlond, rozumiał, że wobec reżimu zwalczającego religię drwiną, prześladowaniami i terrorem do przetrwania i zwycięstwa konieczna jest broń duchowa. Jego nagła śmierć w 1948 r. zagroziła sile polskiego Kościoła, a więc również wolności Polaków. Na łożu śmierci kardynał wypowiedział słynne zdanie, odtąd stale obecne w życiu polskich katolików: „Zwycięstwo, gdy przyjdzie, przyjdzie przez Maryję". Mam wrażenie, że prymas Wyszyński zrozumiał to nie jako metaforę, ale dosłownie.

Uwięziony przez komunistów, zainspirowany „Potopem" Sienkiewicza, przypomniał uczynione w 1656 r. „Śluby Króla Jana Kazimierza i Stanów Rzeczypospolitej, zaprzysiężone imieniem narodu przed cudownym obrazem N.P. Łaskawej w Katedrze Lwowskiej, a dotyczące polepszenia doli ludu pracującego" i 300 lat później sformułował Śluby Jasnogórskie Narodu Polskiego. W poprzednim numerze „Sieci" pięknie opisał je Grzegorz Górny, przytoczę więc tylko krótkie fragmenty:

„Przyrzekamy uczynić wszystko, co leży w naszej mocy, aby Polska była rzeczywistym Królestwem Twoim i Twojego Syna [...]. Przyrzekamy Ci, że walczyć będziemy w obronie każdego dziecięcia i każdej kołyski równie mężnie, jak Ojcowie nasi walczyli o byt i wolność Narodu, płacąc krwią własną.

Fot. Alex Marchowski/Super Express/East News

eprasa.pl 69fe0b3f94

Gotowi jesteśmy raczej śmierć ponieść, aniżeli śmierć zadać bezbronnym [...]. Dar życia uważać będziemy za największą Łaskę Ojca wszelkiego Życia i za najcenniejszy skarb Narodu [...]. Przyrzekamy Ci stać na straży nierozerwalności małżeństwa, bronić godności kobiety, czuwać na progu ogniska domowego [...]. Przyrzekamy usilnie pracować nad tym, aby w Ojczyźnie naszej wszystkie dzieci Narodu żyły w miłości i sprawiedliwości, w zgodzie i pokoju, aby wśród nas nie było nienawiści, przemocy i wyzysku [...]. Przyrzekamy stoczyć pod Twoim sztandarem najświętszy i najcięższy bój z naszymi wadami narodowymi. Przyrzekamy wypowiedzieć walkę lenistwu i lekkomyślności, marnotrawstwu, pijaństwu i rozwiązłości [...]".

Były więc tamte śluby wielkim polskim zobowiązaniem do aktywności, do walki, do naprawy. Budowały wspólnotę Polaków mających rozumieć, po co im Polska i po co im Bóg. Prawda, że gotowy program polityczny? W rozumieniu polityki jako roztropnej troski o dobro wspólne.

Widząc siłę Ślubów, w 1957 r. prymas Wyszyński nakazał wykonanie wiernej kopii Ikony Matki Boskiej Częstochowskiej (dokonał tego prof. Leonard Torwirt) i w ramach przygotowań do tysiąclecia chrztu Polski podróż owej Ikony po wszystkich parafiach Polski. Komunista – ikonoklasta Władysław Gomułka, przerażony duchową siłą, jaką Bóg przez wizerunek Czarnej Madonny daje Polakom, nakazał milicji zatrzymanie i aresztowanie Ikony oraz uwięzienie jej na Jasnej Górze. Otoczył kordonem milicji i zagroził likwidacją klasztoru. Działo się to dokładnie 60 lat temu, 2 września 1966 r. Ale prymas Wyszyński również to uwięzienie potrafił zamienić w duchową siłę. Odtąd przez kolejne sześć lat po Polsce podróżowały ramy obrazu, witane tak, jakby Matka Boska była w nich widoczna. W 1972 r. księża Józef Wójcik i Roman Siudek przy współpracy sióstr służebnych wykradli Ikonę Nawiedzenia, która wróciła na swą drogę peregrynacji. Jej kolejny etap rozpoczął się 26 sierpnia 2026 r.

KOŚCIÓŁ WYCOFANY

Jednymi z głównych narzędzi oprawców i prześladowców religii są pogarda, drwina i wykluczenie. Wedle leninowskich i stalinowskich wzorców, które miały źródła w antyreligijnym szaleństwie rewolucji francuskiej. Z dzisiejszym hymnem Francji, skoczną „Marsylianką" na ustach, obywatele nowej Francji wyrżnęli 300 tys. francuskich katolików (w tym kilka tysięcy księży i zakonnic) za to, że chcieli pozostać katolikami.

Sowiecka machina udoskonaliła system unicestwiania chrześcijan, niemieccy porządni obywatele, wierzący w narodowy socjalizm, wymordowali 3 tys. polskich księży i zakonnic. A potem przyszedł czas mordów selekcyjnych, zabijania najodważniejszych. W masowej skali był to czas mordów duchowych. Główna broń w tej operacji to oszczerstwo i pogarda. Jerzy Urban z rozkoszą pławił się w drwinach i insynuacjach, którymi obdarzał ks. Jerzego Popiełuszkę, zanim jego koledzy księdza zakatowali. Polski Kościół – w osobach Prymasa Tysiąclecia, bp. Kaczmarka, ks. Popiełuszki, św. Jana Pawła II, księży Suchowolca, Zycha, Isakowicza, Małkowskiego i wielu innych – wykazał wielką odwagę, wielki hart ducha w obronie wiary, prawdy i wolności. Ks. Stanisław Małkowski jest za to zesłany i prześladowany do dziś.

> Figura Matki Bożej Miłosiernej w Konotopiu nie spodobała się wielu tolerancyjnym liberałom. O. Paweł Gużyński, bardzo aktywny medialnie dominikanin nazwał nowo wzniesioną figurę Marii „potworkiem", „King Kongiem w szczerym polu", porównał ją do złotego cielca, do wystawianych przez dyktatorów pomników Lenina i Trockiego

Ale od dwóch dekad, od odejścia Jana Pawła II, należę do tych wielu polskich katolików, którzy mają przykre wrażenie, że hierarchiczny Kościół polski chowa się, zanika. Że oniemiał. Gdy nieliczne chlubne wyjątki, jak abp. Marek Jędraszewski, zabierają głos w ważnych dla Polaków sprawach, budzą oczywiście wycie wściekłości frakcji sowieckiej, postsowieckiej i zachodniosowieckiej, a także zgorszone pochrząkiwania biskupów, dla których najważniejszym świętym wydaje się święty spokój. Czy stanowią większość w Episkopacie Polski? Prymas Wyszyński był w Polsce najważniejszą postacią – duchowo i intelektualnie. Ilu polskich katolików wie, jak nazywa się dzisiejszy prymas? Kiedy ostatnio słyszeli, że powiedział coś ważnego dla ich codzienności, a niewygodnego dla wrogów religii?

Wiem, to przykre słowa, słyszałem kazanie księdza prymasa na Jasnej Górze 26 sierpnia, podczas pięknej uroczystości Odnowienia Ślubów Narodu, a potem słowa odnawianych Ślubów Jasnogórskich Narodu Polskiego. Po odwadze i mądrości prymasa Wyszyńskiego i wielkości polskiego papieża należy niestety rzec, że polski Kościół nie ma liderów, którzy potrafią i mają odwagę, by opisywać rzeczywistość i wskazywać katolikom drogę przez codzienność.

WRACAJĄ, WRACAMY

Jako grzeszny członek Kościoła w imię ewangelicznej zasady upomnienia brata ośmielam się wypominać hierarchom ich grzechy. „Należy oprzeć się pokusie podążania własną, narodową drogą" – napisał przewodniczący Episkopatu Polski we wspólnym liście ze swym odpowiednikiem z Niemiec w listopadzie 2025 r. Czy cały Episkopat Polski jest tego zdania? Poza niepokojącymi oznakami trądu politycznej poprawności, który tak bardzo niszczy Kościół zachodni, poza biernością i milczeniem, poza odrzucaniem cennych inicjatyw katolików świeckich, naj-

01/08226/F

eprasa.pl 69fe0b3f94

większym błędem Episkopatu ostatnich lat było zamknięcie kościołów podczas w tzw. pandemii. Nie zrobili tego nawet zaborcy, niemieccy i sowieccy oprawcy, komuniści. Gdy przychodzi klęska zarazy, naród modli się, czyni rachunek sumienia i śluby. Nie zamyka domów modlitwy, bo to podważa jej sens.

Baliśmy się, że wierni, wygonieni przez Kościół z kościoła, nie wrócą, zadowalając się kościelną telewizją. Ale chyba wrócili, wracają. Może również dlatego, iż rzeczywistość przyspiesza, mnożąc zagrożenia i znaki zapytania. Mnożąc wypełnioną milionami komunikatów pustkę wielkiego chaosu. Dlatego potrzeba w niej duchowości, a także jej widomych znaków. Nie tylko w księgach, w świątyniach – także w naszej przestrzeni publicznej.

O fenomenie polskiej maryjności napisano tomy, zwłaszcza o jej sile, budującej narodową wspólnotę, walczącą o rozumienie wspólnych interesów, o wzajemny szacunek i gotowość współdziałania. Polacy, rzekomo zbyt konserwatywni, by należycie traktować kobiety, od wieków oddają się w opiekę Matce Chrystusa.

Roman Karkosik wzniósł statuę Maryi, Matki Bożej Miłosiernej, jako podziękowanie za doznane łaski. Tak samo jak tysiące innych fundatorów, którzy przez tysiąclecia stawiają kościoły, katedry, pomniki. Ale to nie tylko fundatorzy – trzeba użyć współczesnego słowa – to również inwestorzy. Bo inwestują w bliskość z Bogiem, własną i innych wiernych, którzy wzniesiony kościół lub figurę nawiedzą i będą się modlić, co może odmieni ich życie na lepsze. W sensie komunikacji społecznej figura Matki Bożej w Konotopiach jest jak gdyby kościołem. Nie zbudowanym klasycznie, treść chowając wewnątrz bryły, a na zewnątrz mając wieże i dzwonnice, które zapraszają. Nie jest oczywiście kościołem we właściwym sensie, nie ma w niej ołtarza, Najświętszego Sakramentu, nie jest sprawowana Najświętsza Ofiara (kaplica Matki Bożej Bolesnej znajduje się w odległości kilkuset metrów). Ale komunikacyjnie jest jak gdyby kościołem, którego przekaz zamieniono w formę otwartą, widoczną z zewnątrz, od razu komunikującą swoje przesłanie. Otwarte ramiona Marii jak otwarte ramiona Chrystusa w Rio de Janeiro i w Świebodzinie są najważniejszym przekazem tej treści. Zapraszają.

Jeszcze niedawno świat wydawał się poukładany, dość bezpieczny, stabilny, prawie nudny. Ale przyspieszenie ideologicznych i cywilizacyjnych opresji ostatnich dekad sprawia, że wchodzimy w okres niebezpiecznych burz i nawałnic.

Figura Matki Bożej jest jak latarnia morska, która wskazuje drogę do bezpiecznego portu. A gdyby tak zamiast kolejnych 3 tys. 200-metrowych turbin na chwałę Zielonego Mzimu postawić w Polsce nie jedną, ale 3 tys. wielkich, 40-metrowych figur Matki Boga? Zyskamy estetycznie – zamiast wirujących potworów staną wizerunki kobiety. Finansowo zyskamy biliony, nie musząc płacić haraczu Zielonemu Mzimu. A duchowo? Duchowo zyskamy najbardziej. No to budujmy. Na razie w naszych sercach.

REKLAMA



reprasa.pl 69fe0b3f94

Być jak Barbara Mróz-Gorgoń



STANISŁAW JANECKI

Premierowi Donaldowi Tuskowi wcale nie chodziło o budowanie narodowej marki, tylko o inżynierię społeczną, mającą utrzymać go u władzy

Ta rządowa kariera, choć bardzo krótka, więcej mówi o szefie rządu niż o samej „karierowiczce". Barbara Mróz-Gorgoń znalazła się w gabinecie Donalda Tuska jako pełnomocnik ds. promocji marki Polska (w randze sekretarza stanu), gdyż jej wizerunek został ulepiony z ambicji, marzeń, aspiracji i kompleksów takich postaci jak sam premier. Ta profesor Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu bardzo przypomina Donalda Tuska z czasów, gdy wchodził – wraz z partią, której wtedy przewodził, czyli Kongresem Liberalno-Demokratycznym – do Unii Wolności. W obu przypadkach chodziło o potwierdzenie, że jest się częścią lepszego świata.

W kwietniu 1994 r. Donald Tusk był wpatrzony jak w obraz w takie osoby jak m.in. prof. Bronisław Geremek, wtedy szef Klubu Parlamentarnego Unii Demokratycznej. W lipcu 2026 r., gdy Barbara Mróz-Gorgoń została wniesiona do rządu wręcz „na rękach" przez Donalda Tuska, premier był dla niej lepszym światem, a ona dla niego. On mógł pokazać swoim wyborcom, że otacza się osobami wyjątkowymi, utytułowanymi, inteligentnymi, wyglądającymi tak, jak ten elektorat wyobraża sobie elitę. Ona została zaś przez premiera legitymizowana jako należąca do elity, bo sam status akademicki to za mało. Posiadała jeszcze coś, co Tuskowi imponowało – posługiwała się bardzo specyficznym językiem, mogącym uchodzić za jakiś elitarny szyfr, pełen dziwnych pojęć i anglicyzmów. Nieważne, że dla inteligentnego słuchacza był to pretensjonalny żargon i nieznośny bełkot. Miał stanowić zaporę dla wyborców prawicy, wyobrażonych i przedstawianych jako „ciemniaki", które nie są w stanie zrozumieć tego szyfru. Nieważne, że okazał się zaporą także dla sporej części wyborców Koalicji Obywatelskiej, którzy poczuli się elitą drugiej albo nawet trzeciej kategorii. Konferencja, podczas której Donald Tusk wprowadzał Barbarę Mróz-Gorgoń na rządowe salony (choć było to coś w rodzaju „śniadania na trawie"), stanowiła demonstrację elitarnej wyższości, mimo że przebijały się przez nią przede wszystkim wyższościowe urojenia.

Już po podaniu się Barbary Mróz-Gorgoń do dymisji zaczęto ratować Donalda Tuska, szukając tego, kto mu podsunął tę wrocławską profesor, skoro przedsięwzięcie okazało się kompromitacją. I najczęściej padało na któregoś z wiceministrów sportu: Piotra Borysa

Fot. KPRM

eprasa.pl 69fe0b3f94

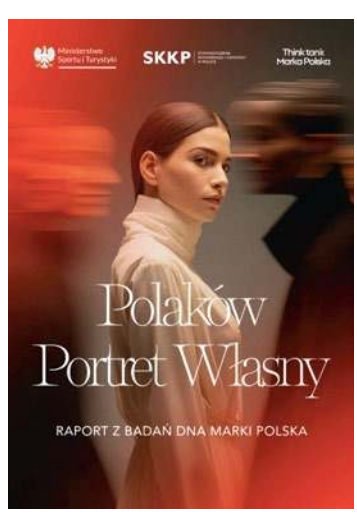
i/lub Ireneusza Rasia. Tylko że to fałszywy trop. To sam Donald Tusk szukał kogoś takiego jak Barbara Mróz-Gorgoń i to ona wypatrywała takiego „opiekuna" jak obecny premier. Ich „spojrzenia" skrzyżowały się w maju 2026 r., co oznacza, że to Tusk był tym poszukiwanym po kompromitacji „promotorem". Fakt, że teraz umywa ręce, nie dziwi, bo to jego rutynowe zachowanie, gdy okazuje się, że popełnił błąd bądź – jak mówią niektórzy – „wielbłąd".

BEZ WERYFIKACJI

To, że 29 lipca 2026 r. Mróz-Gorgoń została sekretarzem stanu w KPRM i pełnomocniczką rządu ds. promocji marki Polska, pokazuje, jak ekipa Tuska i sam premier łamią wszelkie zasady rekrutacji na stanowiska państwowe, w tym bezpieczeństwa, oraz elementarne reguły weryfikacji, sprawdzania i wiarygodności. Łamią, bo to Donald Tusk sam wybrał Barbarę Mróz-Gorgoń, a w tym momencie wszelkie procedury zostały zawieszone lub wstrzymane. Nie jakimś poleceniem – właściwe osoby i właściwe służby uznały, że „wybranka" szefa jest pod ochroną. Nominacja ogłoszona tak jakby chodziło o jakieś wielkie i wyjątkowe wydarzenie sprawiła, że Barbara Mróz-Gorgoń nie została w rutynowy sposób sprawdzona przez Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego, co obowiązuje w przypadku każdej osoby powoływanej na stanowisko od podsekretarza stanu wzwyż. I nie jest okolicznością łagodzącą to, że 21 sierpnia 2026 r. Mróz-Gorgoń podała się do dymisji.

Oczywiście zupełnie fałszywe są podane przez nią powody, czyli „niewyobrażalna skala hejtu", wobec której „niemożliwe jest pełnienie tak odpowiedzialnej funkcji". Gdyby Mróz-Gorgoń została sprawdzona, wyszłoby na jaw, że nie tylko była doktorem habilitowanym i profesorem Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu, założycielką i prezes zarejestrowanej w 2025 r. Fundacji Marka Polska Think Tank – organizacji pozarządowej zajmującej się budowaniem marki narodowej. Że pełniła funkcje doradcze przy polskim rządzie w sprawach związanych z promocją kraju na arenie międzynarodowej. Że brała udział w pracach zespołów zajmujących się zagadnieniami z zakresu budowy marki narodowej, rozwoju i promocji turystyki, komunikacji wizerunkowej państwa. Wyszłoby również na jaw, że pełniła funkcję dyrektora kreatywnego w federacji sportów walki Strike King. Szymon Jadczak, dziennikarz Wirtualnej Polski, ujawnił, że podczas jednej z gal wspomnianej federacji miał walczyć Marcin N. „Maniek", lider kiboli Wisły Kraków, skazany na 10 lat więzienia za pobicie ze skutkiem śmiertelnym. Do walki nie doszło, ale „dziwne" znajomości w półświatku nie zniknęły.

Barbara Mróz-Gorgoń nigdy nie powinna zostać powołana na stanowisko państwowe, a wtedy nie wydano by prawie 200 tys. zł z budżetu państwa na kompromitujące opracowanie jej autorstwa: „Polaków Portret Własny. Raport z badań DNA marki Polska". I nie powstałaby bezwartościowa „Strategia Marka Polska", dla której Mróz-Gorgoń zaplanowała wydanie z budżetu państwa od 520 do 670 mln zł na realizację jej pomysłów.



Fot. Materiały prasowe

Opracowanie „Polaków Portret Własny" zawierało setki rażących błędów rzeczowych, podanych w fatalnej stylistyce, wskazującej na bezkrytyczne użycie sztucznej inteligencji (tzw. AI slop) oraz dowody niespójności metodologicznej – o ile istniała jakakolwiek metodologia. W dokumencie znalazły się absurdalne i sprzeczne z faktami tezy: przykładowo Katowice mają leżeć w „północnym centrum" Polski, a nasz kraj doczekał się jedynie pięciorga noblistów (w rzeczywistości było ich ośmioro).

Duże części tekstu zostały bezpośrednio wygenerowane przez algorytmy LLM (np. ChatGPT) i opublikowane bez jakiejkolwiek redakcji. Świadczą o tym kuriozalne neologizmy, takie jak „tradycyjna chlebowość", „polskie płaskiz" czy określanie archetypu Matki Polki mianem „guardianki". Opracowanie roi się od niedokończonych zdań i niespolszczonych zwrotów, charakterystycznych dla tłumaczy internetowych, np. „głębokie zakorzenienie w historii sufferingu", „w erze fatigue konsumenckiej" czy „creating »Modern Polish Cuisine«". W jednym miejscu dokumentu jest mowa o siedmiu warsztatach, dalej liczba ta spadła do pięciu, a na koniec – do trzech. Ponadto w raporcie pojawiła się wyssana z palca i niepoparta dowodami teza, że 95 proc. młodych Polaków mówi płynnie po angielsku, a wielu z nich włada także językiem mandaryńskim. Tekst zawierał liczne puste przypisy oraz całkowicie rozsypaną, chaotyczną numerację stron i bibliografii (np. przeskoki numeracji z 1, 2, 3 do 41 czy 517).

MODNE BZDURY

Wobec fali krytyki Barbara Mróz-Gorgoń przyznała, że korzystała ze sztucznej inteligencji, choć twierdziła, że algorytmy służyły jedynie do transkrypcji i porządkowania notatek. Tłumaczyła, że dokument miał charakter czysto roboczy (work in progress) i nigdy nie powinien trafić do przestrzeni publicznej. Ministerstwo Sportu i Turystyki (którego logo widniało na raporcie) odcięło się od publikacji, informując, że przedmiotem opłaconej umowy była ogólna strategia i badania, a nie ten konkretny plik tekstowy. Sprawą finansowania i realizacji umowy zajęła się prokuratura oraz CBA – z doniesienia posłów opozycji.

Inny ujawniony dokument, „Strategia Marka Polska", nie zawiera rażących błędów językowych, ale jest pusty merytorycznie. Praktyk marketingu czy zarządzania w godzinę znalazłby rozwiązania, które w postaci niemożliwej do zrealizowania i podane w formie branżowego bełkotu zajęły ponad 150 stron. Przy okazji wyszła cała pretensjonalność i pseudonaukowość tego, czym

eprasa.pl 69fe0b3f94

zajmuje się Mróz-Gorgoń w swoich „badaniach". Znacznie bardziej przypomina to „modne bzdury" niż naukę, o czym już w 1997 r. pisali Alan Sokal i Jean Bricmont w książce pod takim właśnie tytułem.

Naprawdę groźny jest jednak plan finansowy wdrażania (w latach 2026–2028) owej „strategii". W pierwszej fazie (styczeń–czerwiec 2026 r.) zaplanowano wydanie 90–120 mln zł. W drugiej (lipiec 2026 r. – grudzień 2027 r.) – 170–220 mln zł. W trzeciej (2028 r.) – kolejnych 65–90 mln zł. Barbara Mróz-Gorgoń zaplanowała cały budżet na wdrożenie swej pseudostrategii na gigantyczną sumę 520–670 mln zł. Jedynie techniczna obsługa realizacji jej planów, czyli stworzenie zespołów i biur, kosztowałaby 8–10 mln zł rocznie.

Przy okazji nominacji dla Barbary Mróz-Gorgoń wyszło na jaw, że nie liczą się prawdziwe osiągnięcia naukowe, tylko wyjątkowe zaangażowanie w „modne bzdury". Dzięki „osiągnięciom" na tym polu robi się wodę z mózgu osobom nieodpornym na tony „naukowej" makulatury, setki konferencji i publikacji oraz różne studia podyplomowe czy kursy, także premierowi Tuskowi. Ilość w ogóle nie przechodzi tu w jakość, gdyż wszystko odbywa się w ramach sekciarskich pseudobadań i zdobywania kolejnych trofeów, by „zamknąć usta niedowiarkom" i nabrać różnych decydentów mających kompleksy, gdy chodzi o kolekcje dyplomów czy świadectw. A Barbara Mróz-Gorgoń ma wyjątkowo bogatą kolekcję dowodów swojej naukowej rangi i osiągnięć, które po uważnej analizie nie mają większej wartości.

Przy okazji nominacji dla Barbary Mróz-Gorgoń wyszło na jaw, że nie liczą się prawdziwe osiągnięcia naukowe, tylko wyjątkowe zaangażowanie w „modne bzdury". Dzięki „osiągnięciom" na tym polu robi się wodę z mózgu osobom nieodpornym na tony „naukowej" makulatury, setki konferencji i publikacji oraz różne studia podyplomowe czy kursy, także premierowi Tuskowi

Doktorem nauk ekonomicznych w zakresie nauk o zarządzaniu została 24 listopada 2011 r. na podstawie rozprawy „Zarządzanie marką sieci franczyzowych w kontekście tworzenia jej wizerunku". Poza tym ukończyła studia podyplomowe w zakresie dziennikarstwa i public relations (2009). Ma za sobą staże naukowo-badawcze w ESCP Europe Business School – filia w Berlinie (2018–2019) oraz na Uniwersytecie w Lublanie. Przedstawiła również zaświadczenia o ukończeniu kursów: pedagogicznego w 2008 r. oraz „Specjalistyczne zajęcia z języka angielskiego dla pracowników naukowo-dydaktycznych UE we Wrocławiu" w 2012 r., o ukończeniu szkolenia „Stosowanie metod ilościowych i jakościowych w prowadzeniu badań naukowych" w 2015 r., warsztatów „Projektowanie badania statystycznego oraz kluczowe elementy analizy danych ilościowych i jakościowych" w 2018 r. i „Szkolenia dla Mówców" w 2008 r.

INŻYNIERIA SPOŁECZNA

Barbara Mróz-Gorgoń „zamyka usta niedowiarkom" seryjnie uczestnicząc w konferencjach, m.in. w Phuket, Rydze, Wenecji, Dubaju, Neapolu, Lwowie, Zadarze, Belgradzie, Portorożu, Bari, Rzymie. Chwali się, że od momentu uzyskania stopnia doktora przygotowała 52 publikacje, 2 sprawozdania z konferencji, 1 monografię autorską, 41 artykułów w czasopismach recenzowanych, 4 rozdziały w monografiach naukowych, 6 artykułów opublikowanych w materiałach konferencyjnych i 2 sprawozdania pokonferencyjne, co jest raczej obszerną makulaturą bez naukowej wartości. Ale liczy się to, że uczestniczyła w 51 konferencjach.

Korzystając z opinii „wybitnego fachowca", pieniądze zarabiała w biznesie – jako autorka „ekspertyz" dla PCC Rokita S.A. w Brzegu Dolnym, Klima Studio Serwis Sp. z o.o. we Wrocławiu, firmy Thermobudowa Sp. z o.o. we Wrocławiu, kancelarii prawnej Pretor-Bedryj, Kostrzewska i Partnerzy we Wrocławiu, marki odzieżowej Norma w Warszawie, Ogrodu Zoologicznego we Wrocławiu, firmy Zaberd S.A., MTM Industries Sp. z o.o., marek Aroma Home i Aroma Cars. No i była dyrektorem marketingu w RMT Protram Wrocław Sp. z o.o.

Mróz-Gorgoń chwali się również, że była recenzentem 63 prac dyplomowych, prowadziła wykłady w języku angielskim w Polytechnic Institute of Cávado and Ave, Vilinius University of Applied Engineering Sciences i Technicka Universita Ostrava. Osoby nieodporne na tony pseudonaukowej literatury, udział w setkach konferencji i wykładów – w tym premier Donald Tusk – są tym wszystkim na tyle oszołomione (i o to chodzi), że nie potrafią ocenić, z kim mają do czynienia. I tak się robi w Polsce karierę, m.in. w rządzie. Gdyby Barbarze Mróz-Gorgoń udało się doprowadzić do tego, że gabinet przyjąłby jej „Strategię Marka Polska", w błoto wyrzucono by nie 180 tys. zł, ale setki milionów – pod pozorem budowania narodowej marki, a w istocie w ramach jakiejś formy inżynierii społecznej. Wychodząc od kompletnie wydumanych cech narodowych, które miał zawierać „Polaków Portret Własny", poprzez selekcję do elity, aż po uzasadnienie, kto ma rządzić w imieniu tej elity.

Projekt inżynierii społecznej w wydaniu Barbary Mróz-Gorgoń upadł, ale to nie znaczy, że Donald Tusk nie będzie próbował innych wariantów. Dlaczego? Bo to część jego strategii utrzymania władzy.

eprasa.pl 69fe0b3f94



Na prawicy nie możemy nikogo wykluczać

Do wyborów jest jeszcze ponad rok, więc nie ma co rozprawiać na temat przyszłego rządu i wariantów koalicyjnych. Codziennie przekonujemy się, że trzeba odsunąć rząd Tuska od władzy i na razie spokojnie nad tym pracujmy, a argumentów przybywa

Fot. Materiały prasowe

Z posłem Nowej Nadziei
Przemysławem Wiplerem
rozmawia Jerzy Szmit

Gdy w 2013 r. zrobiło się głośno o wydarzeniu mającym miejsce w nocy przed jednym z klubów przy ul. Mazowieckiej w Warszawie, wydawało się, że pańska kariera polityczna dobiegła końca. Jak się wychodzi z takich kryzysów?

Przemysław Wipler: Bardzo mnie to uwiera. Stanąłem wtedy w obronie kolegi, którego zaczęła bić policja, a zostałem skazany za utrudnianie interwencji. Na końcu zostałem pobity i okradziony, co widać na nagraniu z monitoringu. W tamtym czasie również Jarosław Kaczyński stanął w mojej obronie, bo stwierdził, że obok strzelania do górników gumowymi kulami był to jeden z przykładów drastycznego łamania praw obywatelskich przez przedstawicieli aparatu przymusu. Niestety mimo że później przez osiem lat rządziło Prawo i Sprawiedliwość, nikt nie poniósł konsekwencji za to nadużycie.

Jednak nadal działa pan w polityce na najwyższym szczeblu.

Z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że uratowały mnie merytoryczna praca i szczęście. Chcę wnosić do polityki mocną stronę merytoryczną i to się broni, ale miałem również szczęście, bo spotkałem na swojej drodze Sławomira

eprasa.pl 69fe0b3f94

Mentzena, który wsparł mnie, bym mógł wrócić do parlamentu. Te trudne chwile pokazały też, na kogo naprawdę mogę liczyć, a kto był przy mnie jedynie jako kibic sukcesu.

Dzisiaj mamy aferę Zondacrypto, a Donald Tusk usiłuje łączyć z nią pana.

To, co robi Donald Tusk w tej sprawie wobec mnie, traktuję jako osobistą zemstę. W lipcu 2012 r. wspólnie z Beatą Szydło napisaliśmy interpelację, w której podnosiliśmy, że skrytki ze złotem Amber Gold są puste. Spółka była piramidą finansową, a powiązane z nią linie OLT Express służyły m.in. do transferowania środków. To uruchomiło lawinę, która bardzo zaszkodziła Platformie Obywatelskiej, osobiście Donaldowi Tuskowi i jego rodzinie.

Premier ostro pana zaatakował.

Donald Tusk popełnił przy tym kilka przestępstw, cytował tajne dokumenty, łamiąc tajemnice służbową, bankową i skarbową. Dopuścił się pomówienia, zebrał fakty i opatrzył je kłamliwym komentarzem. Zarzut wynikający tylko z kontaktów i współpracy Fundacji, którą kieruję bez żadnego wynagrodzenia, ze spółkami z grupy Zondacrypto, jest absurdalny. Ze wsparcia Zondacrypto w wielokrotnie większym wymiarze korzystały Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy, kluby sportowe polskiej Ekstraklasy, włoskiej Serie A, ligi francuskiej, Polski Komitet Olimpijski czy kongres CPAC w Rzeszowie. Dlaczego mieliśmy nie przyjąć oferty współpracy? Finansowaliśmy z tych środków prace badawcze i programowe. W sensie politycznym Donald Tusk buduje teraz odwrócony Amber Gold i atakuje opozycję.

Co robiły służby, skoro podobnie jak w przypadku Amber Gold wkroczyły do akcji, gdy giełda już spektakularnie zbankrutowała?

Jeśli chodzi o Amber Gold i OLT Express, premier Tusk twierdził, że dowiedział się o sprawie z mediów, ale pokazując publicznie dokumenty, udowodniłem, że wiedział o zagrożeniach wcześniej. Zresztą potwierdził to jego syn w czasie prac komisji śledczej. Teraz, po okradzeniu tysięcy ludzi i spektakularnym upadku Zondacrypto, Donald Tusk twierdzi, że za tą firmą stała rosyjska mafia związana z Kremlem i Władimirem Putinem. Zapytam: dlaczego minister Kierwiński nie wpisał jej na listę sankcyjną, którą wprowadziliśmy za rządów Prawa i Sprawiedliwości? Złożyłem w tej spawie zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa niedopełnienia obowiązków przez ministra Kierwińskiego i zostałem już przesłuchany przez policję.

Dodam jeszcze, że za zarządów Donalda Tuska prokuratorzy, funkcjonariusze Krajowej Administracji Skarbowej, ABW i CBŚP byli szkoleni w zakresie działania rynku kryptowalut przez współpracowników giełdy Zondacrypto.

> Powiem tylko, że jeśli nie będzie paktu prezydenckiego – tak go nazywajmy – w przyszłym Senacie na 100 senatorów ok. 70 może być z obecnego układu

Dostaję również sygnały, że pieniądze z funduszu operacyjnego służb miały być trzymane na giełdzie kryptowalut i zniknęły razem z jej upadkiem. Również kaucje wypłacane w kryptowalutach jako środki zapobiegawcze. To są rzeczy do wyjaśnienia. Sądzę, że Donald Tusk postanowił zaatakować opozycję, prezydenta czy Zbigniewa Ziobrę, przedstawiając kłamliwą interpretację. Wierzę, iż nasi wyborcy są na tyle dojrzali, że widzą, jak to działa i nie dadzą się oszukać.

Lewica chce stworzyć wspólną listę z KO, licząc na 40 proc. poparcia. Jak na to odpowie prawica?

Moim zdaniem wspólnego bloku nie będzie. Lewica Czarzastego popełni samobójstwo, idąc ze wspólnych list z Tuskiem. Prawdziwi lewicowi wyborcy przepłyną wtedy do partii Razem, a ta – jestem przekonany – nie wystartuje z Czarzastym. Obrazowo jest to równie prawdopodobne jak to, że Grzegorz Braun wystartuje wspólnie z Partią Zielonych.

Byłoby to trudne do zaakceptowania również dla wielu wyborców KO.

Trzy lata temu Donald Tusk obiecywał podniesienie kwoty wolnej od podatku do 60 tys. zł, chcąc tym uderzyć w Konfederację, tak jak PSL obiecywało dobrowolny ZUS dla małych firm. Z tych obietnic wyszła parodia, a teraz zapowiadane zmiany podatkowe uderzają w polskich przedsiębiorców i nie dotyczą wielkich firm zagranicznych. Na krótko przed wyborami w 2023 r. rząd Mateusza Morawieckiego zaproponował coś podobnego w tzw. Polskim Ładzie, było to jednym z powodów utraty władzy przez formację Jarosława Kaczyńskiego. Rozmawiam z ludźmi, którzy trzy lata temu głosowali na partie koalicji i teraz mówią: po tym, co rząd robi w sprawie podatków, niech nie liczy na nasze głosy.

Kilka miesięcy temu Jarosław Kaczyński zaproponował ugrupowaniom opozycyjnym podpisanie zobowiązania, iż żadne z nich nie zawrze koalicji z Donaldem Tuskiem.

To popsuło dobrą atmosferę na prawicy, która zaczęła się tworzyć po zwycięstwie Karola Nawrockiego. A jest on prezydentem dzięki temu, że Sławomir Mentzen, Krzysztof Bosak i Grzegorz Braun poparli go między I a II turą wyborów. Osobiście zrobiłem to, nie czekając na formalną decyzję kolegów. Intencja była oczywista: nie dać całej władzy Tuskowi. W sejmowych ławach opozycji zapanowała bardzo dobra atmosfera. I wtedy na konferencji prasowej pojawia się lista postulatów programowych, poczynając od wziętych wprost z naszego programu, po czysto socjalistyczne, np. mieszkanie prawem, a nie towarem, z dodatkiem, że nie będziemy tworzyć koalicji z Tuskiem. Co najgorsze, część punktów była zaprzeczeniem tego, co robiło Prawo i Sprawiedliwość w czasie swoich ośmioletnich rządów. Uważam, że to był błąd, który bardzo popsuł relacje wewnątrz opozycji.

Konfederacja, a także Grzegorz Braun mają jednak mocne i rosnące

eprasa.pl 69fe0b3f94

poparcie. Czy zaczepki PiS, a teraz również ugrupowania Mateusza Morawieckiego są konieczne?

Jak każda partia chcemy pozyskiwać wyborców. Jeżeli krytykujemy system kaucyjny albo KSeF, to przypominamy, kto go wprowadził. Pamiętam, że system kaucyjny początkowo miał być dobrowolny, a KSeF miał wyglądać inaczej. Tymczasem dziś uderzył w mikro- i małe firmy. Decyzje podejmował jednak rząd Mateusza Morawieckiego i jeżeli dzisiaj PiS krytykuje te rozwiązania, to widzimy w tym przejaw hipokryzji i o tym mówimy.

Jak ocenia pan rok prezydenta Karola Nawrockiego?

Jestem mu wdzięczny za każde weto. Z perspektywy czasu błędem była zgoda na dwie ustawy: Woman Board, czyli wprowadzenie parytetu kobiet w zarządach i organach najpoważniejszych spółek w Polsce, oraz zmiany w przepisach o tzw. SLAPP, czyli ułatwiających nieodpowiedzialne dziennikarstwo i naruszenie dóbr osobistych oraz pomawianie osób publicznych. Jest to szczególnie ważne przy czasami absurdalnym orzecznictwie w tych sprawach.

W styczniu ub.r. rozstaliście się z Grzegorzem Braunem. Czy ewentualna współpraca po wyborach będzie możliwa?

Grzegorz Braun wystartował na prezydenta jako kontrkandydat Sławomira Menzena wbrew uchwałom Rady Liderów Konfederacji, wobec tego to on nas opuścił. Różnice programowe nie są jednak fundamentalne i głosowaliśmy bardzo zgodnie. Mieliśmy natomiast i mamy zastrzeżenia do jego sposobu funkcjonowania w przestrzeni publicznej. A także tego, w jaki sposób artykułuje swoje postulaty programowe, dokładając do nich dosyć unikalny performance, który jest nieakceptowalny dla wielu naszych wyborców, dotychczasowych i nowych. Okazało się natomiast, że poparcie dla obu ugrupowań szybko rośnie, czyli było to korzystne. Sądzę, że bez problemu dojdziemy do porozumienia w sprawach programowych i kierunku potrzebnych zmian. Każdy jednak, kto będzie chciał zreformować Grzegorza Brauna, polegnie – podobnie było z Januszem Korwin-Mikkem. Do wyborów jest jeszcze ponad rok, więc nie ma co rozprawiać na temat przyszłego rządu i wariantów koalicyjnych. Codziennie przekonujemy się, że trzeba odsunąć gabinet Tuska od władzy i na razie spokojnie nad tym pracujmy. Argumentów przybywa, przykładem choćby skandal z Barbarą Mróz-Gorgoń, która miała budować wizerunek Polski. To już jest odbieranie chleba twórcom kabaretowym. Niestety jestem pewien, że niedługo pojawią się następne afery i skandale.

Gdyby wyborcy stworzyli parlamentarną większość z partii prawicowych i konserwatywnych, od czego należałoby zacząć?

Od uproszczenia systemu podatkowego i powstrzymania dalszego zadłużenia, które bez zdecydowanych ruchów za 2–3 lata skończy się katastrofą i przekroczeniem konstytucyjnego progu 60 proc. PKB. Wtedy rząd z dnia na dzień będzie musiał obciąć wydatki o 300 mld zł. Dalej: naprawa wymiaru sprawiedliwości. Niestety Prawo i Sprawiedliwość nie podołało zadaniu naprawy sądownictwa, a prokuratura została bardzo upolityczniona. Teraz jest tylko gorzej, bo prokuratura stała się narzędziem walki politycznej, a nie instytucją ścigającą gangsterów i bandytów. Konieczny jest znacznie szybszy wzrost gospodarczy, również po to, aby zmniejszyć zadłużenie. Powrót do górnictwa węgla kamiennego, brunatnego i innych surowców, głęboki przegląd wydatków na armię. Dążenie, by jak największa część pieniędzy przeznaczonych na wojsko pozostała w polskich firmach. W państwowych przedsiębiorstwach zbrojeniowych musi nastąpić stabilizacja kadry zarządczej, w tej branży to absolutna konieczność. Rotacja zarządów odbywa się średnio co roku i niestety tak było również za czasów Prawa i Sprawiedliwości. Zbrojeniówka może być kołem zamachowym gospodarki. W efekcie powinniśmy zbudować kilka polskich prywatnych koncernów zbrojeniowych, pracujących dla Polski i na eksport. Rzeczywista kontrola nad ruchami migracyjnymi (najogólniej kto i kiedy przekroczył granicę i co się z nim dzieje). Powołanie sądów deportacyjnych i służby migracyjnej. Nie będę opowiadał o szczegółach, bo gdy ogłosimy nasze plany zbyt wcześnie, to będą one nieudolnie parodiowane przez konkurencję. Dlatego wszystko w swoim czasie.

Może jednak jakiś konkret?

Przy okazji podniesienia kwoty wolnej od podatku o 10 tys. zł Donald Tusk bardzo podnosi podatki ryczałtowcom – polskim firmom. A wielkie międzynarodowe koncerny, które z czasem opanowały całe branże, są chronione przez państwo przed płaceniem podatków do budżetu. Skończymy z tym.

Czy Nowa Nadzieja jest gotowa przystąpić do paktu senackiego bez mnożenia warunków wstępnych?

Nasze warunki są następujące: gospodarzem rozmów jest prezydent, nikt nie zostanie pominięty, do rozmów przystąpimy na krawędzi startu formalnej kampanii wyborczej, gdy będziemy znali siłę naszych ugrupowań. Gdy wykluczymy Grzegorza Brauna, on wystawi swoich kandydatów i my też będziemy do tego zmuszeni. Na razie w Fundacji Dobry Rząd na bieżąco i profesjonalnie monitorujemy sondaże. Powiem tylko, że jeśli nie będzie paktu prezydenckiego – tak go nazywajmy – w przyszłym Senacie na 100 senatorów ok. 70 może być z obecnego układu.

Niech się pali, niech się wali, niech benzyna będzie po 15 zł, byleby prawica nie rządziła. Jak rozmawiać z tymi ludźmi?

Są ludzie, którzy traktują politykę jak religię i nic ich nie przekona. Co najwyżej mogą przestać chodzić na wybory. Istnieją szerokie badania psychologiczne i socjologiczne na ten temat. Głosując na kogoś innego, musieliby przyznać, że dali się oszukać. Jeżeli padały obietnice odpolitycznienia Trybunału Konstytucyjnego, a teraz Donald Tusk zgłasza kandydaturę Macieja Berka, to ci ludzie mają problem. Albo zgodzą się – jak w „Folwarku zwierzęcym" Orwella – śpiewać każdą zagraną piosenkę, albo się obrażą. Trzeba im wytłumaczyć, że stali się przedmiotem cynicznej manipulacji. Choć oczywiście są również tacy, których z obecną władzą łączą interesy i silne resentymenty. Jednak i na to poszukamy sposobu.

eprasa.pl 69fe0b3f94



Gra w Berka

Po co Donald Tusk wysyła Macieja Berka do Trybunału Konstytucyjnego? W tej sprawie krążą najróżniejsze teorie, ale prawda jest banalnie prosta. To nie demoniczny plan premiera – to doraźność, wręcz chaos. Wszystkie uzasadnienia są dorabiane post factum



PIOTR GURSZTYN

Maciej Berek sam chciał iść do Trybunału Konstytucyjnego i prosił o to swojego szefa, czyli premiera Donalda Tuska, a ten się zgodził. Takie są ustalenia mediów. „On tak zasłużył się Tuskowi, że o co by nie poprosił, to by dostał" – czytamy na jednym z portali.

Dlaczego Berek pragnie zasiąść w Trybunale? To proste. Funkcja sędziego TK jest zwieńczeniem prawniczej kariery. Szuka sobie dobrego miejsca na dziewięć lat w sytuacji prawdopodobnie przegranych przez jego obóz wyborów. Przyda się nie tylko miejsce pracy, lecz także immunitet sędziowski. Zresztą w 2015 r. – wtedy, gdy Platforma Obywatelska straciła władzę – Berek miał zasiąść w Europejskim Trybunale Obrachunkowym jako reprezentant Polski, ale zwycięska prawica cofnęła tę nominację.

W obecnym rządzie Berek pełnił funkcję ministra bez teki w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów i przewodniczącego Komitetu Stałego Rady Ministrów. Oprócz tego był szefem Zespołu Programowania Prac Rządu, sekretarzem ds. parlamentarnych, członkiem Komitetu Ekonomicznego rządu oraz pełnił przy premierze wiele niesformalizowanych funkcji. Od pewnego czasu przekazywał związane z tym obowiązki kolejnym urzędnikom KPRM, co również jest potwierdzeniem tego, że bardzo pragnie zasiąść w TK.

Jest osobą, która była potrzebna Tuskowi. Często nazywano go jego prawą ręką. Pod względem realnych osiągnięć, a także PR, rządy Tuska to pasmo nieustających wpadek. Na tle tego wszystkiego Berek był jaśniejszym punktem. Cieszy się opinią dobrego prawnika i uporządkowanego administratora. Wiadomo, że ktoś taki nie będzie twarzą żadnej ekipy, nie poprawi jej notowań, ale można założyć, że urzędnik tego pokroju ochroni rząd przed przynajmniej częścią potencjalnych wpadek, wynikających z czyjegoś bałaganiarstwa i nieprzestrzegania procedur. Do tej pory nie był znany szerszej opinii publicznej, ale przynajmniej w świecie mediów dominowały pozytywne oceny na jego temat. Na zasadzie: pod względem merytorycznym ekipa Tuska jest słaba i chaotyczna, ale przynajmniej Berek jest kompetentny w swoim zakresie. Teraz się to kończy.

Fot. PAP

eprasa.pl 69fe0b3f94

IRYTACJA ZWOLENNIKÓW KOALICJI

Liberałowie, którzy uważają rząd Tuska za swój, są całkowicie zdezorientowani wiadomością o tym, że Maciej Berek ubiega się o stanowisko sędziego TK. „Ile jeszcze wytrzyma elektorat Tuska? Nawet twardziele miękną. Jak zachwyca, jeśli nie zachwyca? Takie pytanie coraz częściej zadają sobie ludzie, którzy do niedawna stanowili żelazne zaplecze obozu Donalda Tuska. Jeszcze trwają przy obozie premiera, ale jak długo?" – pisał ostatnio w tygodniku „Polityka" Rafał Kalukin.

Jego uwagi nie dotyczyły wyłącznie sprawy Berka, ale ta łączy się z nastrojami wyborców Koalicji Obywatelskiej. Bo z jednej strony budzi wątpliwości wobec przywiązania Tuska do głoszonych przez niego haseł, a z drugiej istnieje powątpiewanie co do skuteczności, bo operacja wysłania Berka do Trybunału nie zapowiada się jako spektakularny sukces. Gorzej – wiele osób po liberalnej stronie uznało to za kolejną oznakę tego, że Tusk traci słuch społeczny i w ogóle kontakt z rzeczywistością. Widać to w opublikowanym niedawno sondażu IBRIS dla „Rzeczpospolitej": nie dość, że większość Polaków źle ocenia wysłanie Berka do TK, to również zwolennicy koalicji rządowej wyrażają negatywne opinie na ten temat. Decyzja Tuska zyskała poparcie 37 proc. jego zwolenników, ale 43 proc. wyborców koalicji jest jej przeciwna.

Liberałowie odbierają tę decyzję również jako symptom schyłkowości ekipy obecnego premiera. Publicysta Leszek Jażdżewski, dobrze zorientowany w sprawach świata liberalnego, z miejsca postawił brutalną diagnozę: „Niezależnie od osobistych motywacji Macieja Berka politycznie jego decyzja o odejściu ma dwa istotne wymiary. Pierwszy to zarzucenie prób przeprowadzania ambitnych i złożonych projektów przez rząd. Drugi z kolei to początek procesu ewakuacji obecnej ekipy rządzącej w obliczu przewidywanej porażki w przyszłorocznych wyborach". To nie koniec złych wiadomości dla liberałów, bo Jażdżewski zauważył również, iż odejście Berka oznacza, że „i tak niewielka efektywność tego rządu w realizacji priorytetów jeszcze spadnie".

Polityczny bezsens ucieczki Macieja Berka do TK zauważyła też Dominika Wielowieyska. Dziennikarka „Gazety Wyborczej" musiała polemizować z dominującymi w jej środowisku głosami, że Berek w TK to wspaniała wiadomość, gdyż to element jakiegoś sprytnego planu Tuska. „Premier Tusk mówi, że minister Berek ma naprawić sytuację w Trybunale. Trudno zrozumieć, dlaczego tylko Berek może to zagwarantować. I dlaczego nie może tego robić np. sędzia Krystian Markiewicz. Dlaczego do Trybunału nie można delegować prawnika spoza polityki?" – pytała delikatnie Wielowieyska, tak aby zbytnio nie rozwścieczyć sfanatyzowanych czytelników swojej gazety.

Jej pytania dotykają clou problemu, czyli bezsensu argumentacji, że Berek jest Tuskowi potrzebny do „uzdrowienia" TK. Rzeczywiście, obóz liberalny jest popierany przez wielu prawników, którzy spełniają wszystkie wymogi formalne i którym nie można zarzucić aż tak bezpośrednich związków z polityką. Przy czym jednocześnie realizowaliby oczekiwania Tuska z powodu swych poglądów albo innych względów. Decyzja o wysunięciu Berka, czyli *de facto* próba zapewnienia mu wygodnej posady, musiała zostać odebrana w tych kręgach jako przejaw ich kompletnego lekceważenia.

Dzięki temu obserwujemy ciekawy spektakl. Jedną częścią jest to, że Donald Tusk z ostentacyjnym lekceważeniem potraktował liberalnych prawników, a drugą to, że Tusk nie budzi już u tych lekceważonych większego respektu. To nie jest już Tusk zwycięzca, lecz autor polityki chaotycznej, leniwej i przede wszystkim nieudanej.

Wielu znanych prawników, którzy przez lata kibicowali Platformie i bardzo źle życzą prawicy, tym razem głośno krytykuje pomysł Tuska. Podobnie negatywne stanowiska wyraziły ważne i wpływowe organizacje – Helsińska Fundacja Praw Człowieka, Fundacja Batorego, powiązane z Leszkiem Balcerowiczem Forum Obywatelskiego Rozwoju, Fundacja Panoptykon, Sieć Obywatelska Watchdog Polska i kilka innych.

W tle tego wszystkiego jest też zastanawiająca postawa dużej części organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości, która przed 2023 r. wojowała z rządem Zjednoczonej Prawicy, a teraz jej relacje z władzą można nazwać nieprzyjaznymi. Widzieliśmy upokarzające dla obecnie rządzących umorzenie śledztwa w sprawie tzw. dwóch wież. A także komunikaty prokuratury, które można nazwać drwiną z samego Donalda Tuska, czyli zaprzeczenie jego słowom o tym, że Marcin Romanowski niemal na pewno przebywa w Naddnieprzu albo ostentacyjna deklaracja, że w sprawie Zondacrypto nie ma wątku rosyjskiej mafii, choć Tusk głośno o tym krzyczał.

To również oznaki, że znacząca część świata prawniczego przestała utożsamiać swoje potrzeby i cele z Donaldem Tuskiem oraz jego rządem.

ZLEKCEWAŻENI KOALICJANCI

Wracając do bieżącej polityki – także liberalni wyborcy mają prawo myśleć, iż rząd, który wspierali, ma ich w nosie. Po pierwsze, porzuca ich. Po drugie, ma ich za bezwolną oraz bezmyślną masę, a okazuje się, że pewna część liberalnego elektoratu wierzy w głoszone wcześniej ideały. „Nikt już nie będzie palił świeczek przed sądami" – zauważył ze smutkiem życzliwy rządowi publicysta.

Zlekceważeni zostali również koalicjanci. Nie po raz pierwszy, ale ta sprawa jest ważniejsza od innych, bo za rządów PiS oni też palili świeczki pod sądami – w ilościach hurtowych. Tymczasem nikt z otoczenia Tuska nie zadał sobie minimum trudu, aby ich uprzedzić ani tym bardziej przekonać. „Gdyby pan Maciej Berek nie był członkiem Rady Ministrów, nie zawahałbym się podnieść ręki i powiedzieć »tak« dla tej kandydatury. [...] Mam z tym problem, dlatego że pamiętam nasze zobowiązanie, pamiętam protesty przed sądami" – mówił poseł Lewicy Tomasz Trela. To jeden z najbardziej antyprawicowych polityków, który z pewnością marzy o tym, aby TK był we „właściwych" rękach.

Czy poseł Trela kieruje się w swoim sprzeciwie jakimś idealizmem? Chyba nie, bo do tej pory nie poznaliśmy go od tej strony. Można mu jednak wierzyć, że bardzo chce „odbicia" TK. Tyle że Maciej Berek tego nie gwarantuje. Na poziomie praktycznym lepsze dla obecnej

eprasa.pl 69fe0b3f94

władzy byłoby to, co proponowała Wielowieyska, czyli znalezienie zaufanych prawników bez polityki w CV. W takim przypadku prawicy (także prezydentowi) trudniej by było kwestionować ich wybór do TK, a później ich orzecznictwo.

Tymczasem prezydent ma szerokie możliwości zakwestionowania kandydatury ze względu na wymogi formalne. Berek jest doktorem, ale nie ma koniecznej habilitacji. Bez niej mógłby zostać sędzią TK, gdyby miał 10-letni staż pracy sędziego, prokuratora, adwokata, radcy prawnego lub notariusza. Ma uprawnienia radcy prawnego, ale są wątpliwości, czy wykonywał ten zawód przez odpowiednio długi czas. Czy nikt w otoczeniu Tuska tego nie sprawdził?

Prezydent może mieć jeszcze jeden dobry powód do odmowy zaprzysiężenia Berka – kandydat, pracując w kancelarii premiera Tuska, aktywnie uczestniczył w tworzeniu uchwały Sejmu, na mocy której rząd odmawia publikowania orzeczeń TK. Berek byłby zatem sędzią we własnej sprawie.

Co więcej, Berek w roli sędziego co rusz musiałby się wyłączać z orzekania, bo natykałby się na akty prawne, które współtworzył. „Gdyby Maciej Berek został teraz sędzią Trybunału Konstytucyjnego, musiałby wyłączyć się z każdej sprawy, która dotyczyłaby każdej ustawy, która była uchwalana lub nowelizowana przy jego współpracy. […] Jeśli sprawa zostanie osądzona z jego udziałem, możliwe są skargi do Trybunałów w Strasburgu czy Luksemburgu" – napisało w swym stanowisku Stowarzyszenie Sędziów Polskich „Iustitia". Tak, ta słynna „Iustitia"!

Dla prawicy Berek w TK to niemal prezent. Tak jak Tusk i jego ekipa ignorują orzeczenia Trybunału jako „upolitycznionego", tę samą sposobność dostanie prawica. I to nawet w jeszcze jaskrawszej formie.

OBROŃCY DECYZJI

Słyszymy wiele tłumaczeń racjonalizujących decyzję w sprawie Berka. Można być pewnym, że są wymyślane *post factum*. Adresatem zdecydowanie są tylko „swoi", czyli wierny elektorat, aby miał choć trochę argumentów w obronie tej bezsensownej decyzji.

Przy czym ta argumentacja idzie dwutorowo, w sposób całkowicie sprzeczny. Mówi się, że Berek to wybitny fachowiec. Całkowicie apolityczny, co jest szczególnie podkreślane. Ale częściej można usłyszeć, że w sprawie Trybunału Konstytucyjnego Donald Tusk idzie na ostro. „Dosyć miękkiej gry" – widzimy w mediach takie wypowiedzi przedstawicieli KO. Wysłanie Berka do TK stanowi ważny element operacji, której celem jest przejęcie Trybunału.



Już teraz można pokusić się o prognozę, że do Macieja Berka, który chce się ewakuować do Trybunału Konstytucyjnego, pasuje następujące powiedzenie: i rubla nie zarobi, i cnoty nie zachowa

Fot. Andrzej Wiktor

„To nie jest tak, że premier zdejmuje teraz rękawiczki. On zdejmuje rękawice bokserskie i idzie na gołe pięści" – miał mówić jeden z polityków KO portalowi Interia.

„Czasem trzeba wjechać naprawdę na ostro" – przekonywał Bartosz Arłukowicz, co trudno uznać za reklamę apolityczności. I mówił to od momentu, gdy była to jeszcze niepotwierdzona pogłoska.

Tylko dlaczego twarda gra ma być skuteczna? Pewien paradoks stanowi to, że w narracji KO jest ziarenko prawdy. Ale nie tam, gdzie chcą obrońcy decyzji o wysłaniu Berka. W apolityczności ta cząstka prawdy nie polega na tym, że Maciej Berek jest niezależny politycznie i będzie bezstronnym sędzią. On przecież chciał być politykiem. W 2005 r. kandydował na posła z list wyborczych PO, ale mu nie wyszło. To znaczy, że będzie słaby w sensie drugiej argumentacji – walki o TK. Nie będzie potrafił się bić.

Media życzliwe rządowi piszą, że Berek poprosił o stanowisko TK, bo jest bardzo zmęczony pracą w KPRM. Jeśli tak było, jest to słaba rekomendacja dla wojownika walczącego o przejęcie Trybunału. Jego potencjalny przeciwnik, prezes TK Bogdan Święczkowski, o nieprzypadkowym przezwisku „Godzilla", nigdy się nie skarżył, że jest zmęczony. Wręcz przeciwnie – wygląda na kogoś, kogo politycy lubią nazywać „walczakiem". Jego kadencja kończy się w grudniu 2030 r., a prawo nie daje koalicji żadnych szans, aby wcześniej był wymieniony. Nowego prezesa i tak musi zaś powołać prezydent.

Według prorządowej retoryki – potraktujmy ją tutaj poważnie, jako wyraz prawdziwych intencji Tuska – rząd chce ostro „grać" z prezydentem w sprawie TK. Tylko dlaczego ma się to udać? Głowa państwa nie przyjęła ślubowania od czterech wybranych kandydatów do TK i rząd okazał się bezsilny. Kandydaci złożyli ślubowanie przed notariuszem, próbowali wejść do TK, ale prezes Święczkowski ich nie przyjął. I na tym się skończyło.

Już teraz można się pokusić o prognozę, że do Macieja Berka pasuje następujące powiedzenie: i rubla nie zarobi, i cnoty nie zachowa.

eprasa.pl 69fe0b3f94

„Xd ale szachy 5D” – tak Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz skomentowała doniesienia o możliwej rekonstrukcji rządu. Rozgrywka jest wielopoziomowa, ale może doprowadzić do tego, że obecna minister, która szachuje koalicję 13 grudnia i wywołuje złość premiera, wyląduje poza gabinetem Donalda Tuska

Ta irytująca pani minister



DOROTA ŁOSIEWICZ

Kończą się wakacje. Dzieci wracają do szkół, a politycy do sejmowych ław. To będzie gorący polityczny wrzesień, który zacznie się awanturą o wicemarszałków. O jedno miejsce ubiegają się aż trzy kluby. W mediach wrócił też temat wejścia Szymona Hołowni do rządu. Wicemarszałek Sejmu miałby przejąć klub Polska 2050. Jeśli przyniesie premierowi na tacy głosy 15 posłów i zapewni większość, mógłby wejść w skład gabinetu Tuska, nawet w randzie wicepremiera. Mówi się, że mógłby zostać ministrem kultury, może przejąć resort funduszy po Pełczyńskiej-Nałęcz, a może zostać wicepremierem odpowiedzialnym za bezpieczeństwo informacyjne. A wtedy szef rządu mógłby się pozbyć nielubianej przez siebie Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz, która w mediach często atakuje rząd, w którym zasiada. Bez zaplecza w postaci szabel w Sejmie minister od funduszy nie jest już premierowi potrzebna.

TRZECIA DROGA 2.0

Plan jest jednak szerszy. Jeśli Szymon Hołownia zostałby szefem klubu Polska 2050, mógłby doprowadzić do zjednoczenia



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 69fe0b3f94

z klubem Centrum. Przecież jego szefowa Paulina Hennig-Kloska, opuszczając poprzedni klub, jasno mówiła, że nie chodzi o niechęć do Polski 2050, lecz o niechęć do Polski 2050 Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz. Co prawda minister od funduszy wciąż będzie szefową partii, ale przy takim obrocie spraw praktycznie nie miałaby wpływu na ugrupowanie, a pewnie szybko znalazłby się sposób na jej odwołanie. Po zjednoczeniu z Centrum Hołownia miałby się dogadać z PSL i odbudować Trzecią Drogę.

Co na te medialne spekulacje Szymon Hołownia? Jak zwykle nie potwierdza i nie zaprzecza. Tak mówił dziennikarzom w Sejmie: „Rozmawiałem z premierem, rozmawiałem z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem, rozmawiam z Włodzimierzem Czarzastym. Rozmawiamy jako liderzy koalicji, którzy poprowadzili ją do zwycięstwa w 2023 r., o tym, co zrobić, by w 2027 r. Polski nie spotkało nieszczęście. A jak te rozmowy przełożą się na to, co zobaczą państwo w rządzie czy w innych miejscach? Dajmy sobie jeszcze czas. Intuicja mi podpowiada, że dojdzie do przetasowań, również osobowych, w składzie rządu w ciągu najbliższych miesięcy" – wyjaśniał Hołownia. Przyznał też: „Kilka miesięcy temu powiedziałem koleżankom i kolegom posłom, że jeżeli taka będzie ich jednomyślna decyzja, jestem gotów rozważyć to, żeby pokierować klubem Polski 2050". I jeszcze: „Dlatego, że dzisiaj Polska 2050 musi być tą siłą w koalicji, która wyśle sygnał, że ktoś z kimś zaczyna coś budować, a nie tylko pogłębione są podziały. Tych podziałów – i w koalicji, i w rządzie, i w Polsce 2050, i całym tym środowisku, które stworzyłem, mamy już za dużo" – dodawał Hołownia.

To oczywiście bardzo elegancka polityczna konstrukcja. Hołownia nie wraca przecież po władzę. On wraca, żeby „budować" i „zasypywać podziały".

PRZEBIERA NOGAMI

Zapytałam polityków innych partii, jak rozumieją te możliwe roszady.

– Wyraźnie widać, że Hołownia chce do rządu, aż przebiera nogami, bo inaczej wypadnie z życia politycznego – uważa Łukasz Rzepecki z Konfederacji. – Sam Hołownia przyznaje, że rozmawiał z premierem, a ten pewnie postawił mu ultimatum: „przyniesiesz mi głosy tych 15 posłów z klubu Polski 2050, będziesz wicepremierem albo ministrem w tym rządzie, jeżeli tego nie zrobisz, znikasz z polityki". A pani Pełczyńska-Nałęcz jest takim ministrem, który niewiele może. Nie ma za sobą ludzi, nie jest posłanką, nigdy nie została zweryfikowana przez wyborców – tłumaczył Rzepecki.

Michał Cieślak, poseł Rozwoju Plus, uważa, że zapowiadane zmiany mogą być wynikiem ostatnich przetasowań na scenie politycznej. – Mam na myśli powstanie Rozwoju Plus, który dość aktywnie zawłaszcza politykę i obszary premiera Donalda Tuska. Stąd te roszady. Premier postawił Szymonowi Hołowni dwa warunki. Chcesz wejść do rządu, to po pierwsze, musisz przejąć tych 15 posłów, których ma klub Polska 2050, po drugie, musisz się dogadać z PSL, tak żeby mogła powstać Trzecia Droga 2.0, tak żebym miał satelitę w obszarze wyborców środka. I trzeci duży zysk, który miałby z tego wynikać, to pozbycie się z rządu nielubianej przez premiera minister Pełczyńskiej-Nałęcz, bo na razie Donald Tusk nie może sobie pozwolić na wyrzucenie jej z gabinetu. Gdyby jednak miał pewność, że za Hołownią stoi cały klub, wszystkich 15 posłów, to sytuacja wyglądałaby inaczej. Premier na pewno ma wielką ochotę zmienić sytuację, ponieważ pani minister dość aktywnie go krytykuje. A czy Szymon Hołownia zostanie premierem, czy ministrem, zależy już od tego, jak skutecznie zrealizuje zadanie. Pani Pełczyńska Nałęcz ma ten problem, że ma wroga w mściwym człowieku – uważa poseł Cieślak.

Z dystansem do całej awantury podchodzi Jakub Ferek, polityk partii Razem. – Mam wrażenie, że Polska 2050 przynajmniej od stycznia zajmuje się tym, jak ona sama ma wyglądać teraz, a nie jak Polska będzie wyglądała w 2050 r. Przetasowania są mniej ważne – ważne są rozwiązania za jakimi Polska 2050 się opowiada, a oni sami tego nie wiedzą. Słyszę teraz, że głównym osiągnięciem tej partii jest wylobbowanie w rządzie obniżenia podatków 10 proc. najlepiej zarabiających Polaków poprzez podniesienie kwoty drugiego progu podatkowego. Te rozwiązanie niewiele zmienią dla większości Polaków, a od tego, czy Szymon Hołownia wejdzie, czy nie wejdzie do rządu, zupełnie nic się nie zmieni – ironizuje Ferek.

Łukasz Rzepecki z Konfederacji podpowiada wicemarszałkowi Sejmu jeszcze inny scenariusz: – Jeżeli Szymon Hołownia ma „cojones", to powinien przejąć klub Polski 2050 i wyjść z rządu. On sam wielokrotnie ten rząd krytykował, a jego decyzja o zaprzysiężeniu prezydenta Karola Nawrockiego była najlepszym potwierdzeniem wierności konstytucji, zachował się tak, jak powinien marszałek Sejmu. A to przecież jego otoczenie, koalicja rządząca namawiała go do zamachu stanu. Jeżeli więc Hołownia nie myśli wyłącznie o politycznym przetrwaniu i znalezieniu się na listach KO, bo wiele wskazuje na to, że może powstać jedna lista partii dziś rządzących, to powinien rząd opuścić. Ale wygląda na to, że on nie chce trafić na polityczny margines. Jest jeszcze jedna kwestia. Media donoszą o możliwych zarzutach dla Hołowni w związku z aferą Collegium Humanum, a Tusk od zawsze stosuje zasadę kija i marchewki. Marchewka to dołącz do nas, bądź lojalnym partnerem, będziesz na listach. A kij to te wiszące w powietrzu zarzuty, który mogą być postawione w przypadku braku lojalności. Wygląda na to, że mimo wielu przykrości, które spotkały Hołownię ze strony Tuska, on wciąż jest w niego zapatrzony, chce wejść do rządu i chce ten rząd legitymizować – mówi mi Rzepecki.

TRUDNE RELACJE

Medialne doniesienia o możliwej rekonstrukcji rządu Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz skomentowała tak: „Xd ale szachy 5D. Gdyby politycy poświęcali tyle czasu na robotę co na przecieko-knucie, to podniesienie drugiego progu już dawno by było zrobione". To próba zachowania zimnej krwi, ale sytuacja pani minister nie wygląda ciekawie.

Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz jest jednocześnie ministrem Donalda Tuska i ostrą recenzentką własnego rządu, rzeczniczką koalicji i jej krytyczką. Trochę jak pasażerka pierwszej

eprasa.pl 69fe0b3f94

klasy, która regularnie wychodzi na korytarz, by powiedzieć załodze, że statek płynie w złym kierunku. I pewnie dlatego tak irytuje Tuska.

Relacja między obojgiem polityków od początku nie przypominała politycznego romansu. Bardziej kontrakt małżeński zawarty przez dwóch prawników, którzy dokładnie przeczytali intercyzę i już przy podpisywaniu wiedzieli, że uczucia nie są konieczne do wspólnego funkcjonowania. Ona miała własne ambicje, własną partię i własne zdanie. On miał urząd premiera, największą partię koalicji i bardzo konkretną wizję tego, jak powinno wyglądać zarządzanie rządem. W tej relacji od początku było coś, co można nazwać politycznym zwarciem dwóch różnych temperamentów. Tusk jest politykiem hierarchii. Wie, kto jest szefem, kto jest zastępcą, kto ma głos doradczy, a kto decydujący. Pełczyńska-Nałęcz coraz wyraźniej próbowała natomiast pokazać, że nie wpadła do rządu w charakterze politycznej sekretarki. Kiedy przez wiele miesięcy zabiegała o stanowisko wicepremiera, nie chodziło wyłącznie o dodatkową tabliczkę na drzwiach. Chodziło o podmiotowość.

Pełczyńska-Nałęcz chciała być nie tylko ministrem Tuska, lecz także politykiem, który z Tuskiem negocjuje. A to jest zasadnicza różnica. Tusk może tolerować ministra, który ma własne zdanie. Znacznie trudniej tolerować ministra, który własne zdanie traktuje jako podstawę do negocjowania pozycji całego ugrupowania. Tym bardziej że Pełczyńska-Nałęcz w pewnym momencie przestała być wyłącznie ministrem. Została liderką Polski 2050 i od niej zależała większość. A potem wydarzyło się coś jeszcze gorszego z punktu widzenia premiera: zaczęła być liderką Polski 2050, która nie boi się publicznie krytykować rządu. To już nie była zwykła niesubordynacja – to była polityczna konkurencja.

Najbardziej charakterystyczne zdanie Pełczyńskiej-Nałęcz o jej relacji z Tuskiem padło, kiedy zapytano ją o brak „chemii" między nią a premierem. Odpowiedziała, iż rząd nie jest „kółkiem wzajemnej adoracji". Chodzi o współodpowiedzialność za państwo. Brzmi rozsądnie. Wręcz wzorowo. Problem w tym, że w polityce zdanie „nie musimy się lubić, żeby współpracować" ma także drugie dno. Może bowiem oznaczać: „Nie jestem tutaj po to, żeby mnie pan lubił". I to jest chyba najtrafniejszy opis relacji Pełczyńskiej-Nałęcz z Tuskiem. Ona nie potrzebowała jego sympatii. Potrzebowała pozycji. On zaś nie musiał jej lubić. Potrzebował jej głosów. Przez jakiś czas ten układ działał.

Jednak historia tych relacji to właściwie katalog kolejnych etapów narastającego napięcia. Najpierw była kwestia wicepremierostwa. Potem przyszła afera KPO i pamiętna reprymenda premiera. W późniejszych miesiącach zdarzały się kolejne sytuacje pokazujące, że Pełczyńska-Nałęcz nie jest ulubienicą rządowego establishmentu. Podczas jednego z posiedzeń rządu pytanie Tuska o jej nieobecność wywołało nawet śmiech ministrów, a sama minister określiła później atmosferę mianem „dziaderstwa". Można to oczywiście uznać za niewinne żarty. Polityka jest jednak dziedziną, w której nawet żart bywa komunikatem, a ten był dość czytelny: „Pełczyńska-Nałęcz nie należy do ludzi, których obecność w rządzie wywołuje powszechny entuzjazm".

Potem pojawiały się kolejne spory: o strategię rozwoju, funkcjonowanie koalicji, zachowanie Polski 2050 w sprawie sejmowego wniosku o odwołanie Pauliny Hennig-Kloski. W kwietniu 2026 r. podczas rozmowy z Pełczyńską-Nałęcz Tusk miał zagrozić, że jeśli Polska 2050 poprze ten wniosek, może to oznaczać koniec koalicji w obecnym kształcie. Onet opisywał tę sytuację jeszcze mocniej: według ustaleń portalu Tusk miał zagrozić usunięciem Polski 2050 z koalicji. Ostatecznie Pełczyńska-Nałęcz zadeklarowała, że jej partia nie poprze wniosku.

> Okazuje się, że człowiekiem, który może doprowadzić do wyrzucenia Pełczyńskiej-Nałęcz z rządu, może być Hołownia. Byłaby to polityczna ironia najwyższej próby. Przez lata Pełczyńska-Nałęcz była jednym z jego najbliższych politycznych współpracowników

Niezmiennie jednak Pełczyńska-Nałęcz chce być jednocześnie lojalnym członkiem koalicji i jej krytykiem, ministrem Tuska i liderką partii posiadającej własną agendę, partnerką premiera i jego politycznym przeciwnikiem, częścią systemu i jego recenzentką. Lecz także Tusk prowadzi podwójną grę. Podczas sierpniowego spotkania z Pełczyńską-Nałęcz szef rządu miał ją zapewniać, że nie ma propozycji wejścia Hołowni do rządu. Jednocześnie – według medialnych doniesień – miał rozmawiać z samym Hołownią, który miał mu raportować, ilu posłów ma za sobą. Czyli podwójna gra – polityczna norma.

Teraz okazuje się, że człowiekiem, który może doprowadzić do wyrzucenia Pełczyńskiej-Nałęcz z rządu, może być Hołownia. Byłaby to polityczna ironia najwyższej próby. Przez lata Pełczyńska-Nałęcz była jednym z jego najbliższych politycznych współpracowników. Potem to ona przejęła przywództwo w Polsce 2050. Hołownia zaczął tracić wpływy, partia zaczęła się dzielić, część polityków odeszła i utworzyła klub Centrum. Teraz były lider chce powrócić do gry. I może wrócić nie jako lider partii, nie jako marszałek, nie jako kandydat na prezydenta, lecz jako minister lub wicepremier w rządzie Donalda Tuska. To byłby polityczny żart, który sam się napisał. Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz miesiącami walczyła o stanowisko wicepremiera, które teraz może dostać Szymon Hołownia. Ministerstwo, które miało być jej trampoliną do większej politycznej podmiotowości, może stać się jego przystanią. Taka jest polityka. Parszywa.

eprasa.pl 69fe0b3f94





GORAN ANDRIJANIĆ

Surogatka w pakiecie VIP

We wrześniu w Warszawie odbędzie się wydarzenie, które już teraz możemy opisać jako skandaliczne

Ukraińska klinika BioTexCom organizuje konferencję, która formalnie ma być poświęcona rodzinie, a tak naprawdę będzie promować główną aktywność tej firmy z Kijowa. Jest to tzw. macierzyństwo zastępcze, czyli surogacja, która na Ukrainie jest legalna i już dawno stała się bardzo dochodowym biznesem, w Polsce natomiast pozostaje przestępstwem.

Przypomnijmy – surogacja polega na tym, że kobieta zachodzi w ciążę i rodzi dziecko dla innych osób. Oczywiście dla pieniędzy. Choć w romantycznym ujęciu według niektórych surogacja jest metodą leczenia niepłodności, z czasem stała się biznesem wartym wiele miliardów dolarów, w którym dzieci są traktowane jak przedmioty, a matki – jak niewolnice.

RYNEK MACIERZYŃSTWA ZASTĘPCZEGO

Portal wPolityce.pl, który ujawnił plany organizacji wspomnianej konferencji w Warszawie, sprawdził na stronie BioTexComu zakres usług dostępnych w ofercie ukraińskiej firmy. Wśród nich są wymienione procedury in vitro, in vitro z komórkami jajowymi dawczyni oraz macierzyństwo zastępcze. Widnieje tam również cennik surogacji proponowanych przez firmę. Za pakiet „standard" rodzice muszą zapłacić 39,9 tys. euro, za „standard plus" – 49,9 tys. euro, a za „pakiet VIP" – aż 64,9 tys. euro.

„5 prób w pakiecie »standardowym«, nieograniczona liczba prób w pakiecie »standardowym Plus« i »VIP«. Liczba podejść (transferów zarodków) dotyczy użycia własnych komórek jajowych lub komórek jajowych dawczyni. Staramy się tak długo, aż urodzi się dziecko!" – czytamy na stronie ukraińskiej firmy.

Według Global Market Insights do 2032 r. rynek macierzyństwa zastępczego ma przekroczyć 129 mld. dol. W tym momencie surogacja jest legalna m.in. w Rosji, Grecji, Wielkiej Brytanii, Armenii, Finlandii, USA, Czechach, Meksyku, Indiach czy Tajlandii.

Od samego początku tego nieludzkiego biznesu Ukraina była krajem, w którym rozwijał się on najszybciej. Powody są jasne – trudna sytuacja ekonomiczna wielu Ukrainek, które w pewnym momencie nie mają innego wyjścia, jak tylko zaakceptować rolę matki zastępczej. Wiele

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 69fe0b3f94

osób pamięta scenę z ukraińskiego szpitala z maja 2020 r., kiedy dziennikarze odkryli setki dzieci porzuconych przez swoich „rodziców" z powodu pandemii. W międzyczasie doszło do rosyjskiej agresji na Ukrainę, która jeszcze bardziej zubożyła naszego sąsiada i prawdopodobnie dodatkowo rozszerzyła możliwości biznesu surogacji. Ta konferencja jest tego dowodem.

Mimo zapewnień mediów III RP, że krytyka surogacji to jedynie następna „fascynacja prawicowców" i że to niebezpieczne zjawisko atakują jedynie środowiska konserwatywne, na Zachodzie głosy krytyki wobec macierzyństwa zastępczego narastają również w samym establishmencie. Staje się coraz bardziej oczywiste, że surogacja nie tylko traktuje życie ludzkie jak towar, lecz także stawia kobiety oferujące swoje funkcje reprodukcyjne w pozycji osób podporządkowanych i pozbawionych praw.

NIEWOLNICTWO XXI w.

Pisała o tym w swoich raportach Reem Alsalem, specjalna sprawozdawczyni ONZ ds. przemocy wobec kobiet i dziewcząt. Jej działalność w ciągu ostatnich kilku lat pomogła spojrzeć na macierzyństwo zastępcze bardziej realistycznie i stworzyć atmosferę, która mogłaby doprowadzić do prawnych ograniczeń dotyczących tego zjawiska.

– Surogacja jest nieuchronnie związana z przemocą wobec kobiet oraz ich wykorzystywaniem. Opiera się na idei uprzedmiotowienia zdolności reprodukcyjnych kobiet – powiedziała Alsalem w udzielonym mi niedawno wywiadzie.

– To wielomiliardowy przemysł, który byłby niemożliwy, gdyby nie wykorzystywanie trudnej sytuacji kobiet. To trochę jak prostytucja. Dla mnie systemy prostytucji i macierzyństwa zastępczego są bardzo podobne. Uprzedmiotawiają funkcje reprodukcyjne kobiet i dziewcząt, wykorzystując ich niepewną sytuację. Wiele matek zastępczych, z którymi rozmawiałam, mówiło, że czuły się odczłowieczone i zniewolone. Istnieje również wiele udowodnionych szkód dla dzieci – mówiła mi sprawozdawczyni ONZ.

Idea, że większość pieniędzy ma dotrzeć do matki zastępczej, jest iluzją. Największa część trafia do klinik, które są pośrednikami i czerpią z tego ogromne zyski. Tak jak ukraiński BioTexCom.

Kolejnym mitem związanym z macierzyństwem zastępczym jest to, że zdecydowaną większość par poszukujących matki zastępczej stanowią te, które zmagają się z niepłodnością. Może w niektórych przypadkach tak jest, ale pozostaje oczywiste, że coraz więcej par poszukujących takiego rozwiązania to pary homoseksualne. Chociaż nie ma poważnych badań na ten temat (i jasne jest dlaczego), według niektórych szacunków w Stanach Zjednoczonych to właśnie pary homoseksualne stanowią najliczniejszą grupę klientów zgłaszających się do klinik.

> Polska jest jednym z krajów europejskich, które stanowią bastion walki z macierzyństwem zastępczym. I musi nim pozostać. Z ważnego powodu – surogacja to niewolnictwo XXI w. Zarówno dla dzieci, jak i matek

Jak wyjaśniła mi sprawozdawczyni ONZ, brak jasnej kontroli nad tym, kto faktycznie chce skorzystać z usług surogacji, to jeden z największych problemów w tym przemyśle. Istnieją poważne przesłanki wskazujące na to, że znaczna liczba klientów później wykorzystuje dzieci do celów seksualnych, a także do sprzedaży organów. Coraz częściej zdarzają się również przypadki zamożnych matek korzystających z usług macierzyństwa zastępczego, które pragną dziecka, ale nie chcą zajść w ciążę.

HISTORIA GABRIELA

O tym, w jakim stopniu branża macierzyństwa zastępczego uniknęła jakiejkolwiek kontroli moralnej, świadczy niedawny przykład ze Stanów Zjednoczonych.

Para z Kalifornii, Nausheen Gilkar i Omar Ahmed, pozwała swoją matkę zastępczą za odmowę aborcji dziecka, które dla nich nosiła, twierdząc, że w ten sposób złamała umowę. McKenna West, pielęgniarka z Alaski, 12 sierpnia urodziła w Dallas chłopca, u którego przed urodzeniem zdiagnozowano poważną, ale możliwą do wyleczenia wadę serca. Przed porodem pojechała do Teksasu, ponieważ jest tam klinika lecząca tego typu wady serca, a dodatkowo prawo tego stanu chroni życie.

Teraz toczy się batalia prawna między dostawcą usług surogacji a matką, która chce opieki nad dzieckiem, ale jest gotowa je oddać, jeśli rodzice zrobią wszystko, co w ich mocy, aby je wyleczyć.

Cała tragedia związana z małym chłopcem, który ma dwa imiona (para nazywa go Rumi, a jego matka surogatka – Gabriel), jest istotna, ponieważ uwypukla brak prawnych regulacji dotyczących macierzyństwa zastępczego w USA, a także głęboką niemoralność warunków, w jakich się ono odbywa.

Irene Alexander, profesor teologii moralnej na Uniwersytecie w Dallas, powiedziała, że surogacja zaczyna przypominać „mentalność zakupów w internecie".

„Jeśli nie dostanę dokładnie tego, co zamówiłam, chcę to zwrócić. Surogacja jest chora, ponieważ oddziela wszystkie aspekty ludzkiej seksualności. Miłość, rodzicielstwo i dobro dziecka są rozbite, a dzieci cierpią, ponieważ te rzeczy są nierozerwalnie związane ze sobą" – stwierdziła.

Jak w świetle tych wydarzeń wygląda Polska? Art. 61 Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego mówi, że matką jest kobieta, która urodziła dziecko, co stanowi wyraźny zakaz surogacji.

Tymczasem środowiska lewicowo-liberalne twierdzą, że polskie prawo traktuje macierzyństwo zastępcze jako coś, co nie jest ani zakazane, ani dozwolone. Oczywiście mówią tak, aby z góry uzasadnić wszelkie działania, które będą promować macierzyństwo zastępcze. I to nie w celu leczenia niepłodności, ale w celu dalszego poszerzania praw osób LGBT+, prawo do dzieci pozostaje zaś jednym z niezrealizowanych i najbardziej pożądanych. Polska jest jednym z krajów europejskich, które stanowią bastion walki z macierzyństwem zastępczym. I musi nim pozostać. Z ważnego powodu – to patologia, która jest niewolnictwem XXI w. Zarówno dla dzieci, jak i matek.

eprasa.pl 69fe0b3f94



Kaucja do bani



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Staliśmy się niewolnikami systemu kaucyjnego. Nie tylko musimy poświęcać swój czas na segregowanie i transport śmieci, lecz także dopłacamy do tego biznesu. Trudno określić to inaczej niż jako upokorzenie

„Rozszerzamy system kaucyjny” – informuje „ministra” klimatu i środowiska Paulina Hennig-Kloska. Teraz do plastikowych, aluminiowych i szklanych butelek po napojach dojdą jeszcze tzw. małpki, czyli małe flaszki, w których sprzedaje się wysokoprocentowy alkohol.

Prawdopodobnie nie będzie za to zapowiedzianego na początek przyszłego roku włączenia do systemu kaucyjnego wielomateriałowych opakowań po mleku, napojach mlecznych, oleju roślinnym i sokach. Te zmiany mają zostać wprowadzone później, gdy zostanie zwiększona liczba butelkomatów.

Urzędnicy ministerstwa przyznają, że w dzisiejszej sytuacji poszerzenie systemu o kartony po mleku czy pudełka po śmietanie skończyłoby się porażką logistyczną i higieniczną. Trudno się z tym nie zgodzić – setki cuchnących opakowań walających się na zapleczu sklepów nie wyglądałoby najlepiej. Tak czy inaczej Polska – zgodnie z dyrektywą unijną – ma czas na pełne wdrożenie systemu kaucyjnego do 2029 r., gdy powinniśmy odzyskiwać 90 proc. butelek z tworzyw sztucznych.

REGRES CYWILIZACYJNY

Hennig-Kloska zachwyca się, że od uruchomienia systemu udało się zebrać 3,2 mld opakowań. Niestety nie podaje przy tym, jaki to procent wszystkich butelek podlegających kaucji i wprowadzonych do obrotu. Trudno więc ocenić skuteczność systemu kaucyjnego. Można się jedynie domyślać, że jest ona niewielka, skoro rząd nie chwali się danymi procentowymi. Tym bardziej że kaucje z niezwróconych opakowań przejmują operatorzy systemu – z ich punktu widzenia słabe zwroty to większe pieniądze. Może więc lepiej, żeby obywatele nie wiedzieli, ile milionów z ich kieszeni trafia na utrzymanie systemu.

Wcześniej wszystko było tańsze i prostsze. Butelki po napojach lądowały w odpowiednich pojemnikach, a ich dalszym losem zajmował się samorząd i firmy śmieciarskie. Każdy płacił za ich wywóz w czynszu lub bezpośrednio gminom. Nie było żadnych „operatorów” – prywatnych podmiotów, które dwa lata temu zaczęły powstawać jak grzyby po deszczu, aby zająć się naszymi odpadami.

Wprowadzenie systemu kaucyjnego, przynajmniej w jego obecnej postaci, przedstawiane jako milowy krok naprzód w walce o środowisko, jest w rzeczywistości – jak wiele podobnych rozwiązań – cofaniem się w rozwoju. I to dość kosztownym.

Mamy do czynienia z regresem technologicznym, bo polski system selektywnej zbiórki śmieci był całkiem

Fot. Mariusz Grzelak/REPORTER

eprasa.pl 69fe0b3f94

nowoczesny, a zajmujące się nim firmy dysponują bardzo efektywnymi narzędziami do segregacji i odzyskiwania odpadów. Teraz te inwestycje w dużym stopniu stały się zbędne i przynoszą straty, które zostały wliczone w cenę wywozu śmieci. Krótko mówiąc, my za to płacimy.

Najgorsze jest jednak to, że choć wydajemy więcej, to jeszcze doszły nam nowe obowiązki. Już nie wystarczy – tak jak dotąd – zbierać śmieci do odpowiednich pojemników. Teraz część z nich trzeba gromadzić, obchodzić się z troską (żadnego zgniatania), a potem dźwigać do pobliskiego sklepu i stać w kolejce do butelkomatu. O ile akurat działa. W ten sposób staliśmy się niewolnikami systemu kaucyjnego. Nie tylko musimy poświęcać swój czas na segregowanie i transport śmieci, lecz także dopłacamy do tego biznesu. Trudno określić to inaczej niż jako upokorzenie.

BOHATEROWIE NOWEJ RZECZYWISTOŚCI

To, co dla większości normalnych ludzi jest upokarzające, dla „ministry" Hennig-Kloski jest bohaterstwem. W kwietniu z wielką dumą opisała 15-letniego Wiktora z Krakowa, który przez półtora miesiąca miał zebrać 3388 butelek. „Wiktor otrzymał w sklepie paragony wartości 1,7 zł. Jest bohaterem!" – zachwycała się „ministra".

Zachwyty „ministry" zalatywały trochę poprzednią epoką, gdy podobne „wyczyny" opisywała „Trybuna Ludu", równie uderzający jest jednak inny aspekt. Oto przedstawicielka rządu bez żadnego skrępowania cieszy się z tego, że obywatele w jej państwie zbierają śmieci. I nawet jeśli nie ma w tym takiej intencji, trudno odczytać to inaczej niż jako przejaw pogardy i klasizmu.

W podobnej konwencji zbiórkę śmieci chwaliła również – to żadne zaskoczenie – „Gazeta Wyborcza". „Jak zarabiać tysiące na systemie kaucyjnym?" – pytała w tytule, opisując historię innego mieszkańca Krakowa, który przez dwa miesiące zarobił na systemie kaucyjnym ponad 2,3 tys. zł. Jest też nowym rekordzistą, jeśli chodzi o jednorazowy paragon z butelkomatu. „Okazji do zarobku może być jeszcze więcej, bo do systemu rząd chce włączyć małpki po wódce" – dopingowała „Wyborcza".

Wcześniej gazeta pisała o panu Marku, który, oddając co tydzień 600 butelek, zarabiał na systemie kaucyjnym 300 zł. Trudno powiedzieć, ilu czytelników „Wyborczej" skorzystało z rad gazety i ruszyło do śmietników w poszukiwaniu zarobku. Zapewne niewielu, bo te porady były skierowane do pospólstwa, które powinno się cieszyć z tego, iż rząd otworzył przed nim nową perspektywę życiową.

ZROBILIŚMY Z LUDZI ŚMIECIARZY

Faktem jest, że system kaucyjny stał się szansą na zdobycie paru groszy przez rozmaitych żulików, którzy zaczepiali przechodniów z prośbą „o poratowanie". Problem polega na tym, że wyciągane przez nich ze śmietników butelki trafiają potem do sklepów, lądując często pomiędzy półkami z żywnością, a nawet na taśmie przy kasie, bo „butelkomat nieczynny".

Nie ulega żadnej wątpliwości, że za sprawą nieszczęsnego systemu kaucyjnego i braku wystarczającej liczby butelkomatów stan higieniczny wielu sklepów znacznie się pogorszył. Wory pełne śmieci walają się na zapleczu w bezpośrednim sąsiedztwie produktów, które potem są wystawiane na sprzedaż. Wcześniej te same wory gniją w mieszkaniach, zajmując miejsce i czekając, aż ktoś z domowników będzie miał trochę wolnego czasu, aby poszukać czynnego butelkomatu. Przy czym taki domownik musi być albo dość sprawny fizycznie albo mieć samochód, którym – emitując spaliny – przewiezie urobek do sklepu.

Starsze, zwłaszcza samotne, osoby w ogóle są wyłączone, ponosząc tym samym podwójne koszty – kaucji oraz podwyżki opłat za wywóz śmieci. Obecny system kaucyjny – podobnie jak wiele pomysłów liberalnej lewicy – zdradza tu swoje darwinowskie oblicze: uderza i wyklucza słabszych.

O potrzebie rezygnacji ze szkodliwego i niesprawiedliwego systemu mówił jakiś czas temu Przemysław Czarnek, ale PiS, zajęte wewnętrznymi rozgrywkami, najwyraźniej straciło zapał, co wykorzystała Konfederacja, zgłaszając w sierpniu projekt ustawy likwidującej kaucję i przywracającej poprzednie zasady.

Nawet wśród posłów koalicji rządowej znaleźli się krytycy obecnego systemu. „Zrobiliśmy z ludzi śmieciarzy" – napisał Robert Dowhan z KO. „Widząc tych ludzi z wielkimi workami pełnymi opakowań, wstyd mi, że stanowimy takie prawo. Opakowania, w których zawsze zostanie napój, sok czy cokolwiek innego, fermentują i rozlewają się. Wozimy te śmierdzące rzeczy w samochodach, a potem stoimy w kolejkach, aby odzyskać swoje pieniądze" – stwierdził poseł.

Interpelację do Ministerstwa Klimatu i Środowiska złożyła również rzeczniczka klubu KO Dorota Łoboda. Podpisało się pod nią kilka posłanek, w tym Barbara Nowacka i Katarzyna Lubnauer. „Ludzie narzekają, że nie zdążyli zrealizować kuponów przed upływem terminu ważności, zaciął się automat albo muszą czekać w długiej kolejce. Pytają też, co dzieje się z pieniędzmi z nieodebranych kaucji" – powiedziała Łoboda w rozmowie z „Rzeczpospolitą".

Niewykluczone, że ta nagła aktywność polityków KO w obronie zdrowego rozsądku jest próbą odebrania inicjatywy prawicy. Tym bardziej że podkreślają oni, iż nie chcą likwidacji systemu kaucyjnego, lecz jego modyfikacji.

BENEFICJENCI SYSTEMU

Skoro obecny system kaucyjny jest tak zły, że krytykują go nawet niektórzy politycy KO, to czemu wprowadzono go w tym kształcie? Unijna dyrektywa, która jest jego podstawą, nie podsuwa szczegółowych rozwiązań, lecz domaga się uzyskania przez kraje członkowskie zwrotu opakowań z tworzyw sztucznych na poziomie 90 proc. Jakim sposobem to osiągniemy, jest już w dużym stopniu nasza sprawa.

My tymczasem postanowiliśmy sięgnąć – cóż za zaskoczenie – po wzorce niemieckie. Operatorami systemu są spółki akcyjne, współtworzone najczęściej przez duże sieci handlowe i producentów napojów. Wśród ośmiu

eprasa.pl 69fe0b3f94

operatorów znalazły się m.in. Schwarz Gruppe (Lidl, Kaufland) działające w ramach spółki OK Operator Kaucyjny, a także Carlsberg Polska, który wraz z Grupą Żywiec (Heineken) oraz Kompanią Piwowarską (Asahi) powołał spółkę Polski System Kaucyjny S.A.

Do podstawowych zadań operatorów należy kontrola liczby opakowań kaucyjnych znajdujących się w obiegu, ich odbiór ze sklepów i przekazywanie do recyklingu, rozliczanie kaucji, nadzór nad infrastrukturą i logistyką oraz wypłata sklepom tzw. opłaty manipulacyjnej, czyli wynagrodzenia za obsługę zwrotu opakowań.

W ten sposób została sztucznie stworzona zupełnie nowa gałąź biznesu. To, czym wcześniej zajmowały się samorządy i firmy śmieciarskie, zostało skomplikowane ponad miarę i oddane w ręce prywatnych firm. Teraz to one zawiadują częścią naszych odpadów oraz całym systemem ich nadzoru, dystrybucji i przetwarzania. A jest o co walczyć. W Polsce zużywamy rocznie kilkanaście miliardów butelek PET i kilka miliardów puszek aluminiowych.

Działalność operatorów systemu jest finansowana z pieniędzy pochodzących z nieodebranych kaucji. Drugim źródłem dochodów jest sprzedaż odpadów do recyklingu. Według szacunków łączne przychody z tych źródeł mogą przekraczać 1 mld zł rocznie.

Formalnie tych środków nie można wydać w dowolny sposób. Zgodnie z prawem powinny być one przekazane z powrotem do systemu, który ma się sam utrzymywać. Przy czym trudno jednoznacznie zdefiniować, na czym to polega. Bo przecież w ramach tego systemu będzie mnóstwo transferów pieniędzy, np. od operatora do sieci handlowych lub do firm transportowych. Jest też pytanie, jak traktować pieniądze z kaucji znajdujące się na kontach operatorów. Co w takim razie z odsetkami? Czy one też trafią z powrotem do systemu, czy nie? Mówiąc krótko, koszty funkcjonowania systemu są bardzo rozstrzelone i obejmują wiele różnych podmiotów.

Wyobraźmy sobie sieć handlową, która jest powiązana z operatorem systemu. Dostaje przecież wynagrodzenie w postaci opłaty manipulacyjnej. Czy można to nazwać przekazywaniem kaucji z powrotem do systemu? Chyba nie. Potencjalnych możliwości naginania prawa może być więc całkiem sporo.

DZIEWICZY RYNEK

Ogólnie chodzi nie o ekologię, ale o pieniądze. Producentom napojów bardzo zależało na systemie kaucyjnym. Dzięki niemu mają oni kontrolę nad odbiorem opakowań i – co ważniejsze – ich sprzedażą do recyklingu. Wcześniej należało to do obowiązków samorządu, a dziś zostało sprywatyzowane. Segregacją butelek i ich zwrotem zajmują się zaś – za darmo – obywatele. Świetny interes.

> Kaucje z niezwróconych opakowań przejmują operatorzy systemu. Może więc lepiej, żeby obywatele nie wiedzieli, ile milionów z ich kieszeni trafia na utrzymanie systemu

Przy okazji łatwiej jest pozbyć się konkurencji małych firm i sklepów. Drobni producenci napojów musieli przecież sporo zainwestować w opakowania kaucyjne z nadrukiem. Z kolei małe sklepy przegrywają z dużymi sieciami, zarabiającymi duże kwoty na obsłudze butelkomatów. Zwłaszcza że klienci – ze względu na wygodę – coraz częściej wybierają sklepy, w których łatwo oddać butelki. To również uderza w drobny handel.

Wreszcie na systemie zyskują producenci butelkomatów. W Polsce najpopularniejsze są maszyny norweskiej firmy TOMRA i amerykańskiego Envipco. Do tego trzeba jeszcze dokupić oprogramowanie. W tej chwili w naszym kraju działa 17,5 tys. butelkomatów, ale według szacunków potrzeba ich co najmniej 25 tys. Mówi się nawet, że aby ograniczyć wyprawy do sklepów, powinny je kupować spółdzielnie i wspólnoty mieszkaniowe. Dla producentów tych maszyn oznacza to wielki rynek sprzedaży i serwisu warty – według szacunków – nawet 500 mln euro. Wszystko to – dodajmy – z naszych kieszeni.

OPCJA ALTERNATYWNA

Wygląda więc na to, że mamy w Polsce jeden z najdroższych i najbardziej niesprawiedliwych systemów kaucyjnych, jakie można było wybrać. Tymczasem możliwości było znacznie więcej.

Oczywiście jest ta najprostsza – całkowita rezygnacja z systemu, którą proponuje Konfederacja. Tyle że narazi nas to na kary unijne. Oczywiście można postawić się eurokratom, ale warto mieć świadomość, że możliwości jest więcej.

O jednej z nich mówił przed laty Michał Paca, ekspert od gospodarki odpadami. Uważa on, że system kaucyjny sam w sobie nie jest zły, ale powinien być dobrowolny. Każdy z nas powinien sam decydować, czy chce kupować towar do własnego, przyniesionego opakowania, czy nie. Oczywiście wymaga to inwestycji w dystrybutory wielu produktów. Przy czym, jeśli kupimy towar opakowany fabrycznie, to wówczas doliczona będzie do niego drobna opłata śmieciowa. Z tej opłaty będzie finansowany wywóz naszych śmieci (co oznacza, że nie będziemy płacić za odbiór odpadów w czynszu).

Segregacja powinna obejmować jedynie odpady bio. Wszystko pozostałe powinno być zmieszane, bo współczesne urządzenia doskonale dają sobie radę z sortowaniem śmieci. Paca zauważa też, że opowiadanie o recyklingu plastiku jest hucpą, bo większość butelek z tworzywa sztucznego nie nadaje się do wielokrotnego przetwarzania i ostatecznie jest sprzedawane za granicę, lądując na dzikich wysypiskach w Indonezji lub na dnie oceanu.

Krótko mówiąc, ktoś mydli nam oczy ekologią, aby zarobić na nas naprawdę duże pieniądze.

eprasa.pl 69fe0b3f94



Gdyby weszło w życie rządowe „lex szarlatan”, nawet zielarze mogliby być narażeni na represje

Prawo szarlatanów

Prezydent popełnił błąd, odsyłając nowelizację ustawy o prawach pacjenta i Rzeczniku Praw Pacjenta do Trybunału Konstytucyjnego. Ona powinna była wylądować w kuble na śmieci, bo niezależnie od zastrzeżeń merytorycznych, taki los powinien kończyć życie każdej regulacji, której wprowadzaniu towarzyszą manipulacje i tumanienie obywateli. A tak jest w przypadku nowelizacji zwanej „lex szarlatan”



DARIUSZ MATUSZAK

Zacznijmy od tego, że nazwę „lex szarlatan” nadano nowelizacji w dokumentach rządu i Sejmu. Co to za kłamliwy, pełen skrytych, a nieczystych intencji nowy obyczaj, by formalne akty prawne ubierać w publicystyczne, propagandowe określenia? Co innego nazwa potoczna, a co innego sformalizowana, urzędowa terminologia. Od razu możemy podejrzewać, że w tworzeniu bubla brali udział spece od bajania. Niech Marcin Kierwiński powiesi sobie na drzwiach tabliczkę: „Pogłos, minister spraw wewnętrznych”.

ZŁE INTENCJE

Nazwa to drobiazg, ale oddaje intencje ustawodawcy i wzmacnia podejrzenia, że to prawo pod firmy farmaceutyczne i medyczne, korporację lekarzy, dające też władzy narzędzie do tłumienia wolności słowa i niszczenia ludzi politycznie nieprawidłowych. Największą manipulacją, wręcz kłamstwem, jest twierdzenie, jakoby do tej pory obywatele nie byli chronieni przed oszustami, podszywającymi się pod medyków, wyłudzającymi pieniądze w zamian za miraż uleczenia.

To opowieść o tym, że skierowanie prawa szarlatanów do TK sprawi, iż nieuświadomieni pacjenci będą umierać w męczarniach. Co się zatem działo do tej pory? Jakbyśmy nie mieli Kodeksu karnego i ustawy o zawodzie lekarza. „Dziś szarlatani wykorzystują nowe technologie i serwisy społecznościowe, aby manipulować lękiem, bezradnością i nadzieją pacjentów szukających pomocy” – uzasadnia projekt Bartłomiej Chmielowiec, Rzecznik Praw Pacjenta (RPP). Jakby opowiadał o PO czy KO – wypisz, wymaluj cała ta partia i przypadki śmierci kobiet w ciąży, eksploatowane przez nią do granic obrzydliwości i okrucieństwa.

Kolejna sprawa to kłamstwo, iż naukowcy, środowisko medyczne i organizacje pacjentów jednomyślnie popierają nowelizację. RPP nawet sam przygotował lipny, oddolny ruch z apelami do prezydenta, by podpisał prawo szarlatanów. Pod tym apelem podpisał

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 69fe0b3f94

się m.in. prezes Instytutu Praw Pacjenta i Edukacji Zdrowotnej, należącego do powołanej przez RPP Rady Organizacji Pacjentów i biorącego miliony od koncernów farmaceutycznych, takich jak Merck, Pfizer, AstraZeneca i Unii. Niech szanowni czytelnicy odpowiedzą sobie na pytanie, czy jest to lobbing za pieniądze zagranicznych firm i organizacji.

O tym, że setka poważnych badaczy, profesorów, m.in. UJ, UW, KUL, zaapelowała o weto – cisza. Naukowcy wskazują m.in. na „Brak jasnej definicji pojęcia »aktualnej wiedzy medycznej«, na którym opiera się konstrukcja sankcyjna ustawy […]. Ograniczenie konstytucyjnej zasady wolności słowa, w tym swobody debaty nad nowymi lub niekonwencjonalnymi metodami leczenia – zarówno w środowisku lekarskim, jak i w społeczeństwie. Nadmierną rolę RPP jako organu jednocześnie oskarżającego, orzekającego i egzekwującego".

Prawo szarlatanów sprowadza się do kilku zapisów. W uproszczeniu miało dać RPP władzę zamykania dowolnego biznesu i nakładania 1 mln zł kary także na osoby prywatne, jeśli uznałby, że to działalność pseudomedyczna czy dezinformacja. Czym jest „działalność pseudomedyczna" – nie wiadomo, poza tym, że prowadzi ją ktoś, kto oszukuje, że jest lekarzem. Do tego niepotrzebna jest nowelizacja. No i taka, która prowadzi do śmierci albo uszkodzenia ciała oraz nie jest zgodna z aktualnym stanem wiedzy (o tym pojęciu napiszemy niżej). Definicja jest tak szeroka i mętna, że do praktyk pseudomedycznych można zaliczyć modlitwy o uzdrowienie.

RPP miałby też moc naczelnego cenzora kraju. Prowadziłby rejestr stron z „dezinformacją" – wciągał kogo bądź na listę kłamców jak na listę pedofilów, publicznie podawał z imienia i nazwiska oraz inne dane, że szerzy ją taki to a taki. W ciągu siedmiu dni mógłby zmusić „przedsiębiorcę telekomunikacyjnego świadczącego usługi dostępu do sieci Internet do przekierowania połączeń odwołujących się do nazwy domeny internetowej wskazanej przez Rzecznika […] na stronę internetową Rzecznika zawierającą komunikat […] ostrzeżenie o dezinformacji medycznej". Chcesz wejść na stronę o diecie lub obkładaniu się kamieniami, a tam hyc – rzecznik Chmielowiec wyskakuje z komunikatem.

Kto by powiadamiał RPP, że jakaś strona jest informacyjnie nieprawidłowa? Ktokolwiek, np. kochana władza, organizacje zwane pozarządowymi, branża medyczna. To byłoby pole do popisu. Czy stwierdzenie, iż modlitwa leczy, mogłoby się stać pretekstem do wycięcia z sieci strony czy domeny, na której ktoś publikuje treści niepodobające się rządzącym albo do prześladowania użytkowników mediów społecznościowych? Oczywiście. Znamy tę władzę: policja wbija się do domu po chłopaka, który w czasie powodzi w 2024 r. napisał na Facebooku, że grasują szabrownicy, ludzie boją się wychodzić z domu, brakuje policji i pomocy. To była „dezinformacja" i dlatego trzeba go było zawinąć. Ta władza ściga europosłów za polubienie spotów wyborczych. Kobieta, która napisała do Owsiaka: „Giń człowieku", od roku przechodzi sądową mordęgę. Tak, obecna władza jest zdolna do tego, by stworzyć specjalne zespoły albo nająć tzw. NGO, by przeczesywały nieprawidłowe politycznie strony, wpisy w mediach społecznościowych i szukały, czy ktoś aby nie napisał, że jabłka szkodzą albo pomagają na coś tam, przeziębienie można leczyć miodem i czosnkiem oraz słały donosy do RPP, by ten wszystko wycinał i nakładał kary. Spontanicznie pojawiłyby się też organizacje kanalii, jak słynny ośrodek monitorowania tego i owego, które będą to robić za pieniądze nasze albo unijne, czyli też nasze, albo od Sorosa, szabrownika mienia pożydowskiego.

Bogdan Rymanowski regularnie prowadzi na swym kanale rozmowy z lekarzami i naukowcami. Najbardziej znana jest ta z prof. Grażyną Cichosz, która mówiła m.in. o medycynie alternatywnej. Po tym programie Rymanowski doczekał się w „Newsweeku" okładki ze swoją twarzą i podpisem: „Brednie". Jakże rozkoszna byłaby zemsta Donalda Tuska za wywiad z kampanii prezydenckiej, w którym premier się skompromitował i pogrzebał szanse Rafała Trzaskowskiego. Jak łatwo byłoby uciszyć Janka Pospieszalskiego, opowiadającego o gehennie lekarzy, którzy ośmielili się podważać dyscyplinę covidowego reżimu. A to być może dzięki nim, dzięki wątpliwościom, uda się uniknąć wielu błędów podczas kolejnej epidemicznej histerii.

Polowania będą też prowadzić firmy farmaceutyczne i medyczne. Już nie z powodów politycznych, tylko by niszczyć tych, przez których mniej zarabiają. Ktoś napisze o tym, że szczepionki mogą szkodzić (jak np. Pandemrix przeciwko świńskiej grypie, która wywoływała narkolepsję – nagłe zasypianie), a rzuci się na niego cała branża. Jednocześnie Anja Rubik za pieniądze koncernu Merck, producenta szczepionek Gardasil 9, będzie reklamować je w szkołach. Dzieci łatwo przekonać, że bez niej umrą w męczarniach. W Polsce zakazane jest reklamowanie refundowanych leków i preparatów, dla szczepionek przewidziano jednak wyjątek.

Rządowe „lex szarlatan" otwierało też pole do nadużyć ze strony branży spożywczej i kosmetycznej. Niemieccy producenci tłustych mazi przez lata powadzili propagandową wojnę z polską branżą mleczarską. No więc masło szkodzi czy nie? A kawa? Jajka? Czerwone mięso też, więc dla zdrowia trzeba jeść kotlety ze śruty rzepakowej. Łatwo sobie wyobrazić, że w propagandowe wojny zostałoby zaangażowane państwo, a urzędnicy staliby się arbitrami, bo RPP miałby moc zamykania przedsiębiorstw i cenzurowania obywateli.

PANDEMIA DEZINFORMACJI

Może się zdawać, że moje koncepty są z pogranicza paranoi lub teorii spiskowych. Otóż drogi, pokładający wiarę w szlachetne intencje władzy czytelniku, w amerykańskim Senacie właśnie trwają przesłuchania dr Anthony'ego Fauciego, byłego szefa Narodowego Instytutu Alergii i Chorób Zakaźnych, który był głównodowodzącym USA w walce z COVID-19. Świat przyjmował jego wytyczne. Teraz okazuje się, że to chory na nikczemność, poczucie misji i boskości typ, który oszukał miliardy ludzi.

Na razie nie jest przesądzone, czy mieliśmy do czynienia z kierowanym przez niego i WHO globalnym eksperymentem, w którym sprawdzano, czy pod pretekstem pandemii da się

eprasa.pl 69fe0b3f94

zamknąć ludzkość w gettach, zmusić ją do przyjęcia jakiegoś preparatu i dokonać jej segregacji. Czy tych sanitarnie nieprawidłowych, jakościowo gorszych, bo nie przyjęli preparatu, da się pozbawić praw obywatelskich i przyrodzonych praw człowieka. Czy to, co się działo, a więc owo zamrożenie świata, było racjonalnym działaniem, czy histeryczną, rozpaczliwą reakcją wywołaną kłamstwami na temat koronawirusa i źródeł pandemii. Czy może chodziło o to, by ukryć przestępstwa, zlecone Chińczykom eksperymenty na koronawirusie, manipulacje jego genomem i doświadczenia niczym z obozów nazi, np. polegające na wszczepianiu myszom komórek dzieci zabitych w aborcji.

Powołując się na piątą poprawkę do konstytucji, odmawia odpowiedzi, ale wiemy, że łgał, bo odzyskano jego korespondencję, a jego doradca David Morens przyznał się do udziału w spisku mającym ukryć pochodzenie wirusa. Wiemy, że Fauci nakazał niszczenie dokumentacji i kłamał na temat znanego mu ryzyka poronień u zaszczepionych kobiet. Z raportu „New England Journal of Medicine" z 2021 r. wynika, że spośród 827 zaszczepionych i objętych badaniem poroniły aż 104. Wiemy, że do czerwca 2021 r. – szczepienia rozpoczęły się w grudniu 2020 r. – przesłano do VAERS, Systemu Zgłaszania Niepożądanych Zdarzeń Poszczepiennych, informacje o ponad 400 tys. przypadkach powikłań i blisko 9 tys. zgonów, które można kojarzyć ze szczepieniami. Fauci wraz ze współpracownikami miał ukryć, usunąć zgłoszenia z systemów przetwarzania danych, więc nie badano tych przypadków i nie wiadomo, czy była to koincydencja, czy rzeczywisty efekt zastrzyków szczepiennych.

W maju Niemcy dokonały ekstradycji do USA duńskiego naukowca Poula Thorsena, który za pieniądze z amerykańskich grantów w dwóch instytutach poprowadził badania nad szczepionkami i przekonał świat, że autyzm nie ma z nimi nic wspólnego. Okazuje się, że naukowiec dokonał wielu oszustw i ukradł co najmniej 1 mln dol. przeznaczonych na pracę. We wrześniu rusza proces i może się dowiemy, czy jest tylko złodziejem, czy jego badania nad autyzmem i szczepionkami są tyle warte, co jego uczciwość.

Wraz z kolejnymi odkryciami będziemy szczegółowo opisywać sprawy, ale już wiemy, że po globalnym (być może eksperymencie) zamykaniu, segregowaniu i szprycowaniu ludzkości nastąpił radykalny spadek zaufania do medycyny firmowanej przez państwo, a zwłaszcza do szczepień. Nie mamy też wątpliwości, że gdyby dziś wybuchła podobna pandemia i obowiązywałoby prawo szarlatanów, to każda krytyka czy wątpliwości zostałyby wycięte w pień i zniszczone byłoby życie ludzi, którzy ośmieliliby się nie zgadzać np. z prof. Pawłem Grzesiowskim, obecnie głównym inspektorem sanitarnym, który w listopadzie 2021 r. twierdził, że za chwilę umrze 1,5 mln emerytów. Trzy miesiące po apokaliptycznych zapowiedziach Grzesiowskiego do Polski wjechało kilka milionów niezaszczepionych Ukraińców, a pandemia zniknęła ot tak.

> Kłamstwem jest, że naukowcy, środowisko medyczne i organizacje pacjentów jednomyślnie popierają „lex szarlatan". O tym, że setka poważnych badaczy, profesorów zaapelowała o weto – cisza

ŚMIERĆ W ZGODZIE Z AKTUALNYM STANEM WIEDZY

Tych kilka prostych jak cepy zapisów prawa szarlatanów dotyka więc spraw fundamentalnych: wolności słowa i osobistych oraz swobody badań naukowych. Zamachu na tę ostatnią dokonano, wpisując do ustawy pojęcie „aktualnego stanu wiedzy". No więc np. według aktualnego stanu wiedzy na Uniwersytecie Śląskim mamy ileś tam płci – w zależności od tego, co kto sobie uroi. Inaczej uczelnia przecież nie nękałaby przez pięć lat postępowaniami dyscyplinarnymi prof. Ewy Budzyńskiej, która na wykładach mówiła, że są tylko dwie, i to determinowane genetycznie. Wedle aktualnego stanu wiedzy faceci mogą rodzić dzieci, a kto twierdzi inaczej, tego wyrzucą niemal z każdej uczelni na Zachodzie.

To przykłady skrajne, choć paradoksalnie powszechne. Traktując jednak sprawę śmiertelnie, naukowo poważnie, gdyby istniał jedyny obowiązujący stan wiedzy, to nauka nie posunęłaby się o krok. W latach 50. XX w. zgodnie z aktualnym stanem wiedzy w Wielkiej Brytanii kastrowano homoseksualistów, jak matematyka Alana Turinga. Lobotomia była metodą leczenia chorób psychicznych. Węgierski lekarz Ignaz Semmelweis został wyrzucony z pracy w szpitalu w Wiedniu, wyklęty przez społeczność medyczną, a na koniec osadzony w psychiatryku, gdzie go pobito i doprowadzono do śmierci za to, że twierdził, iż po sekcji zwłok lekarze roznoszą „trupie cząsteczki". Domagał się więc, by zdezynfekowali te łapy ubrudzone w prosektorium, zanim odbiorą nimi poród i doprowadzą do gorączki połogowej. Jego odkrycia wykorzystał Pasteur. Zgodnie z aktualnym stanem wiedzy heroina była świetnym środkiem na kaszel, a roztwory promieniotwórczego radu – na witalność. W latach 1950–1960 talidomid był lekiem na mdłości u kobiet w ciąży, dopóki nie okazało się, że z powodu zażywania specyfiku kilkadziesiąt tysięcy dzieci urodziło się z nieodwracalnymi wadami – ze zniekształconymi kończynami, bez oczu, uszu, a 40 proc. z nich zmarło po urodzeniu.

Więc tak na koniec w prawie szarlatanów istotne okazuje się to, że jak ci, człeku, w publicznej placówce zdrowia wyznaczą termin za dwa lata, bo wyczerpały się limity, a nie pójdziesz do baby czy zielarza, bo ich zamknęli, to chociaż pociesz się tym, że umrzesz w zgodzie z aktualnym stanem wiedzy.

eprasa.pl 69fe0b3f94



Fedorow kontra Zełenski

Ukraińską klasę polityczną opanowała „gorączka wyborcza”, której narastanie w ostatnim czasie można wytłumaczyć jedynie zbliżającą się perspektywą zakończenia wojny albo przynajmniej zamrożenia konfliktu



MAREK BUDZISZ

Po „Midasie” na Ukrainie jest teraz głośno o „Forreście Gumpie”. Mowa o kryptonimach, jakie NABU, specjalna antykorupcyjna służba dochodzeniowa, której nie kontroluje Zełenski, nadała głośnym dochodzeniom w sprawach o korupcję. Sprawa „Midas” kosztowała funkcję Andrija Jermaka, który musiał ustąpić z kierowania administracją prezydenta, oraz byłego ministra energetyki (wcześniej sprawiedliwości) Hermana Hałuszczenkę. W areszcie znalazła się też Irina Mudra, od 2024 r. zastępca szefa administracji Zełenskiego, a czarne chmury gromadzą się również nad Kyryłem Budanowem, byłym szefem wywiadu wojskowego (HUR), obecnie kierującym prezydenckimi urzędnikami. Obie sprawy zresztą się łączą, bo „Forrest Gump” dotyczy procederu korupcyjnego, w tym pospiesznego gromadzenia środków na kaucję dla Hałuszczenki.

FBI NA UKRAINIE

Na dodatek Zełenski musiał odwołać z funkcji ambasadora w USA Olgę Stefaniszyn, wcześniej wicepremier odpowiadającą za rokowania akcesyjne z UE i NATO, bo NABU postawiła zarzuty związane z korupcją również jej. Służba rozszerzyła zresztą operację „Forrest Gump” o kolejną, której nadano kryptonim „Temida”, obejmującą skorumpowanych sędziów ukraińskich sądów administracyjnych, zasiadających też w Sądzie Najwyższym. U dwóch z nich przeprowadzono rewizje. Wszystkie te operacje ujawniają kontury ogromnej

Fot. Shutterstock x3

eprasa.pl 69fe0b3f94

„infrastruktury korupcji", obejmującej wszystkie instytucje państwa, której patronował (jak głoszą przeciwnicy) lub którą tolerował (zdaniem zwolenników) prezydent Zełenski.

Budanow znalazł się w trudnej sytuacji, bo na nagraniach ujawnionych przez portal Hromadskie jest mowa o workach z pieniędzmi, pochodzących z układów korupcyjnych, które pojawiający się w rozmowach „Kirył" lub „Kirył Aleksandrowicz" miał przyjmować od Timura Mindicza, bohatera głośnej afery, który zbiegł przed aresztowaniem do Izraela (nie wiadomo, kto go ostrzegł). Dziennikarze uważają, że „Kirył", któremu wręcz przypisuje się rolę jednego z głównych organizatorów układu korupcyjnego na szczytach ukraińskiej władzy, to właśnie Budanow.

Nawiasem mówiąc, NABU prowadzi jeszcze dochodzenie w sprawie „lewej kasy", którą mieli otrzymywać deputowani Sługi Narodu. W tym przypadku nie chodzi o indywidualne relacje, ale o cały proceder dodatkowych i zróżnicowanych – w zależności od posłuszeństwa – wypłat dla posłów, zorganizowany przez szefa frakcji Dawida Arachamiję. Zdaniem śledczych, na to szły „pozyskane" przez Hałuszczenkę środki z Enerhoatomu, których w momencie wybuchu afery Mindicza zabrakło, co doprowadziło do „buntu posłów" i utraty większości w Radzie Najwyższej przez obóz Zełenskiego. To już przeszłość, bo najprawdopodobniej znaleziono nowe źródła finansowania deputowanych, a o jednym z nich, polegającym na wykorzystaniu przejętego przez państwo Sens Banku, rozmawiała nagrana przez NABU Irina Mudra.

Na opisanie pomniejszych wątków mnożących się na Ukrainie afer korupcyjnych musielibyśmy poświęcić kilka numerów tygodnika „Sieci", ale warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden aspekt ich wysypu.

W Kijowie uważa się bowiem, że NABU, specjalna prokuratura antykorupcyjna, nie tylko blisko współpracuje z Amerykanami – co po ubiegłorocznej wizycie w Waszyngtonie Semena Krywonosa i podpisaniu przezeń porozumienia z FBI jest uprawnionym poglądem – lecz stała się także wręcz narzędziem presji Waszyngtonu na Ukrainę. Agenci FBI pracują w siedzibie NABU i mają dostęp do akt operacyjnych najgłośniejszych afer, które zdaniem zwolenników tego poglądu są ujawniane selektywnie po to, by osłabić ekipę Zełenskiego. Amerykanie mają szukać następcy obecnego prezydenta, bo ten okazał się krnąbrnym partnerem, stawiającym na współpracę ze stolicami europejskimi kosztem wpływów Ameryki.

TRZECIA SIŁA POLITYCZNA

W tym kontekście pojawiają się dwa nowe wątki – zakończenia wojny i „wybijania się na samodzielność" Mychajły Fedorowa, byłego ministra obrony, który, pełniąc funkcje rządowe, uchodził za jednego z najbardziej lojalnych polityków z kręgu Zełenskiego. Teraz ten młody, 36-letni eksminister, domagając się publicznie wyborów prezydenckich, rzucił głowie państwa wyzwanie. Jak ocenia Ołeksiej Antypowycz, socjolog kierujący Grupą Rating, jednym z największych ukraińskich ośrodków badania opinii publicznej, Fedorow, mobilizując do protestów młodzież, „stał się trzecią siłą polityczną" na Ukrainie.

Potwierdzają to ostatnie sondaże wskazujące, że o ile w pierwszej turze wyborów może wygrać urzędujący prezydent, na którego chciałoby głosować 21 proc. ankietowanych, o tyle w drugiej nie ma on szans w rywalizacji z Walerijem Załużnym, byłym szefem ukraińskich sił zbrojnych, o którym mówi się, że mógłby wystartować w wyborach, ani też ze zdymisjonowanym kilka tygodni temu byłym ministrem obrony, na którego w pierwszej turze – jak relacjonował tygodnik „The Economist" – może oddać głos 16 proc. wyborców. Wydaje się jednak, że Zełenski może się bardziej obawiać Fedorowa, bo reputację Załużnego obciąża „sprawa Nord Streamu". Drugi z oskarżanych o wysadzenie gazociągu – ten, który został zwolniony przez polski sąd – został właśnie aresztowany w Chorwacji, gdzie pojechał konsultować film o podwodnej eksplozji, która zniszczyła Nord Stream, i zostanie najprawdopodobniej wydany Niemcom.

W tym samym czasie Zełenski – co mogło umknąć naszej uwadze – wydał oświadczenie, w którym podkreślał, że „państwo ukraińskie" nie brało udziału w wysadzeniu gazociągu. W tym przypadku mamy do czynienia z czytelną sugestią, że sabotaż był „partyzantką", a nie działaniem państwowym. W Kijowie uważa się, że proces w tej sprawie zdezawuuje Załużnego, który miał ponoć zatwierdzić operację, i pozbawi go poparcia Berlina, co w konsekwencji może ułatwić Zełenskiemu zwycięstwo.

Obecny prezydent zapewne nie ma tego rodzaju „haków" na Fedorowa, stąd rosnące szanse młodego polityka, który zdecydował się na kontratak i zażądał przeprowadzenia wyborów, nawet jeśli wojna się nie zakończy.

W wywiadzie dla Agencji Reutera były minister zauważył też, że „Ukraina ma jeszcze kilka miesięcy, aby wygrać wojnę", ale do tego potrzebna jest strategia zwycięstwa, której brakuje, i gotowość do przeprowadzenia niezbędnych reform, a tego Zełenski i jego ludzie również nie robią. W rezultacie, jak zauważył, „stopniowo, powoli przegrywamy." Oskarżył on prezydenta i jego ekipę o brak klarownego planu zakończenia wojny i tolerowanie korupcji.

Odpowiedzią rządzących w Kijowie są oskarżenia, że Fedorow doprowadził swą nierozsądną polityką do tego, że w budżecie kierowanego przez niego resortu obrony powstała dziura i nie wiadomo, jak ją zapełnić.

BUDŻETOWA PAŁKA NA PRZECIWNIKA

Koniec sierpnia to tradycyjnie czas, w którym rząd planuje budżet na kolejny rok i dokonuje oceny wykonania planu finansowego na rok bieżący. Tegoroczne oceny nie wyglądają dobrze. Premier Serhij Korecki mówi o deficycie w budżecie ministerstwa obrony w wysokości 8 mld dol., a nowy szef tego resortu wskazuje, że wynosi on nawet 1,1 bln hrywien, czyli według obecnego kursu nawet 25 mld dol. Jeszcze dalej idzie Zełenski, deklarując, że Ukraina potrzebuje do końca roku 27 mld dol. ekstra, których nie uzyska z własnych źródeł, bo wszystko, co zbiera z podatków i innych opłat, idzie na finansowanie wojny.

eprasa.pl 69fe0b3f94

Deficyt miał powstać – jak głosi oficjalna narracja – w wyniku posunięć Fedorowa, kiedy ten kierował resortem obrony. Stawiając na wojnę dronową, miał przesuwać środki zarezerwowane na drugą połowę roku i wydał je w pierwszych miesiącach, licząc, że wojna skończy się przed grudniem. Jednym z powodów miało być również niepowodzenie reformy systemu mobilizacji, czym w pierwszym rzędzie miał się zająć młody minister, ale nie był w stanie nawet przedstawić spójnego planu w tej kwestii. Rezultatem są narastające problemy ukraińskich sił zbrojnych z pozyskaniem nowych rekrutów, co miało dodatkowo wzmocnić skłonność Fedorowa do stawiania na rozwiązania bezzałogowe, które są skuteczne, ale znacznie droższe niż „siła żywa".

Broniąc się, zdymisjonowany minister atakuje ekipę Zełenskiego i oskarża ją o brak chęci, by walczyć z korupcją. W rozmowie z „Ukraińską Prawdą" powiedział, że wprowadzenie konkurencji i przejrzystych przetargów na zakup amunicji 155 mm – dziś Ukraina w 80 proc. pozyskuje ją od własnych producentów – pozwoliło obniżyć cenę jednostkową nawet o 20 proc. Gdyby tak zaprogramowane przetargi rozszerzyć na całość zakupów resortu obrony – co Fedorow miał w planach – to rocznie udałoby się zaoszczędzić co najmniej kilkanaście miliardów dolarów i o żadnej dziurze w budżecie resortu obrony nie byłoby mowy.

Dawny minister idzie jeszcze dalej i mówi, że kiedy przyszedł do resortu, szybko zrozumiał, że wiceministrami są „lobbyści producentów broni" i niewykluczone, iż po jego dymisji korupcyjne schematy znów zdominowały politykę ministerstwa, co Zełenski najwyraźniej toleruje. Głośne afery korupcyjne ostatnich tygodni, w które uwikłani są bliscy współpracownicy prezydenta, tylko potwierdzają te diagnozy.

SZEF CIA W MOSKWIE

Uważa się, że ubiegłotygodniowa, nadal tajemnicza podróż szefa CIA Johna Ratcliffe'a do Moskwy może mieć związek zarówno z perspektywą ataku Rosji na państwa bałtyckie, jak i kwestiami dotyczącymi ekonomicznej blokady Iranu. Na Kremlu, jak niedawno relacjonowali dziennikarze Bloomberga, powołujący się na informatorów na szczytach rosyjskiej władzy, może zwyciężyć opcja eskalacji wojny – po to, by rozpocząć negocjacje pokojowe na własnych warunkach, korzystnych dla Rosji. Co prawda 40-dniowy „plan Zełenskiego" wymuszenia na Putinie, aby ten usiadł do stołu rokowań, zakończył się fiaskiem, ale w oczywisty sposób rosną koszty uczestnictwa Rosji w wojnie. I właśnie dlatego, że zwycięstwo nadal jest niepewne, a koszty zaczynają szybko rosnąć, Putin może w świetle tych ocen zdecydować się na eskalację.

> 36-letni eksminister, domagając się publicznie wyborów prezydenckich, rzucił wyzwanie Zełenskiemu. Mobilizując do protestów młodzież, „stał się trzecią siłą polityczną" na Ukrainie

Próba ekonomicznej blokady Iranu też ma związek z Ukrainą i oczywiście z Moskwą, bo Kijów może atakować trasy zaopatrzenia biegnące przez Morze Kaspijskie (już co najmniej raz uderzył w irański statek), a Rosja pod wpływem amerykańskiej presji może ograniczyć skalę pomocy dla Teheranu. Zresztą niewykluczone, że Ratcliffe pokazał Rosjanom również „marchewkę", bo dzień przed jego wizytą w Moskwie Zełenski, przemawiając z okazji święta niepodległości, w gruncie rzeczy zaakceptował zeszłoroczny amerykański plan zakończenia wojny. Powiedział, że Donbas może stać się wolną strefą, nadzorowaną przez siły międzynarodowe i zarządzaną przez Amerykanów. Nie jest to co prawda scedowanie tych terenów na rzecz Rosji, czego domaga się Putin, ale nie oznacza również niezłomnego domagania się akceptacji zwrotu okupowanych terenów czy przynajmniej terytorialnego *status quo*, czyli utrzymania przez Ukrainę kontrolowanych obszarów.

W ubiegłym roku, kiedy podobną propozycję przedstawiał Trump, Zełenski ją odrzucił. Teraz sytuacja się zmieniła i być może szef CIA poleciał do Moskwy również w tej sprawie. To by wyjaśniało, dlaczego do Kijowa na uroczystości z okazji święta niepodległości nie przybyli Witkoff i Kushner – na co Zełenski bardzo liczył – a pojawił się gen. Kellogg, były już specjalny wysłannik Trumpa ds. Ukrainy i Rosji, w oczach Kremla uchodzący za zbyt proukraińskiego, ale mający dobre kontakty w ukraińskiej stolicy. Jeśli trwa uzgadnianie szczegółów nowych propozycji mających zakończyć konflikt, Kellogg jest znacznie lepszym rozmówcą niż Witkoff.

To oczywiście spekulacje, ale narastającą „gorączkę wyborczą", która opanowała ukraińską klasę polityczną, można wytłumaczyć jedynie zbliżającą się perspektywą zakończenia albo przynajmniej zamrożenia konfliktu. Zwolennicy teorii spiskowych, obserwujący publiczną waśń między Zełenskim a Fedorowem, przedstawiają jeszcze jedno wyjaśnienie tego, co się dzieje. Otóż jeśli „afera Nord Stream" osłabi szanse Załużnego, a śledztwo „Forrest Gump" pogrąży Budanowa, to na wyborczym placu boju pozostaną Zełenski i Fedorow, który jeszcze nie zadeklarował, że weźmie udział w wyborach prezydenckich. Jeśli nie zdecydowałby się na to, lecz „zadowolił" stanowiskiem szefa rządu i ministra obrony, to szanse Zełenskiego na reelekcję wzrosłyby skokowo. Zwolennicy takiego poglądu przypominają, że jeszcze w czerwcu w trakcie tajnej narady pod Kijowem doradcy Zełenskiego proponowali taką transakcję Załużnemu, który odrzucił wówczas tę propozycję. W takim ujęciu deklaracje Fedorowa byłyby czymś w rodzaju politycznego teatru, a w istocie ambitny i młody polityk grałby o zupełnie inną stawkę.

Autopromocja

eprasa.pl 69fe0b3f94

Kawa Wikło

wPolsce 24

Od poniedziałku do piątku o **9:00**

Stawiamy mocne diagnozy, by wchodzili Państwo w nowy dzień z pełnym obrazem sytuacji

O 9:00 zamykamy tematy z poprzedniego wieczoru i wyciągamy na światło dzienne to, o czym Polska będzie mówić przez resztę dnia



Marcin Wikło

Marzena Kawa

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	909 921, 196	62	192	32	825	65 339, 121	459	631	43	EPG 825, EPG PON 257	YouTube
telewizja naziemna	polsat box	CANAL+	netia	orange	vectra	PLAY	inea	TOYA	evio	multiMedia	TelewizjawPolsce24

eprasa.pl 69fe0b3f94

Morderczy impuls

Była pielęgniarka oddziału położniczego z Massachusetts stała się ikoną feminizmu w chwili, gdy jest sądzona za zabójstwo swoich dzieci. Tysiące kobiet powtarza, że są takie jak ona



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

April Vincent, 52-letnia asystentka prawna, wstała o godz. 4.00, założyła różową koszulkę i wybrała się w trwającą 90 min podróż z Providence w Rhode Island do sądu w Plymouth w stanie Massachusetts, aby okazać wsparcie Lindsay Clancy, matce oskarżonej o zabójstwo. Czekały tam już setki innych kobiet, również ubranych na różowo. Ustawiły się na trawniku przed budynkiem sądu, a na ich koszulkach widniały napisy: „Uwierz w siebie!" i „Sprawiedliwość dla Lindsay". Modliły się i układały dłonie w kształt serca. Niektóre zabrały ze sobą swoje dzieci. „Wiem, co ona czuła. To mogłam być ja" – przekonywały reporterów. Kevin Reddington, obrońca Clancy, był witany przez nie oklaskami i okrzykami: „Kochamy cię, Kevin!".

Tyle że w 2023 r. Clancy zamordowała swoje dzieci: 5-letnią Corę, 3-letniego Dawsona i zaledwie 8-miesięcznego Callana. Udusiła je – jedno po drugim – w piwnicy rodzinnego domu (Callan przeżył, ale zmarł kilka dni później w szpitalu). Następnie podcięła sobie nadgarstki i szyję, a potem wyskoczyła z okna na piętrze, w wyniku czego została sparaliżowana od pasa w dół. Jej proces o morderstwo rozpoczął się w lipcu i prawdopodobnie potrwa od sześciu do ośmiu tygodni.

Clancy nie zaprzecza, że zabiła swoje dzieci. Sporne jest jednak, czy powinna ponieść za to odpowiedzialność. Prokuratorzy twierdzą, że Clancy „działała celowo, racjonalnie i szybko", a morderstwo było zaplanowane. Wskazują na to, że na krótko przed zabójstwem wysłała do męża Patricka SMS z prośbą, aby pojechał kupić coś do jedzenia i zajrzał do apteki, tak aby mogła być sama z dziećmi w domu. Jej obrona twierdzi, że była w szponach psychozy poporodowej i niezdiagnozowanej choroby afektywnej dwubiegunowej, pogłębionej przez 13 leków psychotropowych, przepisanych przez zmieniających się lekarzy, oraz że głos podpowiedział jej, że to jej „ostatnia szansa" na zabicie dzieci i siebie. Psychiatrzy, którzy widzieli ją w tygodniach poprzedzających zbrodnię, zeznali, że nie zauważyli oznak psychozy.

ZŁY MĄŻ I LEKARZE

Sprawa jest wstrząsająca. Mimo to zaskakująco wiele kobiet w sieci chętnie wczuwa się w rolę oskarżonej. „Ja też, Lindsay" to popularne hasło na TikToku. Kobiety filmują się, wychylając przez okno, aby dowodzić niewinności Clancy. Inne twierdzą, że dzieci zabił ich ojciec, a wszystko jest spiskiem patriarchatu i lokalnego szeryfa. Mimo że Clancy przyznała się do zbrodni.

Na Facebooku powstał ruch pod nazwą „Jesteśmy Lindsay Clancy", który przyciągnął tysiące kobiet. Na platformie GoFundMe uzbierano już ponad 1 mln dol. na pokrycie kosztów obrony byłej pielęgniarki położniczej z Duxbury. Podczas oddzielnej zbiórki, założonej przez jedną z matek na TikToku, zgromadzono kolejne 900 tys. dol. Nawet hollywoodzkie celebrytki, np. aktorka Lisa Rinna, chcą uczynić ikonę feminizmu z matki, która brutalnie zamordowała swoje dzieci. Według jej zwolenniczek „przerażona" Lindsay cierpiała na depresję poporodową, wyczerpanie i izolację. Nikt jej nie pomógł. Szczególnie lekarze, którzy faszerowali ją lekami, no i zły mąż, który rok po utracie dzieci miał czelność związać się z kimś innym i próbować odbudować swoje życie. „Kobiecy głos nie jest słyszany" – dowodzą. Tak się właśnie dzieje, gdy matki są ignorowane, gdy trywializowane jest ich zdrowie i gdy zaniedbywane są badania nad kobiecymi zaburzeniami. To „fundamentalna historia o tym, kogo się słucha, komu się wierzy i traktuje poważnie, a kogo nie" – pisze Jessica Winter z „The New Yorker". Przypadek matki, która zabiła własne dzieci, stał się argumentem za większym współczuciem dla kobiet – zamiast służyć jako przypomnienie, że potrafią być równie zabójcze jak mężczyźni. Ale ponieważ zły patriarchat nie przejmuje się kobietami, morderczyni jest usprawiedliwiona. Prawdziwe ofiary, niewinne dzieci, schodzą przy tym na dalszy plan.

Tysiące kobiet publicznie powtarza: „Też miałam takie myśli" (o zabiciu własnych dzieci) – sygnał równie przerażający jak każdy rzeczywisty morderczy impuls. Jest to demonstrowanie bliskości z najgorszym grzechem, jaki istnieje – zabiciem dziecka. Wszystko po to, by zyskać uznanie obcych ludzi w sieci. Tymczasem zdecydowana większość matek, które doświadczają depresji poporodowej, nie zabija swoich dzieci.

To, że Clancy w ogóle cierpiała na psychozę, jest zresztą od początku podważane przez prokuraturę oraz dr. Gregory'ego Saathoffa, psychiatrę sądowego powiązanego z FBI i Uniwersytetem Wirginii. Podkreślił on w swoich zeznaniach, że uważa za istotne i niezwykłe, iż Clancy nigdy nie zgłaszała, że słyszy głosy przed dniem, w którym zabiła swoje dzieci. Kobieta powiedziała, że usłyszała głos nakazujący jej zabić dzieci tylko tuż przed ich śmiercią, a ucichł, gdy tylko skończyła je mordować. Według Saathoffa „nietypowe jest, aby halucynacje słuchowe występowały w tak ograniczonym zakresie". Psycholog dr Kirk Heilbrun podkreślił ponadto, że kobiety cierpią na psychozę czy depresję miesiąc

eprasa.pl 69fe0b3f94

do dwóch po porodzie. Tymczasem najmłodsze dziecko Clancy, Callan, miało osiem miesięcy. Według niego oskarżona odebrała dzieciom życie, aby „nie cierpiały" po tym, jak sama się zabije. To rozszerzone samobójstwo, dokonane w pełni świadomie.

ZAPISKI Z PAMIĘTNIKA

Podczas procesu przedstawiono także pamiętnik oskarżonej i notatki z jej telefonu, w których pisała, że ma żal do dwójki najstarszych dzieci, ponieważ uniemożliwiają jej traktowanie małego Callana jak pierworodnego. Dodała, że wie, iż te uczucia są niesprawiedliwe i chce czuć „miłość i więź" z całą trójką swoich dzieci, ale jej nie czuje. „To jakbym tak desperacko pragnęła odpocząć od opiekowania się wszystkimi, że mój umysł próbuje wyrządzić mi fizyczną krzywdę" – napisała 18 listopada 2022 r. Dodała, że cierpi na „okropną bezsenność i lęki" oraz chce wrócić do pracy, ale „nie wie, jak będzie funkcjonować", biorąc pod uwagę „mgłę mózgową". „Czuję się oderwana od samej siebie" – głosił kolejny fragment.

Tymczasem – jak argumentowała prokuratura – Clancy miała znaczną pomoc w wychowywaniu dzieci. Pomagali dziadkowie, dzieci chodziły do żłobka, zatrudniona została opiekunka. Jej mąż wziął kilkumiesięczny urlop ojcowski, a później pracował zdalnie, aby móc jej pomagać w wychowywaniu dzieci. Ratownicy zeznali ponadto, że rany na szyi i nadgarstkach Clancy były „powierzchowne" i „nie krwawiły mocno", gdy przybyli na miejsce. Jej były mąż Patrick Clancy utrzymywał zaś, że „miała jeden z najlepszych dni od dawna, gdy zabiła dzieci" i była w stanie prowadzić rozsądne rozmowy z pracownikami apteki oraz restauracji ThreeV, gdzie zamówiła jedzenie.

O tym, czy w chwili zabójstwa Clancy była poczytalna, czy nie, zdecyduje ława przysięgłych. Niesmak jednak pozostanie. Tysiące wspierających ją kobiet – nie tylko w USA, lecz także na całym świecie – uczyniły bowiem z zabójstwa akceptowalną reakcję na codzienne wyzwania związane z wychowywaniem dzieci, z którymi mniej uprzywilejowane kobiety radzą sobie od zarania dziejów, tak jak z każdym innym wyzwaniem w życiu. Pewna kobieta szlochała przed kamerą, że Lindsay nie może przytulać pluszowych zabawek swoich dzieci, bo jej okrutny mąż rzekomo je wyrzucił. Ale co z dziećmi, które nie mogą przytulać swoich zabawek? Z ojcem, który nie może przytulać swoich dzieci?

FEMINISTYCZNE SZALEŃSTWO

Jak czytamy na łamach „The New York Post", szaleństwo, które rozpętało się wokół Clancy, „idzie w parze z podważaniem porządku moralnego przez lewicę, w którym współczucie jest zarezerwowane dla morderców, gwałcicieli i nielegalnych imigrantów pedofilów, podczas gdy policji powinny zostać obcięte fundusze, służby imigracyjne rozwiązane, a więzienia zamknięte".

Należy także zadać pytanie, czy Clancy jest ikoną, której potrzebuje feminizm. Bo wygląda to tak, że feministki są gotowe bronić najbardziej odrażających czynów tylko dlatego, że popełniła je kobieta. I chyba już na zawsze najbardziej odpychającym symbolem feministycznego szaleństwa wokół tego procesu pozostanie dziennikarka Brittany Romano, która miała napisać artykuł o swoich powiązaniach z Clancy dla magazynu „Vanity Fair". Kobiety wychowywały się razem. Romano siedziała na sali sądowej, uśmiechała się do fotografów i kamerzystów, puszczając do nich oko. Uśmiech, nawet wobec opisywanych przez prokuratorów szczegółów zabójstw (jeden z przysięgłych wybiegł z sali we łzach), nie schodził jej z ust. Zostało to zauważone i „Vanity Fair" zerwało z nią współpracę. Romano nie widziała i wciąż nie widzi w swoim zachowaniu niczego zdrożnego. „Uśmiechanie się do kamery. Zawsze. Podbija mi to zasięgi" – napisała na platformie X.



Lindsay Clancy udusiła troje swoich dzieci i próbowała popełnić samobójstwo

Fot. Greg Derr/Associated Press/East News



Demony II wojny światowej

Najwięksi agresorzy II wojny światowej różnili się od wielkich zdobywców z przeszłości m.in. tym, że nie tylko dążyli do opanowania nowych terenów i ich zasobów, lecz także eliminowali ludzi uznanych przez siebie za obcych pod względem rasowym, narodowym lub klasowym



Z prof. dr. hab. Grzegorzem Berendtem, ambasadorem – specjalnym przedstawicielem prezydenta RP ds. dyplomacji historycznej, historykiem zajmującym się m.in. II wojną światową, rozmawia Stanisław Płużański

Rocznica wybuchu II wojny światowej przypomina nam również o bezprecedensowej fali terroru i masowych zbrodni. Co doprowadziło do takiej eskalacji przemocy?

Prof. Grzegorz Berendt: Aparat państwowy, w tym wojsko i formacje policyjne, dostosowuje się do wskazań przywódców politycznych. Dzieje się tak w różnych reżimach, szczególnie w państwach totalitarnych. Inicjatorami agresywnych działań zapoczątkowanych w Europie w 1939 r. byli przywódcy Rzeszy Niemieckiej i Związku Sowieckiego, Adolf Hitler i Józef Stalin. Hitler, wydając dyspozycje dotyczące sposobu prowadzenia wojny w Polsce, nakazał dowódcom niemieckich sił zbrojnych, aby ich podkomendni byli brutalni i bezwzględni. Tak samo mieli się zachowywać członkowie SS i policji. I tacy byli. Jesienią 1939 r. w toku działań wojennych i represji zginęło ok. 250 tys. polskich obywateli, z których kilkadziesiąt tysięcy zamordowano w egzekucjach.

5 marca 1940 r. zapadła decyzja ścisłego kierownictwa partii bolszewickiej ze Stalinem na czele o eksterminacji ponad 24 tys. przedstawicieli polskiej elity społecznej. W kolejnych miesiącach ok. 22 tys. z tych osób zamordowano. Tę masakrę nazywamy zbrodnią katyńską. Mordowanie przedstawicieli elit Rzeczypospolitej na terenie okupacji sowieckiej trwało już od 17 września 1939 r. Tam i pod okupacją niemiecką dokonywali tego przede wszystkim funkcjonariusze formacji policyjnych, wspierani przez miejscowych kolaborantów, kierujących się nienawiścią narodowościową, rasową i klasową. Nie byłoby tego bez przyzwolenia decydentów ZSRS i Rzeszy Niemieckiej. Naziści i komuniści dążyli do zbudowania nowego świata, odrzucając tradycyjne wartości, m.in. poszanowanie życia ludzkiego i prawa własności. Unicestwienie dziesiątków milionów ludzi, którzy nie pasowali do ich wizji, miało ułatwić realizację tego celu. Co istotne, polityczni nadzorcy i organizatorzy zbrodni byli przekonani, że aby zrealizować swoje cele, mogą gwałcić normy prawne wypracowane w Europie na przestrzeni minionych stuleci i ustanawiać własne prawo jako formalną podstawę zbrodniczych poczynań.

Fot. Mikołaj Bujak KPRP, Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl 69fe0b3f94



Stosy męskich butów pozostałych po więźniach zgładzonych w Auschwitz

Fot. IPN

Czy coś w dwudziestoleciu międzywojennym zwiastowało ten kataklizm? Czy można go było przewidzieć?

Moim zdaniem tak. W latach 1918–1939 na terenach kontrolowanych przez bolszewików wymordowano i zagłodzono ok. 10 mln dawnych poddanych imperium Romanowów. Dokonano tego podczas wojny domowej, głodząc chłopów w Rosji, później na Ukrainie i koczowników w Kazachstanie, a wreszcie rozpętując wielki terror w grudniu 1934 r. pod pretekstem poszukiwania ukrytych wrogów.

Bolszewicy przez dekady głosili, że nie jest możliwe pokojowe funkcjonowanie państw komunistycznych i kapitalistycznych. Powtarzali tezę o nieuchronności wojny, przygotowując się do niej oraz tropiąc wszędzie szpiegów i wrogów. Jako totaliści stawiali podbite społeczeństwa przed alternatywą: przyjęcie ich punktu widzenia bądź zagłada. Dla funkcjonariuszy sowieckiej policji politycznej masowe mordowanie było praktyką, do której przywykli na długo przed wrześniem 1939 r.

W przypadku Niemiec niektórzy ludobójcy nabyli doświadczenia już w latach 1904–1907, uczestnicząc w pacyfikowaniu afrykańskich plemion w niemieckich koloniach. Pierwszy obóz koncentracyjny podległy Himmlerowi powstał w marcu 1933 r. W kolejnych latach założono następne, kierując do nich tysiące osób. Poza kilkoma milionami obywateli innych państw przez katownie stworzone przez niemiecko-austriackich narodowych socjalistów przeszło ok. 500 tys. obywateli Rzeszy i 75 tys. dawnych obywateli republiki austriackiej. Gdy pierwsi obywatele RP znaleźli się za drutami kacetów, włodarze Rzeszy dysponowali już zastępami oprawców, przygotowanych do maltretowania i mordowania bezbronnych ludzi.

Narodowi socjaliści Hitlera dawali niektórym narodom możliwość dalszego egzystowania w stanie całkowitej podległości wobec Rzeszy. Nie znamy planów unicestwienia np. narodu francuskiego, holenderskiego czy brytyjskiego, choć niemieckie dążenie do zniszczenia niepodległego bytu ich państw jest faktem. W przypadku innych narodów teorie rasowe Alfreda Rosenberga doprowadziły do praktyki totalnego wyniszczania, stosowanej na bezprecedensową skalę wobec Żydów i Romów. Generalny Plan Wschodni przewidywał „usunięcie" z terenów Rzeszy ponad 50 mln Słowian, w tym 85 proc. Polaków.

Podsumowując, najwięksi agresorzy II wojny światowej różnili się od wielkich zdobywców z przeszłości m.in. tym, że nie tylko dążyli do opanowania nowych terenów i ich zasobów, lecz także eliminowali ludzi uznanych przez siebie za obcych pod względem rasowym, narodowym lub klasowym.

> Europejska puszka Pandory została otwarta przez konkretne państwa, konkretne siły polityczne, a największe śmiertelne żniwo zebrała nienawiść, szerzona przez liderów III Rzeszy. 27 stycznia 2026 r. na terenie dawnego obozu Auschwitz prezydent Karol Nawrocki słusznie nazwał tamtejszy reżim państwowy „domem zła"

Jak to możliwe, że postęp cywilizacyjny szedł w parze z takim okrucieństwem?

Fiodor Dostojewski pisał, że „jeśli nie ma Boga, to wszystko jest dozwolone". Jeżeli odrzuca się system wartości stojących na drodze do masowego unicestwiania ludzi, to talent ludzi zaprzęgnięty do czynienia zła wypracowuje metody np. szybkiego i masowego mordowania. Widzimy to również w rozwoju środków walki i uzbrojenia. Ale najpierw musi być decyzja, rozkaz, przyznanie środków na badania i próby. Talent ludzi pozwala tworzyć dzieła wspaniałe i potworne. Niekiedy są one pochodną siebie, np. wykorzystanie energii jądrowej do celów pokojowych i zbudowania broni atomowej.

eprasa.pl 69fe0b3f94



Japońskie zbrodnie na jeńcach wojennych

Czy wojna tylko uwalnia istniejące wcześniej uprzedzenia i nienawiść, czy sama tworzy warunki do przekraczania kolejnych granic okrucieństwa?

Agresorzy wykorzystywali wcześniejsze spory, a przygotowani agenci podsycali podziały między lokalnymi społecznościami. Temu służyli np. lokalni komuniści na terenie województw wschodnich RP zajętych po 17 września 1939 r. czy folksdojcze, opowiadający się za Hitlerem na centralnych i zachodnich terenach Polski. Skądinąd po 22 czerwca 1941 r. czynili to na obszarach do niedawna zajmowanych przez Sowietów. Np. latem 1941 r. Niemcy wykorzystali swoją polską agenturę do zainicjowania masowych zbrodni na Żydach, m.in. komando, które między 4 a 10 lipca przemieszczało się między Szczuczynem, Wąsoszem, Radziłowem i Jedwabnem.

Niemcy szczególnie podsycali antagonizmy narodowościowe na terenie, na którym współistnieli Polacy, Ukraińcy i Żydzi, od Lubelszczyzny i Podkarpacia po Polesie Wołyńskie, Wołyń i krańce Małopolski Wschodniej. Na przykładzie Żydów wskazali ekstremistycznej części narodowców ukraińskich, że ludobójstwo można wykorzystać jako narzędzie urzeczywistniania projektu Ukrainy „czystej" etnicznie jak szklanka wody. Idąc u boku Germanów w szeregach pomocniczych formacji policyjnych, przekroczyli Rubikon, uczestnicząc w eksterminacji Żydów i Romów, a gdy ich zabrakło, samodzielnie przystąpili mordowania bezbronnych Polaków i własnych rodaków, którzy nie chcieli przyłożyć ręki do zbrodni. To, że nie osiągnęli swoich zamierzeń w pełnej skali, wynikało z różnych uwarunkowań zewnętrznych, ale na pewno nie z moralnych skrupułów przywódców UPA.

Podobne były motywacje zbrodni dokonanych na terenie północnej Jugosławii przez chorwackich ekstremistów, którzy marzyli o ojczyźnie bez Żydów, Romów, a przede wszystkim bez Serbów. W roli katalizatora zbrodni ponownie wystąpili tam przedstawiciele niemieckiego „narodu panów".

Europejska puszka Pandory została otwarta przez konkretne państwa, konkretne siły polityczne, a największe śmiertelne żniwo zebrała nienawiść, szerzona przez liderów tzw. III Rzeszy. 27 stycznia 2026 r. na terenie dawnego obozu Auschwitz prezydent Karol Nawrocki słusznie nazwał tamtejszy reżim państwowy „domem zła".

Co łączy zbrodnie popełniane przez żołnierzy niemieckich, sowieckich i japońskich? Czy można wskazać wspólny mechanizm, który do nich prowadził?

Żołnierz wykonuje rozkaz. Zbrodnie tych wojsk nie mogłyby mieć miejsca bez zgody, a wręcz zachęty dowódców. Proszę zwrócić uwagę, iż żołnierze armii niemieckiej, okupujący w latach 1914–1918 polskie tereny podległe wcześniej Imperium Rosyjskiemu, nie dokonywali tak przerażających i masowych zbrodni jak reprezentanci III Rzeszy działający na tych samych obszarach w latach 1939–1944. Zbrodnie są niestety zjawiskiem towarzyszącym każdej wojnie. Dlatego w każdej armii funkcjonują żandarmeria, prokuratura i sądy wojskowe. Ale cechą II wojny światowej było to, że zachęta do dokonywania zbrodni szła od polityków i naczelnego dowództwa sił zbrojnych.

Maltretowanie jeńców w japońskich obozach nie byłoby możliwe bez głębokiej pogardy dla wroga, który złożył broń, szerzonej przez japoński korpus oficerski. Ich system wartości pozwalał na systematyczne i otwarte łamanie konwencji międzynarodowych.

Gdy 17 września 1939 r. do Polski wkroczyła Armia Czerwona, zachowanie jej żołnierzy było odmienne od tego, które obserwowano w latach 1944–1945. Od 1942 r. sowiecka propaganda i rozkazy wzywały do bezwzględnego odwetu na Niemcach oraz innych faszystach, co stanowiło zachętę do rabunków, gwałtów i mordów. Marcin Zaremba wykazał w książce „Wielka trwoga", że zjawisko to występowało także na terenach Generalnego Gubernatorstwa. W niektórych miejscach gwał-

Fot. Domena publiczna x2

eprasa.pl 69fe0b3f94



Ekschumacje w Katyniu

Fot. IPN

cono nawet dopiero co wyzwolone więźniarki obozów koncentracyjnych.

Czy wielkie liczby ofiar nie sprawiają, że tracimy z oczu pojedynczego człowieka? Znamy historie niektórych ofiar, np. rodziny Ulmów, ale większość pozostaje anonimowa. Jak opowiadać o masowych zbrodniach, by nie zatracić ich ludzkiego wymiaru?

Wielkie liczby trzeba przypominać, aby uświadamiać współczesnym potworność wojny, której celem było nie tylko zdobycie terytoriów, lecz także unicestwienie milionów ludzi. Upamiętnianie jednostek to zadanie zarówno historyków, jak i publicystów, polityków oraz ludzi kultury, którzy pomagają przybliżać ich losy opinii publicznej. Szczególnie ostatni – jako twórcy literatury, filmu, sztuk plastycznych – potrafią wywrzeć wielki wpływ na stan ludzkiej świadomości, również w wymiarze wiedzy historycznej. Większość ofiar niestety pozostanie anonimowa. Uważam jednak, że pamięć o jednostkach przetrwa w rodzinach, na pomnikach i wojennych grobach.

Czy zdobyta wiedza może nas powstrzymać przed powtórzeniem tragedii II wojny światowej? Co musi się wydarzyć, by pamięć o ofiarach nie wybrzmiewała tylko podczas rocznicowych uroczystości?

Niestety im mniej ludzi, którzy doświadczyli dramatu wojny, tym więcej tych, którzy są gotowi sięgać po nią jako narzędzie realizacji polityki. Żyjemy w czasach, w których jest to aż nadto widoczne. Ale nie można popadać w pesymizm, świat jednak wyciągnął wnioski z doświadczenia II wojny światowej. Nie przyglądał się biernie przygotowaniom Władimira Putina do całkowitego zawojowania Ukrainy. Dzięki ponad 200 mld euro z Unii Europejskiej, w tym z Polski, dzięki dostawom broni czy danym wywiadowczym z USA i Wielkiej Brytanii setki tysięcy ukraińskich żołnierzy od 4,5 roku powstrzymują Rosjan. Zdecydowane działania Zachodu zatrzymały rozwój państwa islamskiego i doprowadziły do jego zniszczenia.

Jednym z zadań instytucji publicznych jest natomiast troska o edukację. Wspomniane przez pana uroczystości rocznicowe stanowią jej element. To podczas nich tysiące młodych i starszych ludzi poznaje fakty, których wcześniej nie znali, oraz z opinie o związkach między przeszłością a dniem dzisiejszym. Instytucjonalna aktywność połączona z oddolną społeczną potrzebą wiedzy o przeszłości pomaga nam podejmować trafniejsze decyzje w sprawach bieżących. Skoro np. zdiagnozowaliśmy przyczyny naszej słabości państwowej i klęski militarnej z 1939 r., zróbmy wszystko, by przynajmniej nie powtórzyć tamtych błędów. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość to naturalne elementy naszego narodowego i indywidualnego bytu.

Jako specjalny przedstawiciel Prezydenta RP ds. dyplomacji historycznej zajmuje się pan także polityką pamięci. Jakie miejsce zajmuje w niej II wojna światowa i polskie doświadczenie zbrodni?

Nie można rozumieć teraźniejszości bez wiedzy o przeszłości. Wiedza historyczna jest atutem, który pomaga rozmawiać z różnymi partnerami. Dzięki niej wiemy, co jest faktem, co trzeba przyjąć do wiadomości, a co jest wypreparowaną opowieścią, która służy jakimś celom. Ta wiedza pozwala przedstawiać polski punkt widzenia i wyjaśniać, dlaczego wrażliwość Polaków na różne kwestie jest taka, a nie inna. Cudzoziemcy nie muszą znać naszej historii, bo mają własną. Gdy jednak chcą poznać związek między przeszłością a decyzjami podejmowanymi dziś w Polsce w interesie wspólnoty polskich obywateli, musimy być przygotowani, by kompetentnie ich o tym informować. Za oczywiste uznaję to, że polska dyplomacja historyczna nie może z góry uznawać wszystkich tez przedstawianych przez partnerów, z którymi prowadzimy dialog. Co więcej, musi wskazywać im luki w ich wiedzy, prowadzące do formowania błędnych opinii. Pozostając w prawdzie, naszym – a więc także moim – obowiązkiem jest troska o interesy Rzeczypospolitej. Trzeba przyznać, że od lat dba o to wiele osób związanych z instytucjami państwa polskiego.

eprasa.pl 69fe0b3f94



Rząd wybrał podatkową drogę na skróty

Nie widzę w tej propozycji rządu głębszej logiki. Polska zasługuje na poważną debatę o podatkach i finansach publicznych oraz konsensus wokół reform, które zapewnią stabilne podstawy rozwoju gospodarczego i zarazem bezpieczeństwo finansom publicznym

Z Pawłem Gruzą, doradcą prezydenta RP, byłym wiceministrem finansów w rządach Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego, odpowiedzialnym m.in. za uszczelnienie systemu podatkowego, byłym wiceprezesem KGHM i PKO, rozmawia Maciej Wośko

eprasa.pl 69fe0b3f94

W parlamentarnej kampanii wyborczej Koalicja Obywatelska mamiła Polaków flagową obietnicą podniesienia kwoty wolnej od podatku do 60 tys. zł. Dziś premier Donald Tusk przekonuje, że w perspektywie najbliższych lat realizacja tej zapowiedzi jest niemożliwa. Czy jako były wiceminister finansów jest pan zaskoczony, że zamiast powszechnej ulgi dla wszystkich Polaków dostajemy skomplikowaną, trzystopniową skalę podatkową, która w praktyce stanowi kapitulację przed własnymi obietnicami programowymi?

Paweł Gruza: Tak, jestem bardzo zaskoczony. Rząd miał szansę rozłożyć tę korzyść podatkową sprawiedliwie na wszystkich podatników, a wybrał dość wąską grupę osób zarabiających powyżej 12 tys. zł brutto miesięcznie. Przypominam, że połowa Polaków zarabia mniej niż 7,5 tys. zł brutto miesięcznie i w efekcie 22 z 25 mln podatników PIT jeszcze długo nie skorzysta z prezentu proponowanego przez rząd. Dla mnie to nie jest ulga dla klasy średniej. Jest to również sprzeczne z obietnicami wyborczymi samej Koalicji Obywatelskiej oraz propozycjami podatkowymi prezydenta RP, które poparli wyborcy.

Rząd proponuje drastyczne podniesienie podstawowej stawki CIT z 19 proc. do 22 proc. dla firm o rocznych przychodach przekraczających 50 mln euro oraz dla podatkowych grup kapitałowych. Analitycy wprost wyliczają, że ta zmiana uderzy w aż dwie trzecie spółek z indeksu WIG, obniżając ich wyceny giełdowe o 3–4 proc. Czy ten skok na kasę największych przedsiębiorstw nie jest prostą drogą do zahamowania rozwoju krajowych liderów gospodarczych, którzy zamiast inwestować w innowacje, będą musieli oddać miliardy złotych na łatanie dziury budżetowej obecnego rządu?

Mieliśmy mieć obniżenie VAT do 22 proc. i w końcu mamy 22 proc., ale podwyższonego CIT. Ten mechanizm był stosowany w przeszłości: zamiast naprawiać nieszczelny system, podnosimy stawki, pogłębiając patologię, gdy uczciwi płacą jeszcze więcej, a unikający podatków powiększają przewagę konkurencyjną. Tak było w 2011 r., kiedy zamiast walki z wyłudzeniami, podniesiono VAT do 23 proc., tak jest też z próbami podnoszenia stawek akcyzy w czasie, gdy rośnie szara/czarna strefa i niestety jest tak w tym przypadku ze stawką CIT.

Rząd miał szansę rozłożyć korzyść podatkową sprawiedliwie na wszystkich podatników, a wybrał wąską grupę osób zarabiających powyżej 12 tys. zł brutto miesięcznie. Przypominam, że połowa Polaków zarabia mniej niż 7,5 tys. zł brutto miesięcznie i w efekcie 22 z 25 mln podatników PIT jeszcze długo nie skorzysta z prezentu proponowanego przez rząd

Od 2018 r. udało się nam co roku publikować tabelkę Ministerstwa Finansów z danymi, kto w Polsce faktycznie płaci CIT. Dzięki niej wyraźnie widać, jak skutecznie można zarządzać tym podatkiem, szczególnie w korporacjach o złożonej międzynarodowej strukturze. Tu resort finansów powinien szukać dochodów, a nie podnosić stawkę.

Kryterium wejścia w wyższy, 22-procentowy CIT oparto na przychodzie, a nie na realnym dochodzie, całkowicie ignorując rentowność przedsiębiorstw. W rezultacie firmy z branż o wysokim obrocie, lecz niskiej marży – jak budownictwo, handel, transport czy dystrybucja – zostaną potraktowane identycznie jak wysokomarżowe korporacje technologiczne. To brak elementarnej logiki ekonomicznej? Wróci zjawisko optymalizacji podatkowej?

Podstawowymi sposobami optymalizacji podatkowej w CIT jest wykorzystanie kosztów odsetek od pożyczek grupowych, różnego rodzaju należności licencyjnych i „restrukturyzacji" księgowych, które umożliwiają transfer wypracowanego dochodu z Polski bez podatku. Wydaje się, że rząd powinien walczyć z tymi zjawiskami, tymczasem popiera prace w Unii Europejskiej nad zmianą dyrektywy, ułatwiające tego typu transfery. Oczywiście wszystko pod sztandarem „uproszczeń" i enigmatycznego hasła „omnibus". Czy można się sprzeciwić „omnibusowi"? Otóż można.

W podatkowym projekcie ustawy prezydenta Karola Nawrockiego, złożonym do marszałka Sejmu rok temu, są proponowane mechanizmy, dzięki którym obywatele, dziennikarze i eksperci dostaną konkretne dane o wartościach i kierunkach tych nieopodatkowanych transferów z Polski, a minister finansów będzie zmuszony do prowadzenia aktywnej polityki na tym polu. Niestety projekt leży w sejmowej zamrażarce, a mógłby już przynosić miliardowe korzyści do budżetu.

Projekt rządowy zakłada aż ośmiokrotne obniżenie limitu przychodów uprawniającego do korzystania z ryczałtu ewidencjonowanego – z 2 mln euro do zaledwie 250 tys. euro (ok. 1 mln zł). Przedsiębiorcy, którzy przekroczą ten limit, zostaną z dnia na dzień wrzuceni na skalę podatkową lub podatek liniowy, co oznacza skokowy wzrost podatków i gigantyczne podwyżki składki zdrowotnej. Jak skomentuje

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 69fe0b3f94

pan ten atak na wciąż rozwijający się sektor MŚP pod pretekstem rzekomego „powrotu do pierwotnych założeń ryczałtu dla mikrofirm”? Gdzie podziała się zapowiadana stabilność dla drobnego biznesu?

Ten obszar wymaga kompleksowej reformy, a nie raptownego manipulowania jednym pokrętłem. Tu rząd mógł przygotować i przedstawić holistyczną ocenę skali opodatkowania i obciążenia innymi daninami publicznymi jednoosobowych działalności gospodarczych i na tej podstawie zaproponować sprawiedliwe rozwiązania. Skala informatyzacji państwa i przedsiębiorców daje tu olbrzymie pole do uproszczeń. Niestety wybrano drogę na skróty.

Poprzedni rząd próbował wypracować swego rodzaju stabilną mapę drogową podatków. Tymczasem ekipa Donalda Tuska i Andrzeja Domańskiego funduje nam legislacyjną rewolucję – założenia ogłasza się na konferencji w drugiej połowie sierpnia 2026 r., projekt ustawy w pośpiechu ląduje w Rządowym Centrum Legislacyjnym, a konstytucyjny termin na ogłoszenie zmian w podatkach rocznych upływa 30 listopada. Jak w tak niestabilnym, nieprzewidywalnym i tworzonym „na kolanie” systemie przedsiębiorcy mają planować jakiekolwiek długoterminowe inwestycje?

Myślę, że przed 30 listopada czekają nas jeszcze kolejne podatkowe niespodzianki.

Włodzimierz Czarzasty z rozbrajającą szczerością ujawnił, że kierunki tej rewolucji podatkowej zostały ustalone 10 sierpnia na czysto politycznym spotkaniu partyjnych liderów koalicji, a „finansiści muszą te wytyczne przełożyć na papier”. Czy polski system podatkowy powinien być zakładnikiem partyjnych układów i twitterowych wpisów, tworzonych przy całkowitym braku sformalizowanej strategii gospodarczej państwa oraz bez realnego dialogu z przedstawicielami biznesu?

Jakość debaty publicznej o podatkach i ogólnie o stanie finansów publicznych polepsza się, jednak wciąż jest wiele do zrobienia, szczególnie w zakresie dostępności do rzetelnych danych. W tym kontekście projekt ustawy prezydenta RP, o którym wspomniałem, byłby pomocny.

W obozie rządzącym panuje programowy rozgardiasz: lewicowa część koalicji głośno domaga się wprowadzenia aż pięciu stawek PIT, w tym karnej stawki 40 proc. dla zarabiających miliony, oraz podwyższenia stawek ryczałtu. Z kolei poseł Ryszard Petru z klubu Centrum wprost zapowiada, że nie poprze zmian proponowanych przez ministra finansów. Czy ten projekt, będący efektem politycznego przeciągania liny, nie doprowadzi klimatu proinwestycyjnego do całkowitej katastrofy?

To prawda, nie widzę w tej propozycji rządu głębszej logiki. Polska zasługuje na poważną debatę o podatkach i finansach publicznych oraz konsensus wokół reform, które zapewnią stabilne podstawy rozwoju gospodarczego i zarazem bezpieczeństwo finansom publicznym.

> Mieliśmy mieć obniżenie VAT do 22 proc. i w końcu mamy 22 proc., ale podwyższonego CIT. Ten mechanizm był stosowany w przeszłości: zamiast naprawiać nieszczelny system, podnosimy stawki, pogłębiając patologię, gdy uczciwi płacą jeszcze więcej, a unikający podatków powiększają przewagę konkurencyjną

W warstwie konstrukcyjnej projektu ustawy znalazł się kuriozalny art. 5, który wprost uzależnia wejście w życie korzystniejszych stawek PIT od równoczesnego uchwalenia i wejścia w życie drastycznych podwyżek CIT oraz ograniczeń w ryczałcie dla przedsiębiorców. Czy w swojej karierze w Ministerstwie Finansów spotkał się pan kiedykolwiek z takim szantażem legislacyjnym wobec obywateli: „Damy wam drobną ulgę, pod warunkiem, że pozwolicie nam złupić gospodarkę”?

Rozumiem chęć zabezpieczenia przez ministra finansów dwóch stron budżetowego równania, ale legislacyjnie jest to zbędne.

Minister Domański chwali się, że nowa skala PIT przyniesie korzyści 3,5 mln podatników. Tymczasem realne wyliczenia pokazują, że dla osoby zarabiającej np. 12 tys. zł brutto miesięcznie ta korzyść wyniesie śmieszne 250 zł rocznie, a maksymalny zysk (3,6 tys. zł rocznie) odczują wyłącznie najlepiej zarabiający, powyżej 150 tys. zł rocznie. Podsumowując – czy ten projekt budżetu nie jest cyniczną zasłoną dymną, aby pod płaszczykiem „sprawiedliwości społecznej” ukryć uderzenie fiskalne w polskie firmy i wyciągnąć z rynku miliardy złotych na bieżące wydatki państwa?

Inflacja, na którą powołuje się rząd, uzasadniając tę ulgę, najbardziej uderza w najsłabsze ekonomicznie grupy społecznie, a nie te o zarobkach powyżej 12 tys. zł brutto. Wyższa kwota wolna od PIT pomoże wszystkim, również klasie średniej. Zdecydowanie lepszym rozwiązaniem dla Polski jest praca nad gotowym projektem prezydenckim „PIT Zero. Rodzina na plus”, który wiąże preferencje podatkowe z podjęciem przez polskie rodziny trudu wychowania co najmniej dwójki dzieci.

eprasa.pl 69fe0b3f94



To dzięki niemu młody Anthony Bourdain – przyszła megagwiazda i osobowość kulinarna oraz medialna – wypada na ekranie tak prawdziwie i intrygująco. W filmie „Tony" Dominic Sessa tworzy też równoprawny duet z Antoniem Banderasem

Szczęśliwe przypadki

Fot. m2 films

eprasa.pl 69fe0b3f94





JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Ma zaledwie 23 lata. Przed kamerę trafił przypadkiem w szkole. Dziś to jeden z najbardziej obiecujących i charyzmatycznych młodych amerykańskich aktorów. Jego droga do filmu i show-biznesu przypomina trochę doświadczenia Tony'ego Bourdaina.

NIEOCZYWISTE POCZĄTKI

W obu przypadkach zawodowe początki były zaskakujące i nieoczywiste, niejako wbrew potrzebom i oczekiwaniom wchodzących w życie bohaterów. Każdy z nich miał inny pomysł na przyszłość. Tony marzył o pisaniu. Gdy nie przyznano mu stypendium na powieściowy debiut, po różnych perypetiach trafił do portowej knajpy. Tam w upalne lato 1976 r., zaczynając od zmywaka, odkrył swoją pasję i powołanie.

Zmysł kulinarny połączył z niepokornym charakterem, talentem do zestawiania rzeczy nieoczywistych i umiejętnością wędrowania własnymi ścieżkami. Tak powoli zaczął się kreować Anthony Bourdain – buntownik, outsider, wyjątkowy szef kuchni i jedna z najbardziej charyzmatycznych osobowości telewizyjnych. Jednocześnie podróżnik, pisarz i odkrywca, którego miliony ludzi na całym świecie pokochały za bezkompromisowy styl, miłość do życia, szacunek do innych, a także odwagę, ciekawość świata i autentyczność. Film „Tony" opowiada o tym, kim był, zanim stał się Anthonym.

PRZEPUSTKA DO KINA

Grający tytułową postać Dominic Sessa zdobył międzynarodową rozpoznawalność raptem trzy lata temu dzięki debiutanckiemu występowi w komediodramacie „Przesilenie zimowe". Za swoją rolę otrzymał Critics' Choice Movie Award dla najlepszego młodego aktora oraz nominację do brytyjskiej nagrody BAFTA. Kameralna produkcja okazała się dla niego przepustką do Hollywood. Była nominowana do Oscara w pięciu kategoriach (za film, oryginalny scenariusz, montaż i aktorstwo; statuetkę za rolę drugoplanową odebrała Da'Vine Joy Randolph). Główną postać zagrał (zgłoszony również do nagrody) Paul Giamatti.

W takim towarzystwie znalazł się przed kamerą 18-letni Dominic Sessa. I zrozumiał – podobnie jak jego otoczenie – że filmowy plan to jego miejsce. Że w takich realiach odnajduje się znakomicie i bardzo naturalnie, a choć nie ma klasycznej urody, kamera go kocha.

„Tony" to raptem jego piąty film i pierwszy, w którym zagrał główną rolę. To dzięki niej ta – bynajmniej nie rewolucyjna kinowo – opowieść żyje. Sessa sprawił, że została odpowiednio zniuansowana, „doprawiona" – i w scenach indywidualnych, i w duetach. Także z doświadczonym Antoniem Banderasem.

Z BURSY NA EKRAN

Sessa został aktorem przez przypadek. Miał być hokeistą. Dzięki stypendium sportowemu trafił do Deerfield Academy, elitarnej szkoły z internatem w Massachusetts. Karierę na lodzie uniemożliwiła mu poważna kontuzja nogi. Zapisał się więc na zajęcia z aktorstwa i zaczął występować w szkolnych przedstawieniach. Wziął też udział w nieoczekiwanym castingu.

Szkoła, w której się uczył, została wybrana jako miejsce planu zdjęciowego do filmu „Przesilenie zimowe" w reżserii Alexandra Payne'a, scenarzysty dwukrotnie nagrodzonego Oscarem („Spadkobiercy" w 2011 r. i „Bezdroża" w 2004 r.). Wśród uczniów poszukiwano odtwórcy roli Angusa, zbuntowanego nastolatka z problemami, który musi spędzić święta Bożego Narodzenia w murach internatu. Po kilku etapach zdecydowano się na 18-letniego Dominica Sessę.

Do najnowszej roli doprowadził go nie tylko niewątpliwy talent aktorski, lecz także to, że bardzo przypomina młodego Anthony'ego Bourdaina. Co ciekawe, obaj wychowywali się w stanie New Jersey (choć Tony urodził się w Nowym Jorku).

JESTEM OTWARTY

Alexander Payne mówi o nim, że „instynktownie wie, jak zagrać rolę pełną inteligencji emocjonalnej". Havana Rose Liu, z którą spotkał się na planie filmu „Co. Za. Radość" (2025), dodaje: „Może i ma 23 lata, ale to stara dusza".

Dziś Dominic Sessa, poza graniem, studiuje aktorstwo w szkole Carnegie Mellon w Pittsburghu. Ma spory dystans do siebie i do swoich ról. O filmowym Tonym mówi: „Adrenalina i ignorancja pomagają mi przetrwać w życiu. Myślę, że ta postać też się tym kieruje, ale w zupełnie inny sposób niż ja. Chciałbym to kiedyś zgłębić". I dodaje: „Jestem otwarty na wszystko, co może mnie czegoś nauczyć. Chcę grać i tworzyć, ale bez presji i traktowania tego zbyt poważnie".

Na koniec może warto przytoczyć cytat z Anthony'ego Bourdaina: „Jestem wielkim zwolennikiem improwizacji. Wierzę, że nigdy nie doświadczysz idealnej podróży ani idealnego posiłku, jeśli nie jesteś gotów od czasu do czasu trafić na jakiś niewypał. Otwartość na to, by wydarzył się szczęśliwy przypadek, to coś, czego często brakuje w planach wakacyjnych. Zawsze staram się zachęcać ludzi, by na to pozwalali, zamiast kurczowo trzymać się sztywnego planu".

Fot. m2 films

eprasa.pl 69fe0b3f94



Kadr z filmu „Szeregowiec Ryan”

Mit, realizm i propaganda

W kinie wojennym aż się prosi o realizm i uszanowanie tła historycznego, a także o nośny pomysł, służący opowieści. Sztuka to tym trudniejsza, że tematyka II wojny światowej oddaje dzieła filmowe na usługi propagandy historycznej



MACIEJ WALASZCZYK

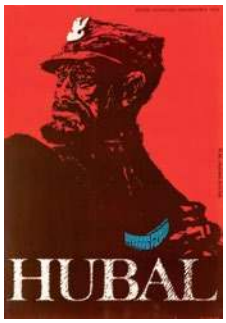
Obozy zwycięzców i pokonanych wciąż istnieją, wobec czego ci pierwsi w swych produkcjach filmowych nadal utrwalają swoje racje, choć na szczęście przesunęły się granice krytyki komunizmu i Związku Sowieckiego. Kino rosyjskie do dziś ukazuje jednak wojnę niemal jak propagandę Wielkiej Wojny Ojczyźnianej – nigdy nie wiadomo, co się działo przed czerwcem 1941 r. Nigdy też nie pokazano prawdziwego obrazu armii brudnych i zawszonych analfabetów, których posłuszeństwo wymuszano brutalną przemocą. Większość tych filmów, choćby tak gigantyczne produkcje jak „Wyzwolenie” (1970), ogląda się trudno – oczywiście poza wyjątkami, takimi jak „Oni walczyli za ojczyznę” (1975) czy „Spaleni słońcem” (1994).

Zachodni alianci podchodzili do tematu ze znacznie większym polotem, realizując kino epickie i przygodowe, choć również w ich opowieściach o bitwach i kampaniach wojennych istnieje nienaruszalne tabu.

Przedstawiamy krótki przegląd ważnych filmów o największej z wojen – to różne style i punkty widzenia, kolejność bliższa chronologii wydarzeń. To obrazy o wojnie, a nie o okupacjach.

Fot. Materiały prasowe, Shutterstock

egrasa.pl 69fe0b3f94



1. „HUBAL” (1973)

Romantyczny i utrzymany w stylu westernowej ballady fresk o ostatnim oddziale kampanii wrześniowej, dowodzonym przez mjr. Henryka Dobrzańskiego, który po wrześniowej klęsce przejmuje dowództwo nad jedną z grup stworzonych ze 110. pułku ułanów, która staje się pierwszym kilkusetosobowym zgrupowaniem partyzanckim w Górach Świętokrzyskich. W tym filmie wręcz malarską batalistykę równoważy głębszy psychologiczny portret polskich żołnierzy, stających w obliczu historycznej katastrofy.

Wcielający się w postać majora Ryszard Filipski kreuje tu jedną z najlepszych ról swego życia. Siłę obrazu wzmacnia muzyka Wojciecha Kilara, eksponująca melodię porywającego żołnierskiego mruczanda. „Hubal” to pełen temperamentu kawalerzysta, choć na ekranie widzimy niemal świętego męża, którego dowódca AK Stefan Rowecki chciał oddać pod sąd za niesubordynację. Mjr Dobrzański nie spodziewał się, że jego działalność natychmiast sprowadzi na wspierające go wsie brutalne pacyfikacje.

Film ma oczywiście również własną historię. Zaangażowany w PZPR Bohdan Poręba dostał z ministerstwa zlecenie na realizację scenariusza Jana Józefa Szczepańskiego, który stworzył go na podstawie słynnego reportażu Melchiora Wańkowicza, jednak z powodu zaangażowania Filipskiego oraz zmian dokonanych przez Porębę odmówił jego autoryzacji. Obraz oddziału wkraczającego do wsi Poświętne i udział żołnierzy w pasterce oraz scena, w której żołnierze śpiewają „Boże, coś Polskę” zostały zakwalifikowane jako fragmenty do usunięcia. Podobno dzięki wstawiennictwu gen. Wojciecha Jaruzelskiego, ówczesnego szefa MON, film wszedł na ekrany bez cięć. Odważono się też pokazać kpt. Macieja Kalenkiewicza (Tadeusz Janczar), zabitego w 1944 r. przez NKWD. To film z wielkim ładunkiem mitotwórczym, o ułańskiej tradycji, żołnierskim honorze, prawości i poświęceniu.





2. „NIEZNANY ŻOŁNIERZ” (2017)



Trzygodzinna i wciągająca adaptacja filmowa pełnej wersji słynnej fińskiej powieści wojennej Väinö Linny pod tym samym tytułem w reżyserii Aku Louhimiesa, a zarazem remake jej dwóch wcześniejszych ekranizacji. Opowiada o trwającej trzy lata (1941–1944) wojennej epopei kompanii karabinów maszynowych walczącej w Karelii, którą Sowieci odebrali Finom podczas wojny zimowej w 1940 r. Rok później po niemieckim ataku na ZSRR marsz. Mannerheim rozpoczął tzw. wojnę kontynuacyjną, która, choć ostatecznie przegrana, ocaliła fińską niepodległość.

Śledzimy losy kilku członków oddziału: kpr. Antero „Antti” Rokki (Eero Aho), który chce odzyskać swoje gospodarstwo na Przesmyku Karelskim, wzorowego dowódcy Vilha Koskela, romantycznego idealisty Jorma Kariluoty czy przysparzającego kłopotów strzelca Riitaoję. Bliskie ujęcia i niskie ustawienie kamery sprawiają, że widz bierze udział w bojach toczonych w lasach, nad jeziorami i rzekami. Dominuje cisza, odgłosy przyspieszonych oddechów, kroków i przeładowywanej broni. Odczuwamy strach i rozpacz oraz także doskonale rozumiemy motywacje żołnierzy, szturmujących sowieckie pozycje z okrzykiem „Jeesus perkele!”. W Rosji, po agresji na Ukrainę, film został uznany za przykład antyrosyjskiej i „faszystowskiej” propagandy (chodzi oczywiście o Karelię).

Fot. Materiały prasowe, Shutterstock

eprasa.pl 69fe0b3f94

3. „ADMIRAŁ YAMAMOTO" (1968)



Między piękną, lecz antywojenną „Harfą birmańską" (1956), rozdzielającym racje obu stron „Tora! Tora! Tora!" (1970) czy wręcz wzmacniającym poczucie japońskiej krzywdy „Yamato" (2005) ten film Seiji Maruyamy to ciekawa pozycja. Nie jest arcydziełem, choć przyjemnie jest oglądać znakomitego Toshirō Mifune w roli tytułowej, a także liczne sceny batalistyczne zaaranżowane za pomocą miniaturowych modeli, ożywianych przez speca od efektów specjalnych Eiji Tsuburayę.



Japonia przegrała wojnę, płacąc za to wysoką cenę. Film ukazuje splot okoliczności, które sprawiły, że adm. Isoroku Yamamoto, zagrożony zamachem ze strony zwolenników wojny i przeciwny udziałowi w niej Japonii, najpierw staje na czele cesarskiej marynarki, a potem opracowuje plan ataku na bazę amerykańskiej floty w Pearl Harbor w grudniu 1941 r. Jako strateg z żyłką do hazardu świetnie rozumiał skuteczność lotniskowców w dalekosiężnych atakach morskich, a jako absolwent Harvardu dobrze oceniał siłę Ameryki. Rozumiał, że wojna została przegrana, zanim w ogóle się rozpoczęła. Do końca jest jednak wierny tradycyjnej etyce bushidō i walczy za cesarza – dlatego paradoksalnie to on, a nie np. Hitler stał się dla Amerykanów głównym celem do eliminacji.

Film powstał już w realiach militarnego i gospodarczego partnerstwa ze Stanami Zjednoczonymi. W czasie wojny to USA były jednak rywalem Japonii i wrogim kolonistą. Film stanowił więc hołd dla Yamamoto, którego nazwisko zostało wpisane do Księgi Dusz świątyni Yasukuni, gdzie czci się pamięć poległych w wojnach Japończyków i podkreśla rolę Japonii jako wyzwoliciela Azji Wschodniej spod jarzma zachodniego imperializmu.



4. „STALINGRAD" (2013)

Zarówno stare sowieckie, jak i nowe rosyjskie filmy nieustannie utrwalają jedynie słuszny obraz Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Nawet „Stalingrad" Jurija Ozierowa, nakręcony (1989) na fali pieriestrojki, choć ukazywał zbrodnie zaporowych oddziałów NKWD czy satrapę Stalina, pozostaje ciężkostrawną politgramotą. Ale „Stalingrad" Fiodora Bondarczuka jr., twórcy „9. kompanii", jest warty obejrzenia, ponieważ wyłamuje się z ram historycznej propagandy. W Rosji został poddany krytyce np. za ukazanie także ludzkiej strony Niemców czy bestialstwa krasnoarmiejców oraz za to, że pokrył mit Stalingradu „hollywoodzką politurą", ukazując zakazaną miłość na tle wojny.

Film jest jednak niezwykle barwnym spektaklem, inspirowanym m.in. powieścią „Życie i los" Wasilija Grossmana. Mamy efektowną batalistykę, np. oglądaną z ziemi nocną bitwę powietrzną, dramatyczne sceny walk w mieście, zabijanie cywilów. Akcja rozgrywa się w 1942 r. na brzegach Wołgi, zajętych już przez wojska niemieckie. Po nieudanej próbie kontrataku Sowieci są zmuszeni do odwrotu, kilku zwiadowcom kpt. Gromowa (Piotr Fiodorow) udaje się jednak dotrzeć na stronę wroga. Chronią się w domu, w którym spotykają dziewczynę, ta zaś staje się dla nich jednocześnie ukochaną, siostrą i córką. Na dodatek niemiecki kapitan Peter Kahn (Thomas Kretschmann), protekcjonalny wobec Rosjan arystokrata, również zainteresował się śliczną Maszą (Janina Studilina). Po latach rosyjski ratownik opowiada całą historię niemieckim turystom uwięzionym pod gruzami w wyniku trzęsienia ziemi w Fukushimie. To on jest synem tamtej dziewczyny, a my możemy tylko zgadywać, kto był jego ojcem.

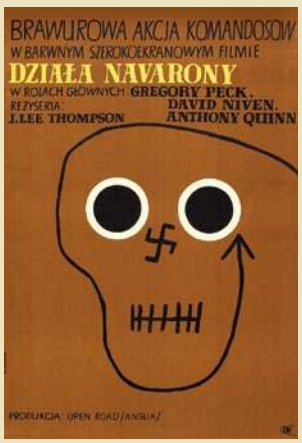
Film zaś to pamiątka po flircie prezydenta Putina z kanclerz Merkel, niemiecko-rosyjskiej współpracy i resecie.

Fot. Materiały prasowe, Shutterstock

egrasa.pl 69fe0b3f94



5. „DZIAŁA NAVARONY” (1961)



To więcej niż wojenne kino akcji na postawie znanej książki Alistaira MacLeana – to przygodowa historia, kręcona niemal jak film o zuchwałym skoku na bank. Jest jednak zupełną fikcją. Opowiada o specjalnym oddziale brytyjskich sabotażystów wysłanych do Grecji, by zniszczyć wielkie niemieckie ciężkie działa, ukryte w górskiej grocie na wyspie na Morzu Egejskim, nieosiągalne dla lotnictwa i ostrzału z okrętów.

Imponuje gwiazdorska obsada, złożona z pełnych szlachetności twarzy, wśród nich m.in. Gregory Peck jako Keith Mallory, budzący respekt dowódca i mistrz wspinaczki wysokogórskiej, Anthony Quinn w roli twardego i przebiegłego greckiego pułkownika Stavrosa, David Niven jako opanowany, ale ironiczny ekspert od materiałów wybuchowych kpr. Miller, a do tego Anthony Quayle, Stanley Baker oraz Irene Papas.

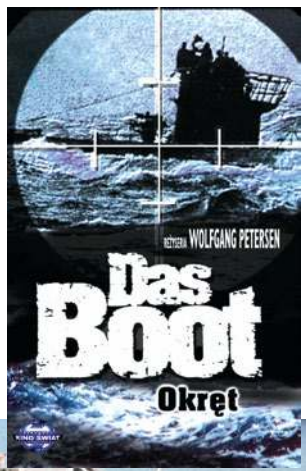
Narracja nie skupia się wyłącznie na przygodach i walce. Ukazuje również ukryte konflikty między postaciami, momentami przeradzając się w pełen napięcia thriller. Jeden z najlepszych filmów wojennych wszech czasów miał podobno nieść antywojenne przesłanie, więc w czasie oglądania towarzyszy nam chwilami niepokojąca, a nawet nostalgiczna muzyka Dimitrija Tiomkina, podkreślająca tragiczny los bohaterów.

6. „OKRĘT” (1981)

Pulsujący dźwięk sonaru przenikający mroczną, hipnotyzującą muzykę, skomponowaną przez Klausa Doldingera, sprawia, że siadając przed ekranem, momentalnie przenosimy się do stalowej puszki o wymiarach 10 m na 150 m i przechodzimy do pełnego zanurzenia, stając się jednym z członków załogi U-Bota.

Akcja filmu przez większość czasu skupia się na marynarzach starających się powrócić z kolejnego patrolu do portu w La Rochelle. Śledzimy ją oczami Wernera (Herbert Grönemeyer), niemieckiego korespondenta wojennego (film w dużej mierze bazuje na autentycznej relacji Lothara G. Buchheima). Słynny „Das Boot” Wolfganga Petersena do dziś jest arcydziełem kina wojennego, a zyskuje jeszcze bardziej w wersji reżyserskiej, trwającej ponad 210 min. Niemcy mogli sobie wtedy pozwolić jedynie na romantyzowanie podmorskiej odysei załogi U-96, ukazując dzięki temu historię o ludziach, a nie polityce.

Choć film jest również pewnym rozliczeniem z wojną, pokazując, że służba na okrętach podwodnych była psychicznie wyniszczającym i odczłowieczającym doświadczeniem. Wojna na Atlantyku jest bowiem bezwzględna – storpedowany frachtowiec idzie na dno, a rozbitkowie zostają pozostawieni na pastwę losu. Ciasne ujęcia wzmacniają klaustrofobiczne uczucie duszności i zamknięcia, ale załogę cementuje braterska więź, wzmacniana wręcz ojcowską opieką sprawowaną nad nimi przez doświadczonego dowódcę (Jürgen Prochnow). Jednak „Stary” również popełnia kosztowne błędy.





Fot. Materiały prasowe, Shutterstock

eprasa.pl 69fe0b3f94



7. „PATTON” (1970)

W 1971 r. aż osiem Oscarów, w tym za najlepszy film, reżyserię i aktora, powędrowały do twórców tego znakomitego filmu w reżyserii Franklina J. Schaffnera. To naprawdę widowiskowe kino, będące wzorcem zarówno dobrego filmu wojennego, jak i udanej biografii. To, co widzimy, jest nie tyle legendą wybitnego dowódcy, ile freskiem o człowieku, z jego wszystkimi wadami i zaletami, które uczyniły go tym, kim był: bystrym strategiem, ryzykantem, brutalem, a także teoretykiem wojny, wierzącym w reinkarnację.

Wcielający się w tę postać George C. Scott osiąga szczyty aktorstwa, chwilami wręcz bezgranicznie utożsamiając się z odgrywanym przez siebie bohaterem. Wszak współautorem scenariusza był Francis Ford Coppola – postać płk. Kilgore'a z „Czasu Apokalipsy” jest odczytywana jako zwariowany spin-off gen. Pattona. Film zaczyna się od jego burzliwego przemówienia, gdy padają słynne słowa: „Nie wygrywa się wojny, umierając za ojczyznę. Wygrywasz, sprawiając, że ten drugi głupi sukinsyn umrze za swoją”.



Jest 1943 r., a stacjonująca w Afryce Północnej amerykańska armia liże rany po klęsce w bitwie pod Kasserine. Zadaniem Pattona, ściągniętego z Maroka, jest więc rozbicie Afrika Korps, dowodzonego przez gen. Erwina Rommla (Karl Michael Vogler). Potem wraz z inwazją aliantów przenosimy się na Sycylię i jesteśmy świadkami wojskowej rywalizacji z gen. Montgomerym (Michael Bates).

Film wszedł na ekrany w apogeum wojny w Wietnamie i kampanii antywojennej, rozpętanej przez lewicę. Jest wręcz gloryfikacją etyki wojskowej, uosabianej przez postać, której ekstrawagancja w czasach pokoju budziła pewną niechęć, lecz w czasach wojny okazała się zaletą i atutem. „Patton to romantyczny wojownik zagubiony we współczesnych czasach” – stwierdza w jednej ze scen jeden z niemieckich oficerów.

8. „SZEREGOWIEC RYAN” (1998)



Jedna z najlepszych opowieści o żołnierzach II wojny światowej i reżyserski popis Stevena Spielberga, który za kamerą postawił Janusza Kamińskiego. Rzecz jasna z typowo amerykańską i pełną patosu narracją, symbolicznie ujętą w ukazanych rzędach biały krzyży na grobach Amerykanów poległych na wojnie w Europie.

Kanwą filmu jest oczywiście operacja „Overlord”, a więc desant wojsk alianckich w Normandii w czerwcu 1944 r., którego przebieg jest ukazany w niezwykle realistycznych, początkowych sekwencjach filmu, trwających aż 26 min. Widz doświadcza szczegółowego obrazu walki i śmierci, wręcz wdziera się na plażę, na której wybuchają pociski, świszczą kule i giną ludzie.

Film opowiada jednak o grupie żołnierzy pod dowództwem kpt. Johna Millera (Tom Hanks), których zadaniem jest odszukanie szeregowego Jamesa F. Ryana (Matt Damon). Decyzja zostaje podjęta po tym, gdy okazuje się, że jego trzej bracia zginęli już na wojnie. Fabuła była inspirowana autentyczną historią braci Niland. Uczestników tej nietypowej misji nurtuje jednak pytanie: dlaczego kilku ludzi ma ryzykować życie, by odnaleźć jednego człowieka? Film nie jest antywojenną przypowieścią, lecz napełnia widza przeświadczeniem, że wojna ma głęboki sens. Liczy się poświecenie, odwaga, waleczność i wiele innych cnót, będących fundamentem naszej kultury.

„Skoro Bóg jest z nami, to kto jest z tamtymi?” – pyta jeden z żołnierzy. „Nie, skoro Bóg jest z nami, to kto jest przeciwko nam?” – słyszy w odpowiedzi.



Fot. ©20thCenFox/Courtesy Everett Collection, materiały prasowe, Shutterstock

egrasa.pl 69fe0b3f94



HITY i KITY ZAREMBY



Zombie wciąż w Wielkiej Brytanii

W 2025 r., czyli 23 lata później, Danny Boyle nakręcił film „28 lat później”, dalszy ciąg swojego obrazu „28 dni później”. To kino postapokaliptyczne, pokazujące Wielką Brytanię zmienioną w pustkowie przez hordy zombie. Już po kilku miesiącach powstał dalszy ciąg dalszego ciągu. „28 lat później. Świątynia kości” to żerowanie na ciekawości widzów, zastanawiających się, co dalej

Tę jeszcze jedną część cyklu, produkcję brytyjsko-amerykańską, przeoczyłem, a teraz obejrzałem dzięki HBO. Tym razem nie reżyserował Boyle, lecz ciemnoskóra Nia DaCosta. To ona stworzyła nową wersję horroru „Candyman” z niemal samymi czarnymi bohaterami. Jednak w „Świątyni kości” Murzynów o dziwo prawie nie ma. Po co powstał ten film, znów według scenariusza Alexa Garlanda? O czym on jest?

„28 dni później” z 2002 r. pokazywał losy młodego człowieka, błąkającego się po świecie dopiero co dotkniętym eksplozją epidemii zmieniającej ludzi w żywe trupy. Pisałem o nim tak: „Czy w apokaliptycznym obrazie zagłady Wielkiej Brytanii kryła się głębsza myśl? Reżyser postawił na emocje – oto człowiek jest w sytuacji beznadziejnej, samotny jak palec. Pojawiały się tam dylematy, na ile w takim świecie obowiązują dawne reguły ludzkiej solidarności. Szczególnie palące, gdy zarażeni, inaczej niż w wielu filmach o zombie, wyjątkowo szybko biegają. W finale pojawił się też wątek ludzi ocalałych, a jednak zachowujących się jak potwory”.

W „28 lat później” mamy w gruncie rzeczy tę samą historię, tyle że w warunkach utrwalenia się kataklizmu. Wielka Brytania jest przestrzenią pełną szalejących hord. Nieliczni ludzie żyją w warownych osadach, bronią się, a czasem atakują zombie. Głównym bohaterem jest chłopiec Spike (Alfie Williams). Porzucił ufortyfikowaną wyspę i twardego ojca, szukając sposobu na uleczenie matki. Nie zdołał jej ocalić, a sam dołączył – czy raczej został wcielony w finale – do grupy oszalałych satanistów.

Kolejna część opowiada dalszy ciąg tej historii. Wódz satanistów (Jack O’Connell), chyba naprawdę wierzący w Lucyfera, wraz ze swoją grupą dopuszcza się niebywałych okrucieństw na spotykanych ludziach. Przerażony Spike musi maskować swoją odrazę wobec wszystkiego, co robią. Następuje kolejne spotkanie z dziwacznym doktorem Kelsonem (Ralph Fiennes), żyjącym samotnie w dziwnej twierdzy zbudowanej z ludzkich kości. Wcześniej dawny lekarz nie zdołał uratować matki Spike’a.

Trudno mi było uznać logikę tego wątku już w poprzedniej części. Nawet jeśli przyjąć, że Kelson chroni się przed zombie, smarując się czymś, w jaki sposób zdobywa pożywienie? Fiennes jest oczywiście sugestywny w tej roli, ale tu z kolei nie bardzo rozumiałem, jak pozyskuje i leczy szczególnie groźnego przedstawiciela zarażonych, nazywanego Samcem Alfa. Największą wadą filmu jest jednak coś innego.

Nie wychodzi on poza obserwacje znane z poprzednich części, a tak naprawdę z całego kina postapokaliptycznego. Już wiemy, że ci, którzy ocaleli, stają się okrutni, a niektórzy zmieniają się w potwory. Sceny satanistycznych zbrodni są okropne, a przez swoją monotonię dla mnie nie do zniesienia. Zarazem nic mnie tu nie zaskoczyło ani nie dostarczyło nowych przeżyć. Oczywiście można do tego dokręcać kolejne dalsze ciągi. I będzie tak samo.

Takie filmy rządzą się jednym mechanizmem: ciekawością widzów, przyciąganych perspektywą poznania dalszego ciągu. Tu jedyną atrakcją jest pojawienie się na kilka minut sławnego aktora Cilliana Murphy’ego. W pierwszej części to jego losy były istotą akcji. Okazuje się, że 28 lat później nadal żyje, ma ciemnoskórą córkę i on akurat zachował zasady.

Piotr Zaremba

Fot. UIP

„Bezmiar sprawiedliwości” myli tropy

Śmierć wybitnego aktora Jana Frycza stała się okazją do przypomnienia przez TVP Kultura produkcji z jego udziałem. „Bezmiar sprawiedliwości”, film Wiesława Saniewskiego z 2006 r., nadal robi wrażenie. Zawsze wciągało mnie kino sądowe. To jest zarazem całkiem sugestywny kryminał, jak i szlachetny moralitet

Saniewski jest znany przede wszystkim z filmu „Nadzór”, stanowiącego wiwisekcję życia w więzieniu z 1983 r. W „Bezmiarze sprawiedliwości” wykorzystał prawdziwą historię. W lipcu 1990 r. we Wrocławiu ktoś zamordował młodą dziennikarkę telewizyjną. Podejrzanym stał się jej kochanek, żonaty pracownik telewizji, z którym kobieta była w ciąży. Mimo słabych dowodów został skazany na 25 lat więzienia. Po latach ułaskawił go prezydent Kwaśniewski.

Struktura filmu jest oryginalna. Oto adwokat Wilczek (Jan Frycz) ma przekonać syna kolegi do studiów prawniczych, opowiada mu więc tę historię. Zwodzi go jednak – najpierw przedstawia się jako oskarżyciel posiłkowy w tym poszlakowym procesie, potem jako jeden z adwokatów podsądnego, wreszcie przyznaje się, że był wówczas sędzią, przewodniczącym składu. W efekcie Frycz gra jak gdyby trzy role. Ta żonglerka postaciami nie jest całkiem realistyczna, ale sam przebieg procesu zostaje opowiedziany spójnie.

Mamy tezę znaną również z innych filmów sądowych. Zbierając dowody, policja i prokuratura popełnia kardynalne błędy, więc wymiar sprawiedliwości tym bardziej upiera się przy skazaniu tego człowieka. Dostajemy przykłady najróżniejszych manipulacji. Nawet wzięty adwokat, grany przez Jana Englerta, nie korzysta z wszystkich dróg obrony, bo działa w interesie żony oskarżonego, która go wynajęła. Tym bardziej naciąga argumenty prokurator (Artur Barciś). Z kolei przewodniczący sądu i towarzysząca mu sędzia (Bożena Stachura) w badanym romansie widzą swoją historię, bo sami romansują. Ich końcowa presja na skazanie ma uchronić obydwoje przed plotkami, że wybielają kogoś, kto szedł podobną drogą.

To błyskotliwy film, zawierający przenikliwe obserwacje dotyczące ułomności sądowego spektaklu. Odzywały się gniewne głosy prawników, że ta fabuła jest sprzeczna z realiami, podobne do oburzenia w samym filmie, że ktoś śmie podważać werdykt.

Gra aktorów zachwyca precyzją. Frycz nie kreuje tu tak efektownej roli jak wciąż wspominana postać szalonego mordercy Daria z serialu „Ślepnąc od świateł”, ale jak zawsze w jego wykonaniu dostajemy koronkową konstrukcję postaci. Film ma w sobie coś z atmosfery moralitetów Krzysztofa Kieślowskiego. To kino, które mogę oglądać wiele razy, szukając niuansów w detalach. Kino bardzo o czymś.



MÓJ TEATR I WIELKOŚĆ JANA FRYCZA

Aby uczcić zmarłego Jana Frycza, TVP Kultura przypomniała również jego rolę teatralną. W 1995 r. wystąpił w Teatrze Telewizji – u Jana Englerta w „Iwanowie” Antona Czechowa. Wcielił się w postać tytułową. Potem zagrał ją u Englerta jeszcze raz – w 2006 r. w Teatrze Narodowym. Byli świetnym tandemem

W 1982 r. pokazano trzecią inscenizację telewizyjną Englerta: „Irydiona” Zygmunta Krasińskiego. Trwał aktorski bojkot państwowej telewizji na znak protestu przeciw stanowi wojennemu, ale Englert nagrał ten dramat jeszcze w solidarnościowym karnawale. Tytułową rolę zagrał właśnie Jan Frycz. Miał wtedy bardzo romantyczną urodę, grał z natchnionym, romantycznym rozmachem.

Potem wielokrotnie występował w telewizji u Englerta: Hamlet, Trieplew w „Czajce” Czechowa, w latach 90. Marek Antoniusz w „Juliuszu Cezarze” Szekspira czy właśnie Iwanow. Starszy niż bohater, wciąż miał twarz i ton młodzieńca. Tyle że był to młodzieniec wypalony i zgorzkniały, dopuszczający się złych rzeczy, jakby mimowolnie.

„Iwanow” to trzecia sztuka Czechowa, z 1887 r. Mamy tu charakterystyczny dla rosyjskiego lekarza z Ukrainy prowincjonalny mikrokosmos, pełen zniechęcenia, nudy, małych, brzydkich postępków. Iwanow nie chce pomóc chorej na suchoty żydowskiej żonie (wspaniała Danuta Stenka), przestał ją kochać, ma odruchy nieszlachetne. A podejrzewany przez otoczenie o jeszcze gorsze motywy, osuwa się.

Oglądałem tę sztukę, dotykającą kwestii zarówno społecznego upadku pewnego świata, jak i sumienia jednostki, i myślałem, że dzisiejszy teatr za mało opowiada nam o człowieku, wykorzystując tradycyjnie poprowadzoną klasykę. I Englert, i młodszy o 11 lat Frycz byli przez nią ukształtowani, podobnie jak inni aktorzy: Władysław Kowalski, Igor Przegrodzki, Ewa Dałkowska czy Mariusz Benoit. Nikt nie manipulował nimi w imię „uwspółcześniania”. Czasem tęsknię za tamtymi czasami. Mamy świetnych aktorów następnych generacji, nie zgadzam się, gdy ktoś ogłasza, że po takich wielkościach jak Frycz zostaje pustka. Ale reżyserski koncept i dobór repertuaru już nie te.

Fot. I. Sobieszczuk

JESSICA WÄRNBERG*

Miasto papiestwa



„Rzym i papieże, wbrew pozorom, nie są jedynie historyczną ciekawostką. To wiekowe symbole o uniwersalnym znaczeniu, które trwają w zadziwiająco niezmienionej formie, budząc zainteresowanie, sympatię, a nawet skłaniając do odważnych czynów w erze cyfrowej" – pisze Jessica Wärnberg, autorka książki „Rzym miasto Boga", wydanej właśnie przez Znak.

Jessica Wärnberg od lat prowadzi badania w archiwach i bibliotekach, od Watykanu po Dublin i Turyn. Ciekawi ją, w jaki sposób religia i polityka zderzają się i przeplatają, kształtując rzeczywistość.

„Rzym miasto Boga" – opowieść rozwinięta na wiele wieków i kolejnych namiestników Kościoła – przedstawia Wieczne Miasto z nieczęstej perspektywy. Autorka analizuje, jak katolickie zwierzchnictwo ukształtowało to miasto i jego historię.

„Od czasów cesarzy po współczesność poczynania papieży odbijały się echem daleko poza murami Rzymu, przekształcając tkankę starożytnej stolicy" – zauważa Wärnberg. „Przez blisko dwa tysiące lat miasto i papiestwo zrosły się w jedno – spojone słowami, czynami i trawertynem. Ulice pełne barokowych kościołów, słabo oświetlone kapliczki czy portret uśmiechniętego, niedawno zmarłego papieża, wiszący za barem; nawet dziś wizualna siła tego związku jest tak doskonała, jakby zaplanowano go z góry" – dodaje.

„Rzym stał się głównym ośrodkiem zachodniego chrześcijaństwa dzięki jednemu niepozornemu przybyszowi. Jego śmierć w murach miasta rozpaliła żarliwość zwykłych ludzi" – pisze w książce.

„Paradoksalnie to, że Rzym pozostawał pogański, wzmocniło jego chrześcijański charakter. Gdy mężczyźni i kobiety ginęli za wiarę na arenach i ulicach, chrześcijanie głosili, że krew męczenników uświęca miasto. Można odnieść wrażenie, że chrześcijański Rzym narodził się w wyniku historycznego zbiegu okoliczności. Pierwsi papieże dopilnowali jednak, by o tym przypadku nie zapomniano. Historie życia i śmierci chrześcijańskich męczenników, z Piotrem na czele, wyryto, wyrzeźbiono i namalowano w rozmaitych zakątkach metropolii. Dzieje Kościoła wrosły w tkankę Rzymu niczym przejmujący dramat, w którym spotykają się niebo i ziemia [...]. W sercu tej niezwykłej historii trwają papieże – totemiczni i niewzruszeni. Ich urząd przetrwał, choć monarchie, dyktatury i całe imperia odchodziły w niebyt".

Wärnberg przypomina, że to renesansowy mistrz Giotto di Bondone nazwał Rzym „miastem ech", a ona tak wplata to określenie w swoją opowieść: „Ostatnie tchnienie imperium z pewnością wciąż pobrzmiewa w podwalinach rzymskiego Kościoła, jednak u źródeł potęgi chrześcijańskiego Rzymu leży echo słów, które Chrystus skierował do Piotra. Wysoko w kopule watykańskiej bazyliki na złotym otoku widnieją dostojnie słowa Tu es Petrus [...] wypowiedziane niegdyś w Jerozolimie. Od pierwszych wieków po śmierci Piotra aż po wybór papieża Franciszka w 2013 r. biskupi Rzymu stają w jednym szeregu zapoczątkowanym przez Piotra. [...] Dzieje Rzymu i jego biskupów to splot wielu narracji, które przenikają się nawzajem, a także łączą z dziejami Kościoła chrześcijańskiego i całego świata [...]".



Te narracje warto prześledzić wraz z Jessicą Wärnberg, bo w dużej mierze definiują także współczesne, globalne interakcje.

Fot. Materiały prasowe

Jolanta Gajda-Zadworna

** Historyczka, badaczka, autorka książki „Rzym, miasto Boga"*

eprasa.pl 69fe0b3f94



SŁODKO-SŁONY

Twarogowy chleb

ANNA MONICKA

Ostatnio dostałyśmy od sąsiada chleb twarogowy z płatkami owsianymi i ziarnami słonecznika. Sąsiad dużo podróżuje, bo jest trenerem golfa. Praca wymaga od niego doskonałej kondycji, więc wziął się za siebie i kiedy tylko pokazuje się w domu, robi zapasy – w wielkich garach gotuje rewelacyjne chili con carne albo sosy do spaghetti, a także z zapałem piecze zdrowe chlebki. Zapełnia zamrażarkę, żeby rodzina miała co jeść w czasie, gdy on uczy klientów machać kijem i znika na kolejne tygodnie.

Czasem dzieli się z nami nadwyżką i zawsze pyta o opinię. Twierdzi, że odkąd zaczął się bawić w piekarza, schudł kilka kilogramów i przestał puchnąć w talii. To pewnie zasługa braku mąki – mówi. Chlebek rzeczywiście jest wart grzechu – ładnie pachnie, doskonale smakuje i już jedna kromka zaspokaja głód na kilka godzin.

Przepadam za płatkami owsianymi – od wielu lat robię z nich ciasteczka według starego przepisu, który moja babcia wycięła kiedyś, jeszcze dobrze przed wojną, z jakiegoś poradnika dr. Oetkera. Gdy byłam mała, robiłyśmy je z mamą, a teraz tradycję podchwyciła moja córka, która musi bardzo uważać na to, co je, bo cierpi na nietolerancję glutenu, a ciasteczka robi się bez mąki pszennej. Kupujemy więc płatki z certyfikatem, by uniknąć przypadkowych domieszek pszenicy. Ja mielę część na kremowe poranne zupy (od kilku dni mam ochotę na rozgrzewające posiłki, więc chyba nadciąga jesień), a ona, zachęcona przez sąsiada, zabrała się za pieczenie owsianych ciast i chleba.

Przepis jest bardzo prosty. Mielimy 300 g płatków i dodajemy do półtłustego twarogu (0,5 kg), utartego z 3 dużymi jajkami. Dodajemy oczywiście płaską łyżeczkę soli, łyżeczkę sody (bo w proszku bardzo często jest mąka pszenna), trochę curry do smaku i ziarna – słonecznik oraz sezam (sąsiad dodaje do swojego odrobinę mąki z orzechów laskowych zamiast curry). Jeszcze raz blendujemy. Foremkę wykładamy papierem do pieczenia, przekładamy masę chlebową i wkładamy do piekarnika, nagrzanego do 180 st., ustawionego na tryb góra-dół, i pieczemy ok. 45 min. Ten chlebek nie wyrasta, zostanie mniej więcej takiej wysokości, jaką ma ciasto po włożeniu do formy, więc keksówka nie może być za długa. Warto spróbować.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Mitu mitu

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

W publikacji prezentującej odkrycia dokonane w Brazylii przez młodego niemieckiego przyrodnika George'a Marggrafa, który w 1637 r. popłynął do tego kraju, znalazł się rysunek przedstawiający sporego, ciemno upierzonego ptaka, wyglądającego jak kurak o długich nogach, długiej szyi i dziwnym dziobie. Publikacja została wydana kilka lat po śmierci Marggrafa, który po latach spędzonych na eksplorowaniu brazylijskiej puszczy popłynął do Angoli, gdzie w 1644 r., wkrótce po przybyciu, zmarł na malarię. Ponad 100 lat później na podstawie zebranych informacji gatunek został opisany przez Linneusza. Znana jest także rycina przedstawiająca tego ptaka, wykonana w pierwszej połowie XIX w. Mimo to istnienie neotropikalnego zwierzęcia było podawane w wątpliwość.

Być może po prostu nikt – a przynajmniej nikt z osób zajmujących się naukowym opisem przyrody – nie dotarł do tego odosobnionego zakątka Brazylii, w którym ów ptak występował.

Najprawdopodobniej tak właśnie było, ponieważ w 1951 r. ptaka z dawnych rycin jednak odnaleziono – czy też oficjalnie potwierdzono jego istnienie. Była to niewielka, licząca kilkadziesiąt osobników populacja w nizinnym lesie tropikalnym w brazylijskim stanie Alagoas. Ptak był endemitem ograniczonym do małej powierzchni i o ile wiadomo, nigdzie indziej nie występował.

Ostatecznie – po raz drugi po Linneuszu uznany oficjalnie jako odrębny gatunek – otrzymał nazwę łacińską: *Mitu mitu* (w języku polskim czubacz garbonosy). Na wolności obecnie nie występuje, wymarł, natomiast ok. sto kilkadziesiąt ptaków przebywa w hodowlach. Nie wiadomo, czy uda się odtworzyć dziką populację czubacza garbonosego ani czy w ogóle przetrwa jako gatunek.

Historia tego ptaka, sama w sobie interesująca powabem XVII-wiecznej Brazylii i jej wciąż wówczas nieogarnionych lasów, pokazuje również, jak cennym źródłem naukowej informacji przyrodniczej bywają stare ryciny czy obrazy, nawet jeżeli przedstawiają zwierzęta nieznane, nieopisane, przeoczone.

eprasa.pl 69fe0b3f94



3 MIŁOŚCI

Europa bez Europejczyków



ROBERT TEKIELI

„Jarzeniówki bzyczały jak odległe wspomnienie po urazie głowy” – lubię literaturę użytkową ze słownymi błyskotkami. Krytyk zapyta: jak można dziś używać porównań? Można, jeśli ma się talent. Kim są krytycy literaccy? Niespełnionymi pisarzami. Stereotyp? Oczywiście. Nie da się żyć bez kondensowania informacji. I tu pojawia się kwestia – czy literatura użytkowa musi być trzeciorzędna? Właściwie nie da się odpowiedzieć na to pytanie, ponieważ zniknęły obiektywne kryteria literackie – dziś nie ma już formy życia, która nie byłaby podporządkowana globalnemu starciu. Są tylko dwie strony. Wszystko, co jest poza, jest poza. Nie liczy się. Nikt tego nie widział, nikt o tym nie wie. Dwa potężne medialne wiry wsysają wypowiedzi, cytaty, książki, audycje, filmy, programy i wypluwają, kiedy zostaną zużyte.

Swego czasu dałem pożywienie takiemu wirowi. Napisałem na platformie X zdanie o Donaldzie Tusku, które po odcięciu kontekstu dało się użyć. Obudziły się tam-tamy. Operatorzy farm trolli poczuli krew, ich pracownicy zostali poszczuci. SokzBuraka, Ośrodek Monitorowania Czegoś Tam i tym podobne instytucje nagłośniły sprawę. Pięciominutowa sensacja. Hur-dur, katolik chce śmierci Tuska. Rozpoczął się rytualny taniec.

Śmieszne? Wuj przestał się do mnie odzywać. Zapytałem, czy chce poznać fakty i kontekst. Odpowiedział, że nie. Sztucznie wywołane emocje zwyciężyły nad racjonalnością. Rzeczywistość okazała się mniej ważna od rytmu tam-tamów.

W postliberalnym świecie odrzuca się najważniejszą funkcję języka. Słowo zostało oderwane od rzeczy, co otwiera pole dla inżynierii społecznej.

Najogólniej: brak panowania nad emocjami sprawia, że człowiek reaguje impulsywnie i jest podatny na manipulację. Ktoś, kto nie panuje nad własnym gniewem czy lękiem, próbuje nadmiernie kontrolować otoczenie i rzeczywistość, by poczuć się bezpiecznie. Całego świata nie da się kontrolować, więc człowiek sterowany emocjami odmawia konfrontacji z faktami, które zaburzają jego rozumienie/nierozumienie świata. Ponieważ rzeczywistości nie da się zmienić samymi emocjami czy myśleniem życzeniowym, próba narzucenia światu własnej, emocjonalnej wizji staje się ucieczką od odpowiedzialności. I na tym polu działają politpsycholodzy, inżynierowie społeczni – jeśli demos wyrzeka się odpowiedzialności, ktoś musi ją zagospodarować.

Zapamiętałem pewien eksperyment z kaczkami. W jednym pomieszczeniu umieszczono żywą kaczkę i kacząt ka, w drugim oprócz kacząt ek była kaczka-robot, która regularnie dziobała swoje małe. Po jakimś czasie dzieci dobrej kaczej mamy zaczęły się powoli usamodzielniać, by w końcu rozpocząć własne życie. Kacząt ka z drugiego pomieszczenia, mimo że były dotkliwie dziobane, nie chciały opuścić swej prześladowczyni. Zachowywały się, jakby pozostały małymi pisklakami i dalej znosiły kary

Fot. Ververidis Vasilis/Shutterstock.com

eprasa.pl 69fe0b3f94

cielesne. Okazało się, że silniejszą więź z matką zachowały krzywdzone kaczki. Im mocniej były krzywdzone, tym bardziej uzależniały się od bezlitosnej matki.

Tukidydes już prawie 2,5 tys. lat temu zauważył, że większość niespecjalnie troszczy się o znalezienie prawdy i jest raczej skłonna przyjmować gotowe opinie. Gdy próba przejęcia władzy politycznej w 1968 r. zakończyła się klęską, wiedzione tą myślą ostatnie pokolenie europejskich rewolucjonistów rozpoczęło zwycięską walkę o uniwersytety i media. Lewicowe lobby narzuciło Zachodowi przekonanie, że zabójstwo dziecka nie jest zabójstwem, a prawem kobiety do własnego brzucha. W konsekwencji każdego dnia w największym kraju Zachodu morduje się dziewięciomiesięczne dzieci, doprowadzając do porodu główki, którą lekarz rozbija, a następnie specjalnym urządzeniem wysysa mózg ofiary. Liberalno-lewicowi barbarzyńcy przekonali Europejczyków, że depresja jest wystarczającym powodem do eutanazji 24-letniej dziewczyny, że lekarze powinni decydować o zabijaniu chorych dzieci, w tym noworodków podejrzewanych o niską „jakość życia" w przyszłości, nie mówiąc o 80-letnich staruszkach. Demoniczne poglądy. Dosłownie.

W Detroit prowadzone są publiczne nabożeństwa na cześć szatana. Polski portal o satanistycznym posągu: „nie sposób chyba odmówić mu monumentalności oraz swoistego piękna". Autor artykułu rozmyśla o satanizmie i konkluduje: „Prostych odpowiedzi brak". Lewicowa inżynieria społeczna zdołała wykorzystać do swych celów nawet antysystemowy satanizm.

Od lat 70. w Wielkiej Brytanii pedofile prezentowali się jako uciskana grupa seksualna, a naukowcy z Uniwersytetu w Cambridge jakiś czas temu ogłosili, że pedofilia jest „normalna dla mężczyzn". Sąd w Kentucky skazał na rok więzienia urzędniczkę stanu cywilnego, która nie chciała udzielać ślubów gejom, a w Holandii sąd przyznał pięcioosobowej „rodzinie" (trzech homoseksualistów i dwie lesbijki) prawo do posiadania dzieci. Dzięki in vitro rodzinny pięciokąt spodziewa się potomka.

Zachodnie prawo ma zezwalać na to, by kilkuletnie dzieci mogły prosić o „zmianę płci", a homoseksualne pary miały prawo, by adoptować małe dziewczynki i małych chłopców.

Niedawno duży rozgłos zyskał list otwarty Heather Barwick, kobiety wychowywanej przez dwie lesbijki. Pisze, jak bardzo poraniła ją ideologia głoszona przez to środowisko. Nie mogła mówić o swej tęsknocie za ojcem. Zawsze go jej brakowało. A od „matek" słyszała, że mężczyzna jest zbędny. Heather pisze tak: „Nieobecność ojca stworzyła we mnie wielką pustkę. Dorastałam otoczona przez kobiety, twierdzące, że nie chcą lub nie potrzebują mężczyzn. A jednak jako mała dziewczyna każdego dnia pragnęłam taty. To dziwne i kłopotliwe odczuwać tak głębokie pragnienie posiadania taty, gdy żyje się w świecie przesyconym negacją podobnych potrzeb. Gdy mówimy o ranach zadanych nam przez wychowanie homoseksualne, albo nas ignorujecie, albo oskarżacie o nienawiść. Dopiero teraz, gdy doświadczam wzajemną miłość moich dzieci i ich ojca, doceniam piękno i mądrość tradycyjnej rodziny".

W Szwecji muzułmanin za gwałt na 13-letniej dziewczynce dostał 22 dni prac społecznie użytecznych. Te 180 godzin jest największym oskarżeniem europejskiej cywilizacji, jakie kiedykolwiek ogłoszono. Jeśli jakiś gatunek sam się nie broni, musi wymrzeć

Rewolucjoniści włączali do swej bazy społecznej proletariat, młodzież, mniejszości seksualne. Dziś wykorzystują także islam.

We Francji do wyburzenia przygotowano ponad 2 tys. kościołów. Jednocześnie francuskie państwo wspiera budowę 1,2 tys. meczetów. Muzułmanie w Dearborn w stanie Michigan nie przestają organizować manifestacji, domagając się zaprowadzenia prawa szariatu. Islamski uczony w Chicago oświadczył: „Chcemy muzułmanów w policji, Pentagonie, Białym Domu, Senacie i Kongresie. Potrzebujemy muzułmanów na wszystkich stanowiskach przywódczych, abyśmy mogli zmienić świat". Jego studenci uważają Stany Zjednoczone za swojego głównego wroga i jedyną przeszkodę, która uniemożliwia im zdominowanie świata.

W Holandii z państwowego socjalu żyje prawie 70 proc. imigrantów z Somalii, 62 proc. Syryjczyków, 40–57 proc. Irakijczyków, Afgańczyków i Erytrejczyków, 17 proc. Turków, 3 proc. Holendrów i 2 proc. Polaków. Przybysze w Londynie wprowadzili swój obyczaj obrzezania kobiet, ale obyczaju ciężkiej pracy nie chcą zaakceptować. Na ponad 500 mln mieszkańców Europy 44 mln to muzułmanie. Z reguły mają kilkakrotnie więcej dzieci. Istnieją szacunki, że w tej chwili we Francji już 60–70 proc. urodzeń ma miejsce w rodzinach muzułmańskich.

Ideę sojuszu islamu z globalną lewicą jasno wykłada w krótkiej rolce czy shorcie północnoafrykański przestępca: „Nigdy nas stąd nie wyrzucicie, nie będzie żadnej remigracji, ponieważ lewicowi politycy nas kochają i zawsze będą nas chronić! We Włoszech jesteśmy nietykalni i robimy, co chcemy".

Plan – Europa bez Europejczyków – precyzuje Saliha Raiss, muzułmańska polityk z Molenbeek: „Ci, którzy nie akceptują kobiet w hidżabach lub burkach, i ci, którzy nie akceptują islamu, mogą odejść!". Europejczycy mogą odejść z Europy.

W Szwecji muzułmanin za gwałt na 13-letniej dziewczynce dostał 22 dni prac społecznie użytecznych. Te 180 godzin jest największym oskarżeniem europejskiej cywilizacji, jakie kiedykolwiek ogłoszono. Jeśli jakiś gatunek sam się nie broni, musi wymrzeć.

Toalety unisex wspólne dla wszystkich płci, lecz sale modlitewne islamskie oddzielne dla mężczyzn i kobiet. To nie jest schizofrenia – to zaplanowane działanie.

Europa z głębokim urazem głowy. Cywilizacja odcięta od swojego źródła nie ma sił, aby się bronić.

eprasa.pl 69fe0b3f94

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Zajrzyjmy w paszporty



www.wojciechreszczynski.pl

W 1939 r. Polska została zaatakowana przez cztery wrogie nam siły. Wywołując II wojnę światową i uruchamiając największą w nowożytnej historii Europy machinę śmierci, Niemcy ruszyły na Polskę z zachodu, północy i południa. Zostały wsparte przez Słowację, która 1 września zaatakowała od południa rejon Tatr i Beskidów. Z kolei 17 września 1939 r., na mocy tajnego porozumienia militarnego zawartego w pakcie Ribbentrop-Mołotow, Związek Radziecki zajął wschodnie tereny Rzeczypospolitej. Czwartą agresywną siłą była niezwykle mocno rozbudowana i wroga Polsce tzw. piąta kolumna: Niemcy i sowieccy dywersanci, a także Ukraińcy spod znaku OUN, którzy organizowali dywersję na tyłach polskich wojsk. Z rozpadu Polski w pewnym sensie skorzystała Litwa. Choć we wrześniu 1939 r. ogłosiła neutralność, została zajęta przez Armię Czerwoną, ale już w październiku otrzymała od Stalina Wilno i tak pozostało do dziś.

W książce Krzysztofa Worobca „Zagubione wioski Puszczy Piskiej" przeczytałem o mało znanym epizodzie z pierwszych dni wojny na przygranicznych terenach Polski z Prusami Wschodnimi. Już pod koniec sierpnia 1939 r. tuż przy granicy niemiecko-polskiej, koło wsi Wincenta oraz Kolna, stacjonowali żołnierze polskiej 18. Dywizji Piechoty, będącej częścią Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Narew". Gdy dotarła do nich wiadomość o wybuchu wojny, „silne patrole polskie zaczęły przekraczać granicę" – wspomina ppor. Stefan Kolek. Starli się z niemiecką strażą graniczną (Grenzschutz) i zajęli wieś Dłutowo oraz Jeże. „Okupacja" trwała zaledwie dwa dni, gdyż Niemcy rzucili do ataku zmechanizowaną kompanię policji. Zginęło dwóch polskich żołnierzy, kilku zostało rannych.

We wrześniu 1939 r. istniała jeszcze piąta siła, która walnie przyczyniła się do naszej wrześniowej klęski. Byli nią nasi sojusznicy: Francuzi i Brytyjczycy. 12 września 1939 r. na konferencji w Abbeville zdecydowali o wstrzymaniu ofensywy lądowej. W tym czasie Wojsko Polskie toczyło jeszcze zacięte walki z Niemcami na linii Bzury. Ich zdrada i złamanie podpisanych wcześniej umów o wspólnym działaniu w zagrożeniu ze strony Niemiec przyczyniły się do upadku Polski i okupacji prawie połowy Europy.

Niezwykle ceniony przeze mnie prof. Janusz Kazimierz Zawodny, autor pierwszej książki w języku angielskim o zbrodni w Katyniu („Death in the Forest") oraz o powstaniu warszawskim („Nothing but Honour. The Story of the Uprising of Warsaw"), wykładowca amerykańskich i kanadyjskich uniwersytetów, a w czasie powstania warszawskiego dowódca plutonu na Starym Mieście (ps. Miś), w książce „Motyl na śniegu" pisał: „Na naszym żywym ciele trzech ludzi wykroiło nam granice. Już po wojnie, w Waszyngtonie, Mikołajczyk mówił mi, a znał tych trzech ludzi osobiście, że w jego opinii najbardziej mądrym, przebiegłym i wyrachowanym był Stalin. Mówiąc o swoich londyńskich ministrach, powiedział: – Panie profesorze, Stalin wiedział więcej, był lepiej poinformowany niż moi ministrowie w Londynie". Pochowany na Powązkach Janusz Zawodny był jednym z tych wielu, którzy walczyli o wolność naszego kraju z najwyższym poświęceniem i z takim samym heroizmem zabiegali o prawdę na temat Polski i Polaków. Wrześniowa rocznica wybuchu wojny jest też po to, aby o nich pamiętać – o wszystkich Polakach, którzy dobrze zasłużyli się Polsce.

Dlatego zajrzyjmy również do naszych paszportów. Myślę tu o tych beznamiętnych i pozbawionych wiedzy młodych z Miasteczka Wilanów w Warszawie, którym polskie sprawy są w zasadzie obojętne, chyba że dotyczą tylko ich samych, o czym można się było przekonać z sondy dla telewizji wPolsce24. W paszportach jest podstawowa wiedza o początkach niepodległego państwa polskiego, o tych, którzy się sprawdzili w jej historycznych zmaganiach. Ten dokument to także zasługa ośmiu lat rządów prawicy patriotycznej, niepodległościowej. Kiedy napisałem, że rządy PiS w latach 2015–2023 to był najlepszy dla Polski okres w powojennej historii, zwaliły się na mnie kalumnie. Ale czy inna formacja polityczna zadbałaby o to, aby ta wiedza była naszą wizytówką w świecie? Pojawiła się postać Józefa Piłsudskiego, twórcy odrodzonego państwa polskiego, widzimy dowództwo I Brygady Legionów, zdjęcie orzełka legionowego, godło II Rzeczypospolitej, do której tzw. III RP nie chciała nawiązać. Są Ignacy Jan Paderewski, Roman Dmowski, Wincenty Witos, Wojciech Korfanty, Ignacy Daszyński, Gabriel Narutowicz, Eugeniusz Kwiatkowski – twórca Centralnego Okręgu Przemysłowego – oraz Antoś Patrykiewicz, jeden z Orląt Lwowskich, a także odznaka Korpusu Ochrony Pogranicza, który heroicznie walczył we wrześniu 1939 r., i zdjęcie Grobu Nieznanego Żołnierza w Warszawie. Gdyby nie rządy zjednoczonej prawicy, które na osiem lat zatrzymały recydywę komuny, firmowanej dziś przez Tuska z Czarzastym, mogłoby być i tak, że w paszportach zobaczylibyśmy podobizny Bieruta, Bermana, Cyrankiewicza, Gierka, Jaruzelskiego i Rakowskiego, a z obcych – Różę Luksemburg czy Antonia Spinellego, dziś głównego ideologa UE.

eprasa.pl 69fe0b3f94

Koniec ery stalowych kolosów?



Andrzej Rafał Potocki

Czołgi masowo znikają z linii frontu na Ukrainie. Według publikacji „The New York Times" nawet te najnowocześniejsze, jak Leopard 2 A6 czy Abrams M1A1, mają poważny kłopot z obroną przed dronami. Potwierdza to gen. Ołeksandr Syrski, obecny głównodowodzący SZU. „Praktycznie w ogóle nie korzystamy z pojazdów opancerzonych" – stwierdza. „Nasuwa się pytanie, jak możemy zneutralizować tę przewagę dronów i dać naszej broni pancernej drugie życie". Choć zachodnie tanki o niebo przewyższają kacapskie konstrukcje, „przejście ze starych T-64 na Leoparda było jak przesiadka do Mercedesa czy BMW, to obecnie jeździmy nimi niezmiernie rzadko, głównie na misje holownicze" – twierdzi Mechan, ukraiński czołgista. W desperacji widzi siebie bardziej jako pilota dronów niż tankistę. Czyżby na współczesnym polu walki nastąpił koniec ery stalowych kolosów? Raczej nie, o ile naukowcy nie skonstruują skutecznej obrony przeciwdronowej opartej na sztucznej inteligencji. Całkiem poważnie rozważa się koncepcję konstrukcji czołgów bezzałogowych. Na pewno lepiej, by zamiast ludzi zabijały się masowo bezduszne maszyny.

Keith Kellogg, były specjalny wysłannik administracji USA ds. Ukrainy i generał porucznik sił specjalnych w stanie spoczynku, wypowiedział znamienną opinię o Putinie i jego rządzącej zgrai. W wywiadzie dla portalu Kyiv Independent żołnierz i dyplomata ostrzega przed ustępstwami wobec Moskwy i porównuje kremlowskiego kierownika do niemieckiego Gröfaza (czyt. grefaca). To akronim od słów Größter Feldherr aller Zeiten („Największy Dowódca Wszechczasów"). Po raz pierwszy nazwał tak Hitlera marszałek polny Wilhelm Keitel, szef sztabu i wazeliniarz, będąc pod wrażeniem sukcesu kampanii francuskiej 1940 r. Po klęsce stalingradzkiej określenie służyło do wyśmiewania wodza, jego megalomanii oraz nazistowskiej skłonności do tworzenia skomplikowanych skrótów urzędowych, było potajemnie używane w dowcipach i satyrze przez żołnierzy Wehrmachtu oraz cywilów zmęczonych wojną. Ale *ad rem*. Zdaniem byłego doradcy Donalda Trumpa każdy, kto wierzy, że ruskie bydlę zadowoli się zajęciem Donbasu, popełnia błąd, powtarzając tragiczne pomyłki państw Zachodu z przeszłości. Kellog przypomniał sławny układ monachijski z 1938 r., w którym mocarstwa zachodnie zgodziły się na zajęcie czeskich Sudetów przez III Rzeszę w zamian za obietnice pokoju. Rok później wybuchła II wojna światowa. Monachium stało się synonimem tzw. polityki appeasementu, czyli ustępstw. „Martwi mnie, że skończymy z III wojną światową" – mówił generał, jednocześnie stwierdzając, że Putin mógłby zakończyć wojnę „w 5 minut", gdyby tylko miał taką wolę. Kellogg odrzuca również narrację o rzekomym rychłym zwycięstwie Kremla. Zwrócił uwagę na ogromne straty wojsk Moskwy oraz na to, że nie udało im się zdobyć kluczowych celów strategicznych, takich jak Kijów, Charków czy Odessa. „Wielu ludzi mówi, że Putin odnosi sukcesy. Nie sądzę. Nie sądzę, żeby mu się udało" – podsumował Kellogg. Czyli mówi to, o czym piszemy, odkąd zaczęły pojawiać się próby dogadania się Waszyngtonu z Moskwą, choć nie sądzimy, by czytał naszą rubrykę.

Zkolei Mychajło Fedorow, skonfliktowany z prezydentem Wołodymyrem Zełenskim były ukraiński minister obrony, uważa, że Ukraina wciąż ma „wielkie szanse" na zwycięstwo, ale pilnie potrzebuje planu zakończenia wojny. Polityk dodał, że potrzebne działania są wstrzymywane przez „zakorzenioną korupcję, klientelizm i brak niezależności politycznej w instytucjach rządowych". Fedorow przypomniał, że był głównym inicjatorem trwającej kampanii nalotów dronowych dalekiego zasięgu na cele energetyczne, logistyczne i wojskowe Federacji Moskiewskiej. „Istnieją technologie, które pozwoliłyby na całkowite zatrzymanie Rosjan" – podkreślił, dodając, że Ukraina nie używa ich „z powodu braku wizji". Fedorow skrytykował marnowanie potencjału i nieefektywność ukraińskiego państwa, które – jego zdaniem – „działa na 5 proc.". Prezydent Zełenski stwierdził ostatnio, że w budżecie obronnym Ukrainy na 2026 r. brakuje 27 mld dol. Fedorow skomentował dla Agencji Reutera, że nie zna źródła tej kwoty. „Według naszych planów deficyt do końca roku miał wynosić ok. 5 mld dol. Może plany się zmieniły i pojawiły się nowe kwoty" – uzupełnił. A u nas, mimo że nie prowadzimy wojny, deficyt budżetu państwa po siedmiu miesiącach 2026 r., wyniósł 141,1 mld zł! Brawa dla rządu Tuska.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 69fe0b3f94

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Matka, pustka i cisza



Aleksander Nalaskowski

Są miejsca, w których pomnik wydaje się czymś naturalnym. Stoi na rynku, przed kościołem albo na skwerze. Ludzie mijają go codziennie, zatrzymują się, robią zdjęcia, składają kwiaty. Pomnik żyje wtedy razem z przestrzenią, w której został postawiony.

A co się dzieje, kiedy ogromna figura Matki Bożej staje na kompletnym pustkowiu?

Roman Karkosik ufundował monumentalną figurę Maryi w miejscu, które przynajmniej na pierwszy rzut oka nie potrzebuje żadnego pomnika. Nie ma tu tłumu przechodniów ani reprezentacyjnego placu. Jest przestrzeń, cisza i figura, która zdecydowanie domaga się odpowiedzi na pytanie: dlaczego właśnie tutaj?

Religijność nie potrzebuje przecież uzasadnienia w kategoriach użyteczności praktycznej. Człowiek wierzący stawia krzyż czy figurę świętego nie dlatego, że zwiększy to wartość gruntu albo poprawi estetykę okolicy. Ale wielka figura w pustym miejscu mówi coś więcej niż niewielka kapliczka przy drodze. Skala ma tu znaczenie. Monumentalność jest ważnym komunikatem. Ogromna postać Maryi nie tylko przedstawia Matkę Bożą – ona zajmuje przestrzeń. Jest widoczna z daleka. Nie pozwala przejść obok niej obojętnie. I właśnie dlatego pustkowie może być tutaj ważniejsze niż sama figura.

Figura Maryi to znak szczególny. Nie jest przecież pomnikiem fundatora. Nie przedstawia jego twarzy, nie przypomina o jego zasługach, na cokole nie ma jego nazwiska. A jednak wszyscy wiedzą, że za jej powstaniem stoi konkretny człowiek. To ciekawy paradoks. Fundator usuwa siebie z pierwszego planu, a jednocześnie właśnie dzięki monumentalności dzieła staje się jego niewidzialnym bohaterem. Maryja ma patrzeć ku niebu, ku ludziom, ku przestrzeni. Lecz pytanie o to, kto ją tutaj postawił, pozostaje.

Ale czy to źle? Niekoniecznie. Być może jest to właśnie najbardziej ludzkie w całym przedsięwzięciu. Człowiek chce wyrazić coś, co uważa za ważne. Jedni piszą książki, inni zakładają fundacje, jeszcze inni budują świątynie. Każdy z tych gestów może być jednocześnie aktem wiary, hojności i potrzebą pozostawienia śladu.

Można postawić figurę wysoką na kilkanaście metrów, można uczynić ją widoczną z bardzo daleka, można wydać na nią ogromne pieniądze. Ale żadna ilość betonu, stali czy kamienia nie odpowie za człowieka na pytanie, czym jest wiara. Monument może być jej symbolem, lecz nie jest w stanie zostać jej substytutem.

I tutaj pustkowie staje się wręcz brutalnie szczere. W mieście figura zostałaby natychmiast oswojona przez codzienność. Obok byłyby sklep, parking, przystanek, reklama, samochody. Ludzie przyzwyczailiby się do niej po kilku tygodniach. Na pustkowiu nie ma takiej możliwości. Figura pozostaje samotna. Dzięki temu nie jest dekoracją, lecz znakiem. Można ją odczytać jako próbę oswojenia pustki. A pustka jest przecież jednym z najważniejszych doświadczeń współczesnego człowieka. Żyjemy w świecie pełnym komunikatów, obrazów i informacji, a jednocześnie wielu ludzi skarży się na poczucie bezsensu. W takim kontekście ogromna figura stojąca pośród niczego może być odczytana niemal symbolicznie: oto człowiek stawia znak tam, gdzie nie ma jeszcze żadnej opowieści.

Figura Maryi stanowi punkt odniesienia, nie tylko w sensie geograficznym. Może być punktem odniesienia dla tych, którzy wierzą. Dla innych będzie świadectwem prywatnej religijności fundatora, jeszcze inni zobaczą w niej przejaw megalomanii albo osobliwej potrzeby zamanifestowania własnych przekonań.

Bo przestrzeń publiczna nigdy nie jest całkowicie neutralna. Gdy ktoś stawia w niej ogromny symbol religijny, mówi coś nie tylko o swojej wierze, lecz także o tym, jak wyobraża sobie wspólnotę i miejsce religii w świecie. Dlatego takie realizacje budzą emocje. Jednych zachwycają, innych drażnią. Jedni widzą w nich świadectwo wiary, inni – demonstrację siły i pieniędzy.

Najciekawsze jest jednak to, że figura na pustkowiu nie ma jednego, ostatecznego znaczenia. Znaczenie nadają jej ludzie. Dla pielgrzyma może być znakiem obecności Maryi. Dla mieszkańca okolicy – punktem orientacyjnym. Dla turysty – ciekawostką. Dla krytyka architektury – przykładem współczesnej monumentalności religijnej. Dla sceptyka – pytaniem o granice prywatnego gestu w przestrzeni wspólnej. Dla fundatora – przede wszystkim wyznaniem wiary i wotum za uzdrowienie.

Można zadać pytanie: czego właściwie potrzebujemy, żeby nadać sens pustej przestrzeni? W gruncie rzeczy odpowiedź zależy od tego, czego człowiek szuka. Dla jednego pustkowie jest tylko pustkowiem, dla drugiego może stanowić miejsce spotkania z Bogiem. Ogromna figura Matki Bożej może być zatem próbą powiedzenia: „To miejsce nie jest niczyją pustką. Tutaj chcę postawić znak tego, w co wierzę".

I choć będą trwały dyskusje o smaku, proporcjach, kosztach czy lokalizacji, trudno odmówić temu gestowi jednego: wyrazistości. W świecie, w którym coraz więcej rzeczy jest tymczasowych, figura ma być trwała. W świecie, w którym wszystko konkuruje o uwagę, ma być widoczna. W świecie pełnym pytań ma być odpowiedzią – przynajmniej dla tych, którzy chcą ją odczytać.

A może jednak jej najważniejszym znaczeniem jest właśnie to, że zmusza nas do zadawania pytań?

Aby ją zrozumieć, trzeba ją zobaczyć na własne oczy. Nie wystarczy wiedzieć, jak jest wysoka czy z ilu kilometrów można ją dostrzec. Nie wystarczą relacje w telewizji. Trzeba się do niej zbliżyć i dotknąć.

Ogromna Maryja pośród niczego przypomina nam o czymś, o czym współczesny człowiek często zapomina: nie każda przestrzeń musi być zagospodarowana, by coś znaczyć. Czasem wystarczy, że postawimy w niej znak.

eprasa.pl 69fe0b3f94

***Michał Korsun** prezentuje:*
Polski rząd chce ukarania właściciela Facebooka



Wycinki z przeszłości

Powódź w Wilnie z 1931 r. doprowadziła do niezwykłego odkrycia – w podziemiach katedry wileńskiej przypadkiem odkryto zapomnianą kryptę królewską. Jak donosił „Ilustrowany Kuryer Codzienny", spoczywały w niej szczątki króla Aleksandra Jagiellończyka oraz królowych Barbary i Elżbiety. Na zdjęciu z gazety widać wnętrze krypty, ślady wody oraz koronę królowej Elżbiety. Sensacyjne odkrycie zelektryzowało całą Polskę.

(sp)


ILUSTROWANY
KURYER CODZIENNY
Rok XXII. Kraków, czwartek 5 listopada 1931. Nr. 306.
PAPIEROS UPRZYJEMNIA CHWILE
Szczątki królewskie w krypcie katedry wileńskiej.
Szczątki królewskie w krypcie katedry wileńskiej.
Czeskie słup
Zofja Kossa

Z WOLEJA

Przepraszam, czy tu biją?



Ryszard Czarnecki

Piłkarski mundial niby zakończył się dwa miesiące temu, ale dla niektórych trwa. FIFA dopiero co ogłosiła kary dla krewkich piłkarzy Argentyny, którzy po przegranym finale z Hiszpanią od futbolu płynnie przeszli do sportów walki. Latynosi pokazali, że są lepsi od swoich kolonizatorów w zapasach, MMA i „wolnej amerykance" (południowej, rzecz jasna). Podczas meczu o złoto to piłkarze z Europy chwycili przeciwnika za gardło, ale już po gwizdku kończącym zawody to Hiszpan Erik García został chwycony za gardło dosłownie. W finale Półwysep Iberyjski powalił na kolana Amerykę Łacińską, ale po meczu to zwycięskiego Gaviego powalił na kolana brutal Leandro Paredes. Dostał za to karę w wysokości 90 tys. dol. i zawieszenie na 10 meczów reprezentacji o punkty. Co do kary finansowej, to 84-krotny reprezentant Albicelestes zapewne zarobi na nią w jego Boca Juniors w kilka dni. Co do zawieszenia, to działacze z Buenos Aires (doprawdy piękne miasto, wiem, co piszę) chcą, aby dotyczyła ona również meczów towarzyskich. Spryciarze. To by nie zabolało trzykrotnych mistrzów świata tak bardzo. A gdzie Paredes nauczył się bić? W Zenicie Sankt Petersburg, w którym kopał piłkę i rywali?

Ukarano również Nahuela Molinę (też 90 tys. dol. oraz zawieszenie na 7 meczów), a także Thiago Almadę. Ten ostatni nie przyłożył się do bijatyki, bo dostał tylko 30 tys. dol. kary i zawieszenie na 1 mecz. Karę dostał również zastępca głównego trenera Roberto Ayala. Cóż, Argentyńczycy nie umieli wygrać, ale pokazali również, że nie umieją przegrać.

Z kolei po półfinale Argentyna–Anglia brytyjskie media publikowały filmiki pokazujące, jak latynoscy kibice w dużej przewadze liczebnej polują na fanów Albionu. Hmm, zapomniał wół, że cielęciem był. Angoli dotknęła amnezja i nie chcą pamiętać, jak ich fani bili pojedynczych Polaków po słynnym remisie na Wembley w 1973 r., który wyeliminował „ojczyznę futbolu" z mundialu w Niemczech. To były regularne „ścieżki zdrowia". Wyzywanie polskich piłkarzy od małp to przy tym pieszczoty.

Skoro o kibicach mowa – finał mundialu oglądała w Warszawie łącznie ok. 100-osobowa grupa Argentyńczyków, zamieszkałych w naszym kraju lub przebywających w nim czasowo. Wśród nich była – o czym media nie doniosły – pewna młoda dama. To Marcia Majcher, urodzona w Argentynie, w polskiej rodzinie. Wygrała (w przeciwieństwie do reszty), bo w ub.r. za film o naszych rodakach w Argentynie, takich jak ona, została nagrodzona Złotym Lwem na festiwalu w Gdańsku. Po finale mundialu tylko jej było mi szkoda.

eprasa.pl 69fe0b3f94



OD A DO ZYBERTOWICZ

Cicha prawda natury

Choć w „Przyrodzie miasta" nie ma pompatycznych słów o „płonącej planecie", to nawet najmłodszy czytelnik nie będzie miał wątpliwości, że miasto jest ekosystemem fenomenalnym

Lubię spacerować po lasach i parkach. Czasem bardzo potrzebuję spędzonych tam chwil. Szkoda, że tak często, gdy już cisza, spokój i pogoda niemal przybliżają mnie do błogości, czar pryska. I strasznie się wkurzam.

Nie rozumiem takich ludzi. Zostawiają puszki, kapsle, pety, opakowania po batonikach i resztę tego szmelcu. Nie dostrzegają, że robią coś naprawdę paskudnego. Jakby przychodzili nad jezioro specjalnie po to, by zostawić śmieci swojej duszy. Bo przecież *każdy* ją ma.

A może tak drażniące mnie śmiecenie w lasach dla niektórych stało się jakąś perwersyjną normą kulturową?

ODWIECZNY INSTYNKT ŻYCIA

W dzieciństwie nie czytałam książeczki Elżbiety Kozłowskiej „Przyroda miasta" (Nasza Księgarnia 1988). Ostatnio zamówiłam ją przez internet.

Kozłowska pisze: „To wprost niewiarygodne, ile zwierząt żyje w naszych mieszkaniach, zimuje na strychach i w piwnicach, gnieździ się na budynkach, a także zasiedla miejskie parki i zbiorniki wodne. Bo gdziekolwiek istnieje najmniejsza możliwość osiedlenia się – zaraz pojawiają się tam istoty żywe".

Nie wszystkie żyjątka są miłe i przyjazne. Choć minęły lata, pamiętam dziecięcy strach przed mrówkami faraona, które – byłam o tym przekonana – w chwili nieuwagi można było skonsumować. I wciąż pamiętam swą desperacką walkę z prusakami w jakimś studenckim mieszkaniu.

Czy współczesne dzieci coś o tym wiedzą? Wątpię. Myślę, że dziś w naszych sterylnych mieszkaniach ostały się co najwyżej niegroźne pająki.

Muszę przyznać, że nie miałam pojęcia, jak twardym zawodnikiem jest znany chyba wszystkim mlecz (mniszek lekarski). Autorka radzi nawet, by przeprowadzić doświadczenie: wykopać korzeń mlecza, pokroić na dwucentymetrowe kawałki i posadzić w doniczce. „Przekonacie się wkrótce, że z każdego kawałka wyrośnie szybciutko nowa roślina".

Ileż uciechy można mieć ze starej PRL-owskiej książki dla dzieci.

CZUŁOŚĆ ZAMIAST PSEUDOEKOLOGII

Postęp techniki przyniósł miasta bardzo różniące się od tych sprzed dekad, ale nadal pełne spalin i hałasu. Mimo dziesięcioleci edukacji ekologicznej, a nawet planetarnej histerii, niszczenie przyrody trwa.

Czy naprawdę dobrze przemyślano walkę z zanieczyszczeniami, polegającą na promocji aut elektrycznych, do których produkcji niezbędne jest stale rosnące wydobycie metali ziem rzadkich?

Choć w „Przyrodzie miasta" nie ma pompatycznych słów o „płonącej planecie" czy modnego obecnie lansu pseudoekologicznych strategii, to nawet najmłodszy czytelnik nie będzie miał wątpliwości, że miasto jest ekosystemem fenomenalnym. Wystarczy odrobina uwagi, by dostrzec, że to pole walki między cywilizacją a naturą. Między naszym wygodnictwem i żądzą konsumpcji a troską o otoczenie.

Przyszłość miast – czyli nasza – zależy również od siły przyrody. I nie trzeba budować nadmiernie dramatycznej narracji o kryzysie klimatycznym lub ponad miarę wynosić na piedestał zwierzęta i rośliny, by się obawiać, iż możemy niebacznie sprawić, że odwieczna przyroda nie będzie miała ostatniego słowa.

Że na gruzach rosnących ostatnio w wielu krajach jak grzyby po deszczu wielkich centrów komputerowych danych – kolosalnych, energochłonnych magazynów cyfrowej rzeczywistości – siły przyrody mogą w końcu nie wytrzymać.

DZIECI ŚMIECI…

…to podwórkowe powiedzonko pobrzmiewało mi w uszach, gdy Elżbieta Kozłowska wspominała, że już w XVII w. Warszawa zmagała się z problemem Góry Gnojowej – ówczesnego odpowiednika naszych wysypisk śmieci. Autorka już w 1988 r. stwierdzała, że choć nasze możliwości technologiczne są nieporównywalne z wcześniejszymi, to „góra stoi, jak stała (chociaż nie w tym miejscu i niejedna!)".

NATURALNY RYTM

Książeczkę zamyka rozdział „Odgłosy nocy". Po dniu, czyli domenie człowieka, następuje „druga zmiana". Nocna – bo „w naturze nie ma próżni". To czas należący do zwierząt. Nietoperze latają bezszelestnie, sowy pohukują, myszy polują, jeże próbują przechodzić przez jezdnię.

Odwieczny porządek? W mieście, które coraz rzadziej respektuje podział na dzień i noc?

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl 69fe0b3f94

Wesprzyj dziennikarstwo śledcze – fundament misji telewizji wPolsce24

Patrzymy władzy na ręce.
Tropimy afery.
Demaskujemy kłamstwa.
Ujawniamy niewygodne fakty.

Wojciech Biedroń
dziennikarz telewizji wPolsce24
laureat nagród SDP za reportaże śledcze



Oglądaj reportaże śledcze **w każdy poniedziałek o 20:05**

WSPIERAJ wPolsce24

wesprzyj.wpolsce24.tv

numer konta FRATRIA S.A.:
69 1020 4900 0000 8202 3036 2577
tytuł wpłaty:
DAROWIZNA

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl 69fe0b3f94

NOWOŚĆ! PRENUMERATA PRZEZ InPost

Wybierz swój Paczkomat®
i czytaj SIECI
już w poniedziałek



Zyskujesz też możliwość czytania SIECI na telefonie



- **dostawa już w poniedziałek** przez Paczkomat®
- dodatkowo **dostęp do e-prenumeraty** SIECI i e-booków Sieci Extra niedostępnych dla innych czytelników
- **cena niższa niż w kiosku** – tylko 9,39 zł za egzemplarz (w kiosku to 13,90 zł)
- opcja zmiany na inny Paczkomat® (np. na czas urlopu)
- darmowa dostawa

Zamów już dziś prenumeratę przez Paczkomat!

prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 69fe0b3f94